



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

Slaw 7111.7.11

THE SLAVIC COLLECTION



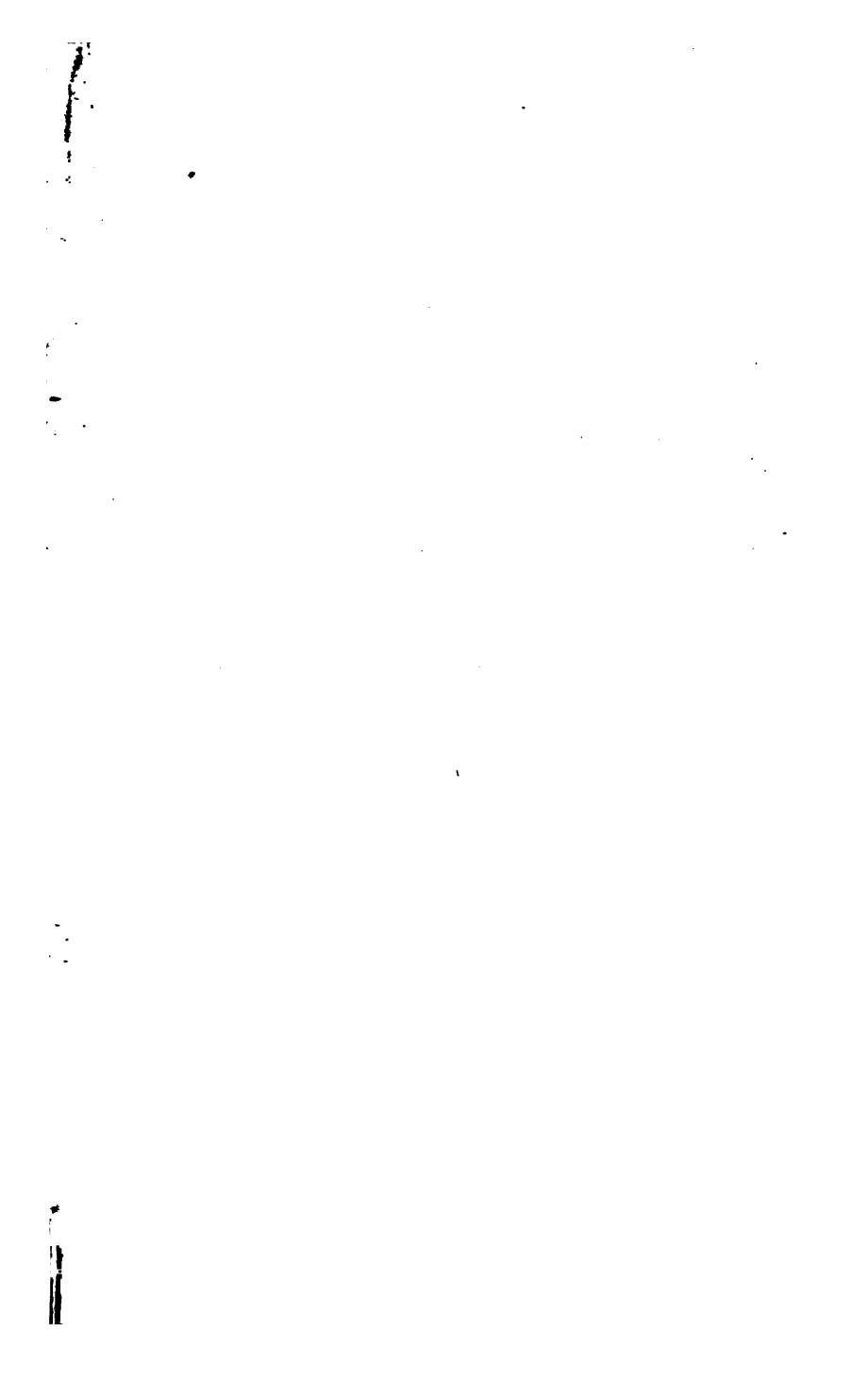
Harvard College Library

GIFT OF

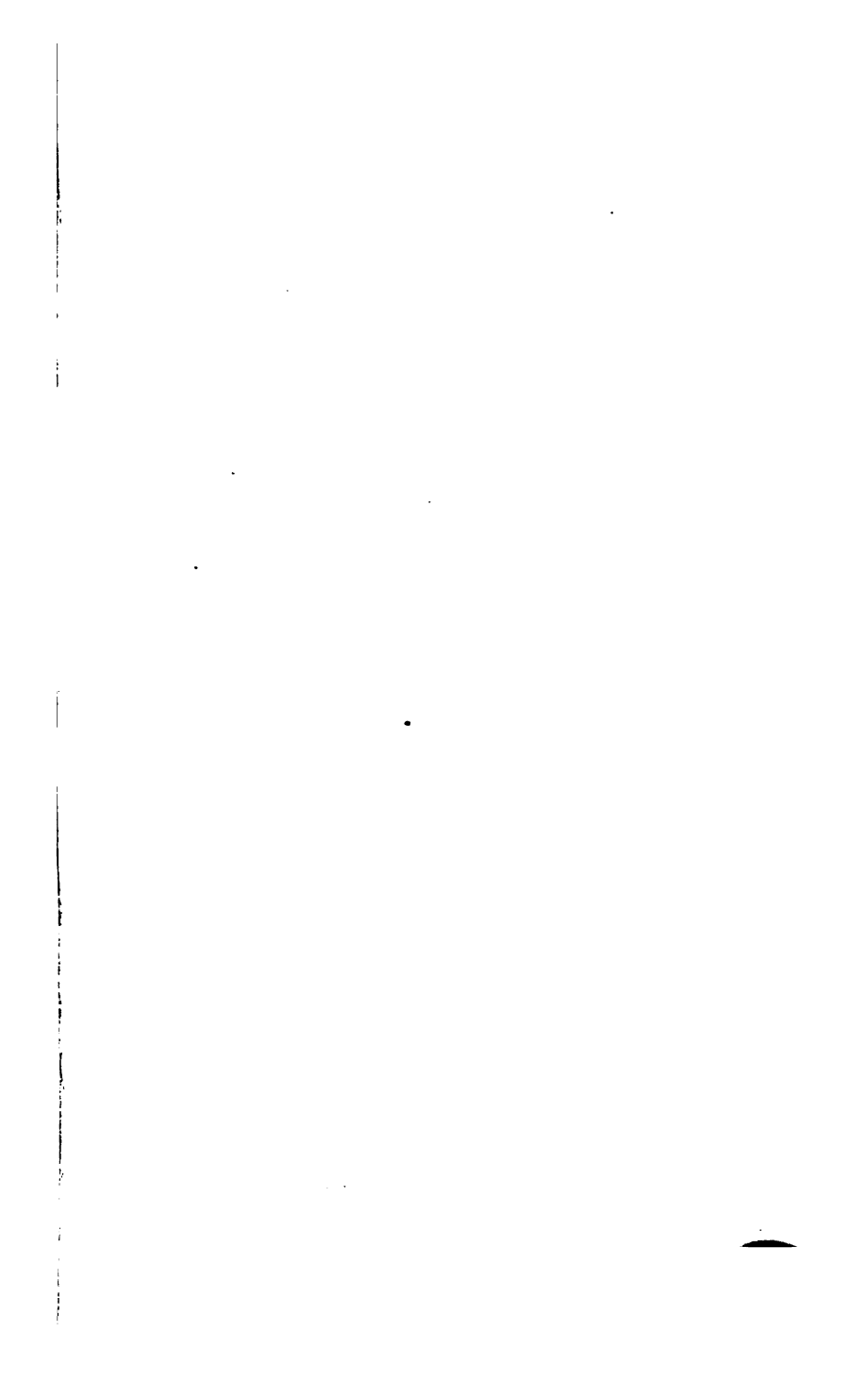
Archibald Cary Coolidge, Ph.D.

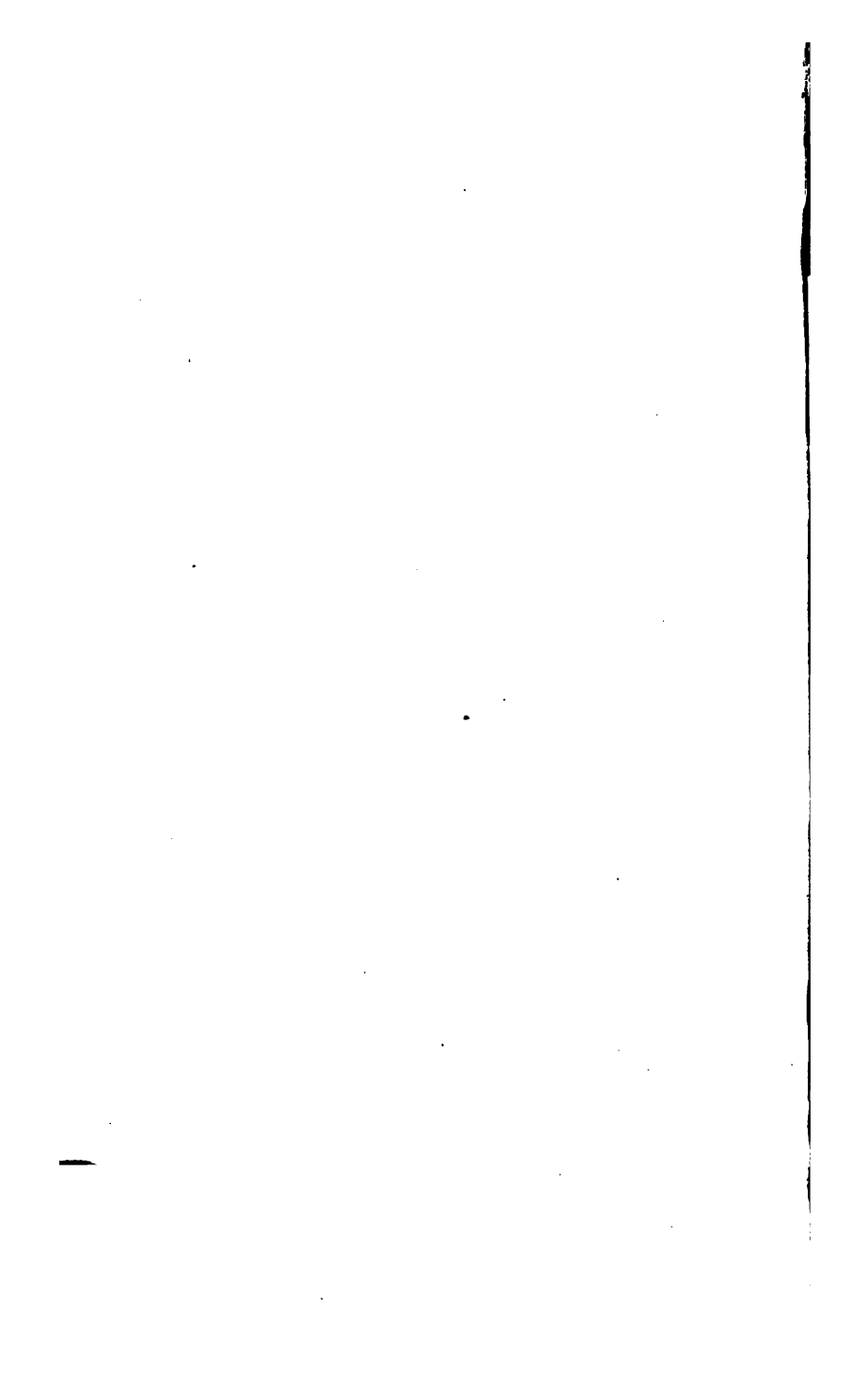
(Class of 1887.)

Received 2 October, 1895.



3





Slaw 7111.7A1

16

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH

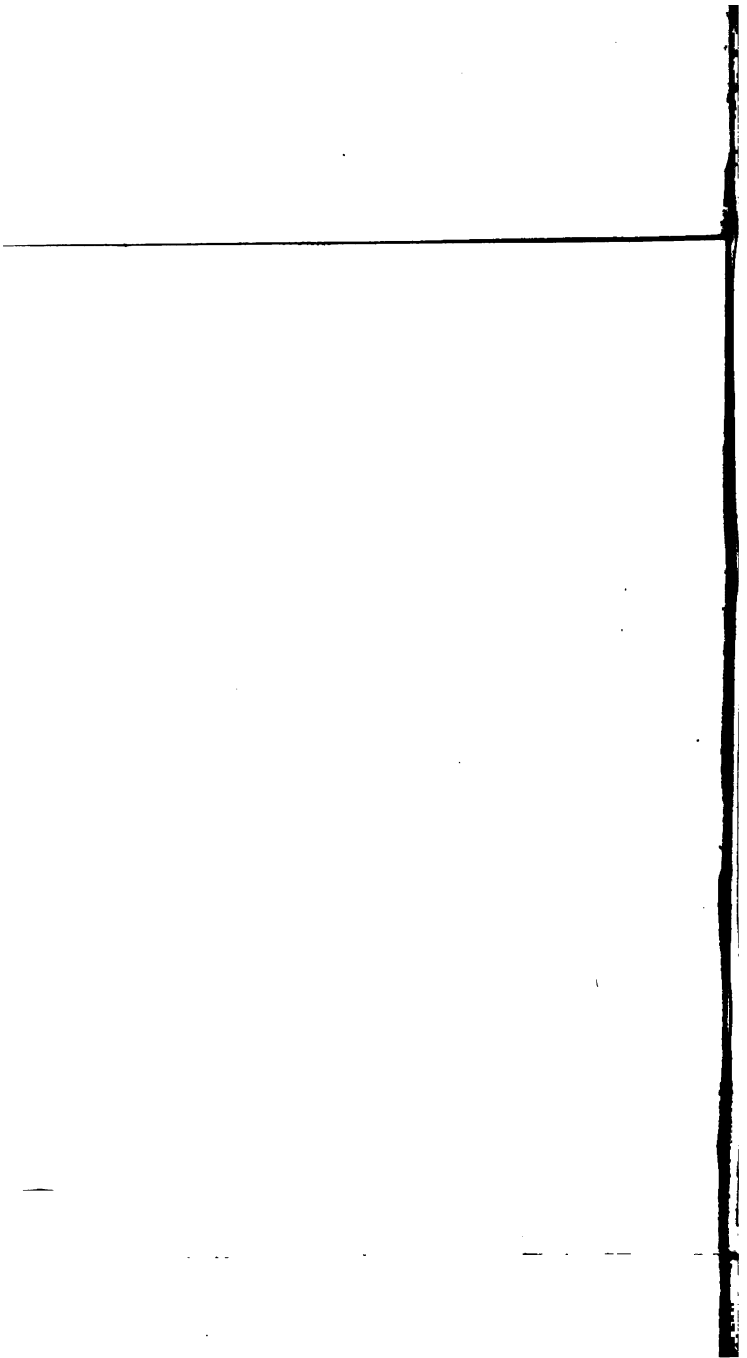
The Caucasus
or the last days of Skanyl,

historical novel

by J. Gordon

Leipzig 1865

(Polish)



Slaw 7111.7.11

16

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

341

TOM TRZYDZIESIĄTY CZWARTY.

KAUKAZ

CZYLI

OSTATNIE DNI SZAMYŁA.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

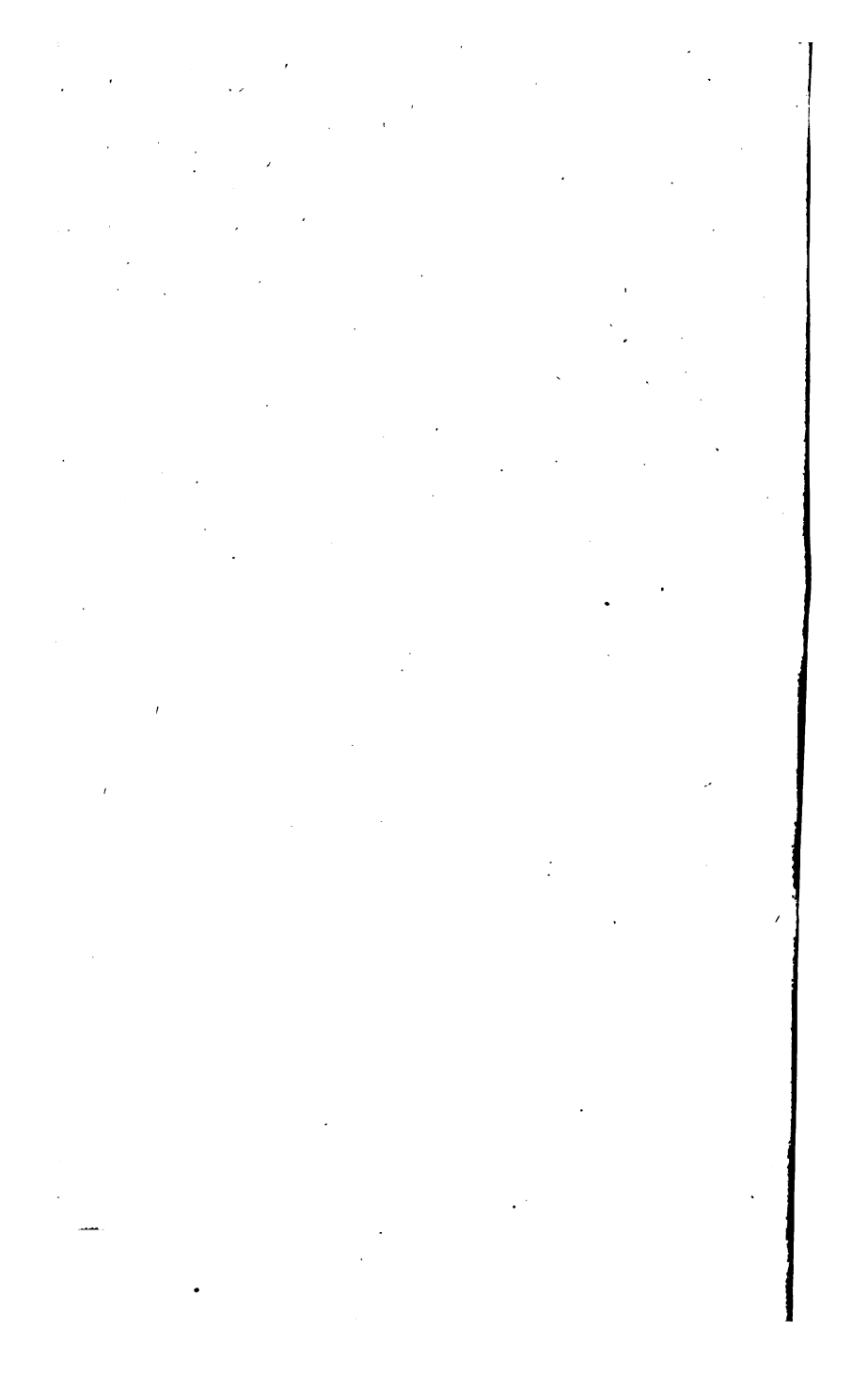
PRZEZ

J. GORDONĄ.

LIPSK:

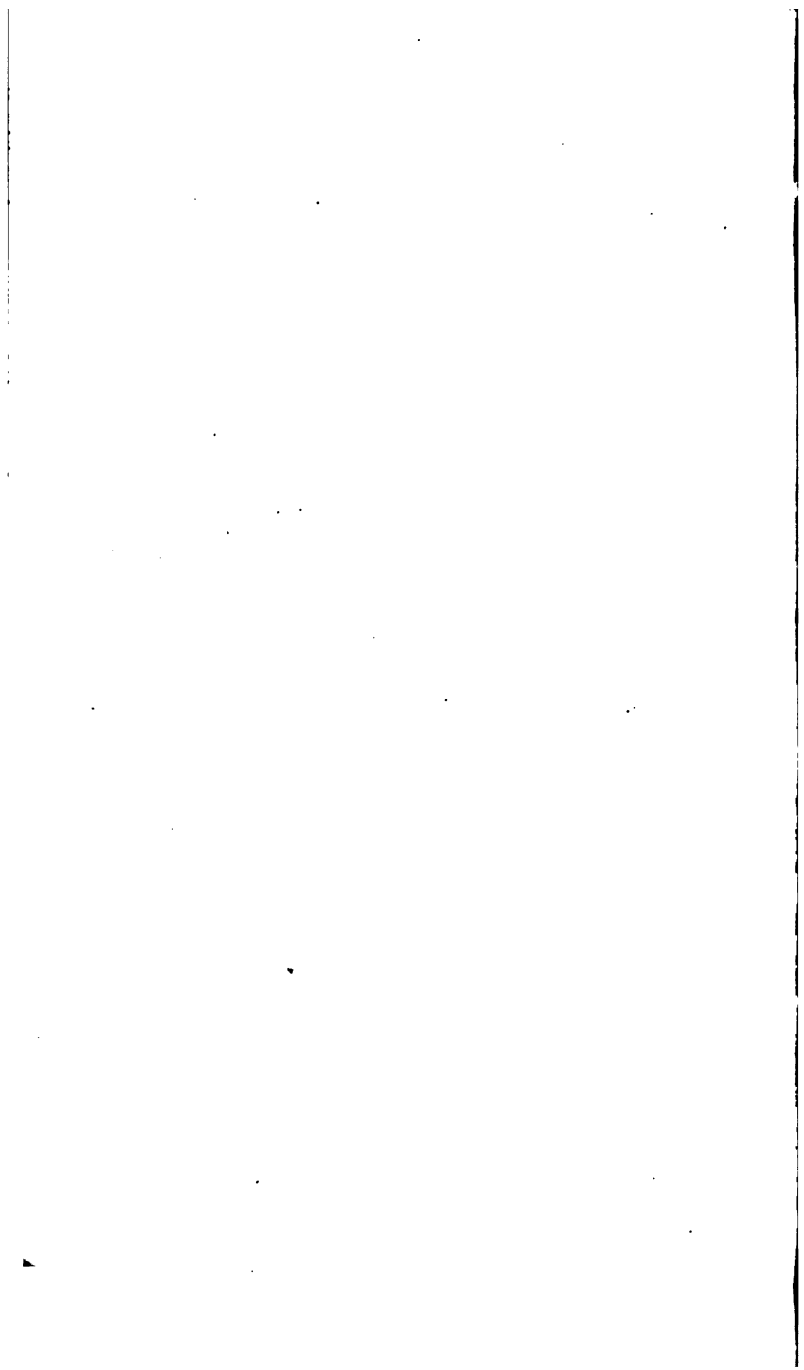
F. A. BROCKHAUS.

1865.



BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XXXIV.



0

K A U K A Z

CZYLI

OSTATNIE DNI SZAMYLA.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

Jakób
J. GORDONA.



LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

—
1865.

Slaw 7111.7.11

DECEMBER JUN 30 1911

Prawo przedruku i tłumaczenia na obce języki należy wyłącznie do autora.

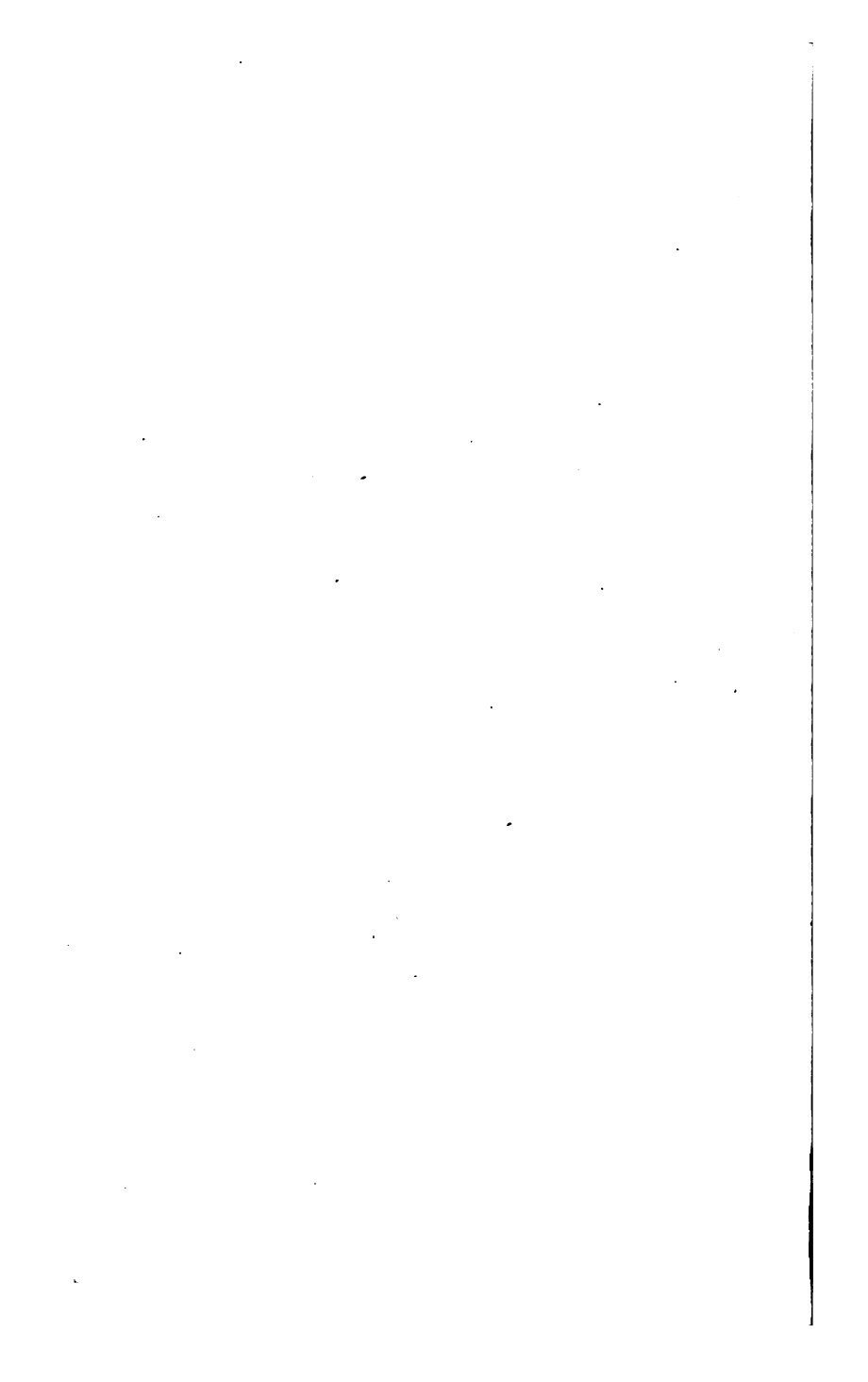
B R A C I O M

P O Z A

W O Ł G Ą I U R A L E M

PRZYPISUJE

AUTOR.



SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Stron.
I. Młodość Ostoi. Porwanie go przez Czerkiesa i uwięzienie na Kaukaz	13
II. Rodzina Abbasa	21
III. Rys Kaukazu. Król węzów (legenda)	31
IV. Postacie Libii i Fatymy	43
V. Podróż do Meszedalów. Polowanie na lamparta	57
VI. W pożegnaniu Abbasa historia Kaukazu	69
VII. Posłuchanie u Szamyla	77
VIII. Daniel-Basza. Opaczyński. Sotnia polska	89
IX. Parlamentarz moskiewski i jego śmierć. Wojna	99
X. Czaty o głodzie. Pasterz astrolog	111
XI. Sen magnetyczny. Na raz dwie kochanki. Walka siłaczy	121
XII. Derwisze. Moje odznaczenie się	131
XIII. Pochwycenie księżniczek Orbeliani i Czawczawadze	143
XIV. Upadek Szamyla. Uduszenie jego syna	155
XV. Na tułactwie. Czyciele ognia	163
XVI. Powieść o Sunguli-hanie. Uwagi nad poezją wschodnią	175

VIII

	Stron
XVII. Wiadomość o losie Libii. Handel niewolnikami. Bazar w Bace	18
XVIII. Polacy w wąwozach kredowych. Góra Ararat . . .	19
XIX. Sekta Skopców. Podróż do morza Czarnego . . .	20
XX. Burza morska. Przybycie do Odessy	21
XXI. Fatyma. Więzienie	22
XXII. Kilka słów o Jusufie	23

O KSIĄŻKACH I LUDZIACH.¹

O konwersacy — Gdzie się chroniła? — Literatura pamiętnikowa — Ciekawość tegoczesna — Woń skandalu — Zbiór Pamiętników do 18go wieku — Dąbrowski o legionach — St. Albin o Józefie Sułkowskim.

Któż nie zna wybornych *Causeries du lundi* akademika p. Sainte-Beuve? Pod skromnym tytułem występuje w nich wytworny krytyk, który przenosi czytelnika we wszystkie wieki literatury i historii; rusza Greków i Rzymian, Wschód i Zachód, wieki średnie, odrodzenie i obecne zdarzenia, a krom tego potrąca kwestye polityki, ekonomii, sztuk pięknych, cywilizacyi, religii. Piękna to rola przemawiać do całego świata i umieć go zainteresować z tak rozmaitej strony. Nigdzie indziej podobna, improwizowana katedra nie mogłaby się udać tylko we Francyi, tej uniwersalnej ojczyźnie światła, przemawiającej językiem, do którego wszystko się garnie, co chce wziąć udział w wielkiej rodzinie cywilizacyi. Gdzie indziej nie probowano nawet tego sposobu odzywania się, wiedząc z góry, żeby tonu zabrakło, a najświetniejsze przemówienie ograniczyłoby się do szczupłej areny jednego kraju, lub jednej mowy; co nie przeszkadza, iż ta sama rzecz, oddana po francuzku, nabrałaby rozleglejszego roz-

¹ W tomie VI Biblioteki pis. polsk. pod tyt: *Obrazki Caryzmu* umieściliśmy krytykę nowoczesnych pamiętników polskich. — Powyższy artykuł (wyjątek z *«Czasu»*) podajemy jako pogląd na literaturę pamiętnikową zeszłego wieku.

głosu. Jest to przywilej, którego trudno odebrać, jeżeli go wprzód sam pochód dziejów nie odbierze i nie przerzuci śród ciężkości gdzieindziej.

Tymczasem pogadanka o wszystkich rzeczach i niektórych innych, jak mawiał Pik z Mirandolli, może wszędzie się przyjąć, jak zwyczajna rozmowa. Tem bardziej w naszych czasach, gdzie nie ma prawie konwersacyi. Jak to? więc ludzie nie rozmawiają? I owszem; mówią bardzo wiele, nawet więcej, niż potrzeba — lecz mimo tego nie ma konwersacyi. Pierwszym do niej warunkiem jest umieć słuchać; a właśnie sekret tej sztuki stracony, jak tyle innych sekretów. Gdzie każdy chciałby wystąpić w roli mówcy, a nie słuchacza — czy podobna myśl o jakiejś konwersacyi?! Dla tego, kiedy zbierze się grono francuskie, prawie zawsze ten mówi z tym lub z tą, *aparté*, po cichu; tworzą się osobne grupy — i jest szmer szeptania, przerywany niekiedy rzuceniem jakiejś nowinki politycznej lub brukowej — ale właściwej konwersacyi nie ma. Gdzież się schroniła ta czarodziejka wieczornych towarzystw? Poszła:

où va toute chose,
Où va la feuille de rose,
Et la feuille de laurier.¹

Poszła razem z wdziękiem, powagą i sławą, wyrugowana przez swobodę, nielubiącą ciasnych form, a przeto najczęściej pozbawioną formy — przyzwoitości.

Z dawnej konwersacyi cień został — i ten błąka się po dziennikach. Wyższość żywego słowa zesła na słowo pisane, ogołocone z mimiki, modulacyi głosu, natychmiastowych wrażeń, odpowiedzi, przerywań...

Kiedy więc to zostało, używajmyż przywileju rozmawiania myślami. Czemże innym czytanie, jeżeli nie rozmową myśli? A ta forma pogadanki ma to do siebie, że pozwala trącać o różne przedmioty, jakie bieżąca chwila przynosi. Stąd też interes przerzuca się z jednego końca świata na drugi. Dziś się zwraca ją oczy na Meksyk, Kaukaz, jutro na Algier, po jutrze na jaki

Gdzie idzie świat wszystkim
I gdzie idzie liściek róży,
I zielony lauru liściek.

zjazd monarchów, a najbliższe domowe sprawy, zawsze stojące na myśli, pobudzają do domysłów, porównań i rozpamiętywań w miarę, jak się odezwie jaki głos z przeszłości, w miarę, jak terazniejszość wzruszy, przyszłość zamarzy.

Literatura, historia domowa — przedmioty obchodzące najbliżej zawsze dostarczą wątką. — A chociaż dzisiaj w sferze tej panuje pewna cisza, wypoczynek zorientowania się, od czasu do czasu zjawi się coś pobudzającego uwagę. Nie od dziś przecie postrzegamy fenomen żywotności ducha. 'Od lat kilkadziesiątu zabiera głos, jak na wielkim sejmie, coraz inny ziemi naszej zakątek. W czasach największego oniemiaenia Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół nauk staje się ogniskiem myśli; od niego zapala się Wilno, Krzemieniec — współubiegają się ze sobą na korzyść światła, przez lat blisko trzydzieści. Zduszone, gasną — a natomiast ożywia się Kraków i Poznań, aby znowu zapalić światło w ciemnościach. Nie akademie, nie towarzystwa uczone ale drukarnie i wydawcy utrzymują życie piśmiennictwa, które, doszedłszy do nieznanych dotąd rozmiarów, milknie naraz, milczeniem grobu... I znowu zdławione słowo szuka dla siebie przytułku...

Literatura daje żywotności świadectwo; jak z drugiej strony ona ją utrzymuje... Gdyby nic po nas nie zostało: Skarga, Krasiński, Mickiewicz, nie przestaliby protestować do skończenia świata... Pomniki myśli trwalsze od spiżu.

Właściwa literatura, owoc wyobraźni i uczucia, przeszła nie tylko u nas, lecz i wszędzie, w studium ciekawości. Historia, pamiętniki, biografia i romans biograficzny, trzymają berło rodzaju. Archiwa, listy, domowe zapiski, dokumenta trybunalskie, gabinetowe tajemnice, wszystko dziś służy za materiał w dociekaniu zdarzeń i zapuszczaniu się w tajniki człowieka. Pojawia się ten lub ów fakt dziejowy i człowiek znakomity z przeszłości — staramy się ukazać go, jak to mówią, we właściwem świetle.

Czy rzeczywiście osiągamy ten cel, czy też nagromadzamy więcej niepewności i widoków, dając nieraz małym przyczynom wielkie znaczenie, a wielkie doprowadzając do drobnych rozmiarów — osądzi o tem przyszłość dręczona mniejszą ciekawością drobnostek i szczegółów, niż czas obecny. Zawsze, za-

stanowiwszy się nad tym symptomatem, możnaby zapytać: z jakiego ta nagła ciekawość? — Ktoś zagadnięty o to, tak tłumaczył: Źródło tej ciekawości leży w dzisiejszych pojęciach o równości. Lubo z tego nikt sobie nie chce zdać sprawy, mimowolnie jednak niepokoją te wyższości! Żeby je więc zrównać i na swój wzrost przykroić, nuż szperać, zaglądać za kulisy, uchylać tajemnice domowe, z lada poszlaki odgadywać niesłychane rzeczy — i w końcu po zestawieniu wszystkich *pro* i *contra*, wyprowadzić jakąś bardzo pospolitą istotę; albo też przeciwnie, jeżeli naszym dążnościom odpowiada, przemilczawszy jedno, przeniecowawszy drugie, wystrychnąć wielkiego człowieka na wzór dla żyjących. W tłumaczeniu tem dosyć jest trafności; lecz zarazem utwierdza ono nas w przekonaniu, że w sprawach ludzkich niema prawdy bezwzględnej. Zawsze to tylko okrucy — całkowitej prawdy siedlisko gdzieindziej.

Mówiąc tedy o panującej chorobie ciekawości i o rodzaju literatury, który jej dogadza, przejdziemy do pamiętników, strawy tak dalece łakomej, że fałszowany towar bywa równie poszukiwany jak prawdziwy wyrób. Francuzi w tym względzie okazali się mistrzami; ale można im przebaczyć, kiedy mają takiego St. Simona! U nas więcej mają wziętości pamiętniki historyczne; ale gdyby chciał kto ogłosić jaką gorszącą kronikę towarzyską — nie wiem czyby się bardzo gniewano, przynajmniej po stronie publiki niemającej powodu do urazy; a co najpewniejsza, że rodzaj ten z pewną wonią skandaliku, zapędziłby w kąt pamiętnik historyczny... na pastwę uczonych — i molów...

Dotychczas przynajmniej z zajęciem są u nas czytywane pamiętniki mające z historią ojczystą związek. Nic też więcej nie upowszechnia nauki dziejów, jak te opowiadania naocznych świadków, lub spółdziałaczy. Wydawca w Poznaniu rozpoczął przed kilką laty publikacye memoarów odnoszących się do końca 18 wieku. Jest to zbiór mniej więcej spółczesnych publikacyi pisanych po francuzku lub niemiecku, teraz przetłómaczonych z dodatkami i objaśnieniami. W zbiorze tym, rok 1794, pamiętny powstaniem Kościuszki szczególnie co do działań wojennych, znajdujemy wielostronnie uzupełnionym; niebrak też i rysów z potocznego życia, i objawu różnych opinii, mogą-

cych dać pojęcie o usposobieniu społeczeństwa. Rękopis Dąbrowskiego o legionach, miany już za przepadły z biblioteką tow. przyjaciół nauk, zabraną jak wiadomo, do Petersburga, odnalazł się i ujrzał światło w polskim przekładzie.

Na nieszczęście nie dotrzymał tego, czego się po nim spodziewano, i nie jedno westchnienie za straconym rękopisem nardarmo zrobiło drogę przed tron Sprawiedliwości przedwiecznej — bo rzeczywiście nie jest to pamiętnik w tem znaczeniu, jakie zwykle do pism tego rodzaju przywiązujemy; nieopowiada też, że tak się wyrażę, o domowem życiu, a raczej obozowem, nie maluje charakterów, ani mu się marzy o poetycznej stronie tego zbiorowiska ludzi zlatujących się nad brzegi Padu i Dunaju, żeby tam reprezentować ojczyznę... Są to zimne, acz dokładnie z raportów, rozkazów dziennych, zebrane zapiski; surowy materiał, przydatny bardzo dla piszącego historię legionów, szkielec; ducha w nim nie ma ani ciała na nim, ani tych szczegółów na pozór drobnych, z których się więcej poznaje, niż z urzędowych doniesień. Rzeczywiście okres ten, jeżeli żyje w pamięci, to jedynie znaną piosenką legionów, tą naszą rzewną Marseliezą, i wierszem Cypryana Godebskiego żołnierza — poety — a i temi anegdotycznymi opowiadaniem, jakie jeszcze można było usłyszeć z ust ostatnich legionistów... z których podobno żadnego już nie ma przy życiu!...

Najświeżej wydany tom Pamiętników z ośmnastego wieku zawiera generała Józefa Sułkowskiego życie i jego własnoręczne pisma historyczne, polityczne i wojskowe. Jest to tłumaczenie książki wyszłej przed wielą laty, a napisanej przez p. Saint Albin który, jak widać z wszystkiego, miał pod ręką własnoręczne pisma Sułkowskiego, a nawet nazbierane szczegóły odnoszące się do jego osoby.

Tłómacz zrobił przysługę, spolszczając dziś rzadką książkę; wypadło mu jednak postarać się o sprostowanie pomyłek szczególnie w nazwach miejscowości i ludzi, a niepominać objaśnień historycznych, uzupełniających lub wyświecających niektóre fakta niedość trafnie przez cudzoziemca pojęte i ocenione. Sam przekład nie zawsze bywa wystarczającym.

W prawdzie na wstępie spotykamy się z przedmową tłumacza, która podnosząc historyczne znaczenie Józefa Sułkow-

skiego, uważa za obywatelską powinność imię jego upowszechnić u ziomków. Nic słusniejszego; sława rodaka nabyta choćby za granicą, spada najprostszem dziedzictwem na ojczyznę. Wszakże w przedmbwie tej trudno się zgodzić na wszystko co utrzymuje, lub czego chce tłumacz. Mówi on, że w życiu Sułkowskiego «spotkał dwie próżnie, które zapełnić jest powinnością rodaków» (?) Pierwszą jednak próżnię sam już zapełnił, bo ma przekonanie, że pomieniony Józef Sułkowski był rzeczywiście synem naturalnym Franciszka Sułkowskiego; szczęśliwszy w tem od Telemaka syna Ulisesowego, który w znanym wierszu rzuca względem ojcostwa wieczną wątpliwość; drugiej jednak próżni — jak mówi — trudno mu zapełnić; cóż więc robi? Oto odwołuje się do «literatury naszej» a mianowicie «do Towarzystw Naukowych», aby koniecznie starali się wywiedzieć o imieniu i nazwisku matki Sułkowskiego.

Biedna literaturo! biedne Towarzystwo Naukowe! Każą wam dochodzić macierzyństwa i z grobu wywłóczyć imię kobiecy, aby rozedrzeć tajemnicę szanowaną przez współczesnych! Na nieżyjącą nie wystąpi rumieniec wstydu — to prawda — ale czyż imię tak samo nie może się zarumienić? Otóż i dotykalny przykład owej gorączki ciekawości panującej w rzeczach literatury. Choć odrobina zgorszenia przymieszana do najpoważniejszej rzeczy zaraz trafia w smak zajmujący się tylko tem, co ma tę przymieszkę.

Szczególniejszy smak, czy niesmak przesytu! —

Jeszcze jedno, na co także mimo najlepszej chęci trudno przystać. Tłumacz, idąc za p. St. Albin, podnosi talenta i zdolności wojskowe Sułkowskiego do niesłychanej potęgi: Na dowód przytacza słowa Carnota, który na posiedzeniu dyrektoryatu miał raz powiedzieć: «Jeżeli stracimy Bonapartego, mamy gotowego wodza w Sułkowskim.» Rzeczywiście chlubne te słowa wyszły z ust człowieka o którym powiedziano *qu'il avait organisé la victoire*, dawałyby wysokie świadectwo o naszym rodaku, gdyby zdanie to wolne było od stronnicej przesady.

Carnot, jak wiadomo, twardy republikanin, obawiając się geniuszu Bonapartego, a bardziej ambicyi, rosnącej w miarę mnożących się jego zwycięstw, pokładał nadzieje w młodym Polaku, wyznającym aż do przesady wszystkie doktryny ówczesnego re-

publikanizmu. Jest to własnością stronnictw, że lubią tworzyć wielkich ludzi dla swego użytku — ale prawdziwa wielkość — dla potomności pozostanie tylko przy tym, co umiał wznieść się nad wszelkie stronnictwa. Niepodobna także przypuścić, żeby Bonaparte zazdrościł miał talentów Sułkowskiemu z obawy, by tenże nie przyćmił jego gwiazdy, lub żeby umyślnie posłał go przeciw zbuntowanym Arabom w Kairze, aby go się pozbyć — na zawsze. P. St. Albin trzymający się zasad republikańskich, surowo sądzi Bonapartego i nawet zaprzecza, aby płakał śmierci swego adjutanta Sułkowskiego, kiedy mu o niej doniesiono i kiedy on sam mówił, że za nim płakał. Mógł Bonaparte nie lubić w nim republikańsina — socyalnego ideologa, ale strata dzielnego ramienia i talentów musiała go boleć. Nie trzeba być wielkim psychologiem, dość rozumieć naturę wodza, żeby przypuszczać obojętność, a co gorsza radość, z utraty człowieka na którego odwagę, charakter i zdanie można było się spuścić, jeszcze w takim położeniu, w jakim się wódz francuzki znajdował w Egipcie.

Na te szczegóły należało polskiemu tłumaczowi zwrócić uwagę, a byłby postawił piękną postać Sułkowskiego w właściwym świetle i nie uchybił człowiekowi, który przed takimi sędziami stawał jak pan St. Albin, i nie takie wytrzymał krytyki!

Nie ujmuje to jednak pamiętnikom tym, mającym dla nas wartość głównie co do prac Sułkowskiego, jak: Szczegóły historyczne kampanii 1792 r. odbytej w bitwie Polaków z Moskalami. Jest to z wyborną krytyką skreślony rys tej nieszczęśliwej wojny na Litwie. Nie godziło się jednak zostawiać tyle błędów co do nazw miejscowości i osób, jakich Francuz dopuścił się. Wytkniemy kilka, i tak: zamiast Stortorzyce powinno być Stołowicze, miejsce pamiętne rozbięciem hetmana Ogińskiego przez Suworowa; nie Kajdanów, lecz Kiejdany; na trakcie ze Smoleńska do Mińska nie ma żadnego Tulczyna; nie Wołkowysk, lecz Wołkowyszki; nie Krzemień lecz Kamień (nad Bugiem). W innem miejscu (w liście do ciotki) pozostawiono dziwnie poprzekręcane nazwiska, o jakich niesłyszano ani w Koronie, ani na Litwie. Pan Mizergurski, ma to być Miączyński, znakomity generał z armii Dumouriez, gilotynowany za należenie do partyi prze-

ciwnej terrorystom; Tuski, to Albert Turski, ów nieproszony poseł, co w imieniu narodu stawał przed konwencyą; co zaś do Tegczajmorskiego, tego już trudno na polskie wytłumaczyć; to jednak pewna, że Polak z tem nazwiskiem do tej chwili jeszcze się nie narodził.

Historya nie romans, ani komedya, żeby miała nieuważać na daty i nazwiska. Jeżeli podobne pamiętniki i listy mają służyć za materyał, potrzeba przestrzegać w nich dokładnej ścisłości; dążności, piękne frazesa, są tylko względnej wartości; jednemu mogą się podobać, drugiemu nie; gdy tymczasem rzetelny historyczny materyał przyda się każdemu, co pragnie z gruntu poznać dzieje krajowe.

W każdym razie biografia ma niebezpiecznego przeciwnika w panegiryku. Autor rozmiłowany w człowieku, którego żywot kreśli, łatwo może, zajęty jednym przedmiotem, stracić miarę porównania i rozdąć go w kształt olbrzymie. Wprawdzie Plutarch posągom swoim umiał nadawać wyraz wielkości; była to cecha jego klasycznego stylu, odpowiadająca wysławianin wielkich epok Grecyi — tak samo jak w Apolinie Belwederskim widzisz idealnie zharmonizowanego człowieka, a nie wizerunek modelu używanego przez rzeźbiarza. — Co innego znowu stroić swój posąg w purpury i klejnoty cnót i doskonałości wszelakich, żeby świecił jak obraz cudowny; to już jest cechą osobliwszego nabożeństwa, a nie tych spokojnie przedsiębranych studiów, co usiłują związać całość, zharmonizować części, we wszystko wlać życie, aby wystąpił charakter i postać miała swój wyraz.

W Biografii, jak na portrecie, idzie o podobieństwo, nie tylko o to pospolite podobieństwo fotograficzne, ale o podobieństwo duszy.

Z materyałów, jakie są o Sułkowskim, i jakie zapewne dałyby się odszukać, możnaby niezaprzeczenie ułożyć bardzo zajmującą charakterystykę republikanina owych czasów. Syn nieszczęśliwego narodu, talent górujący, serce gorące, wciąga w siebie wszystkimi porami te wyobrażenia, jakie wówczasiej Francyi tryumfowały na tyłu polach bitew, i wstrząsały tronami. Ból krzywdy zadanej swemu narodowi przenosi on na całe społeczeństwo, na całą ludzkość, i pragnie ją urządzić podług marzeń genewskiego filozofa, który jest u niego ewanelią nowego

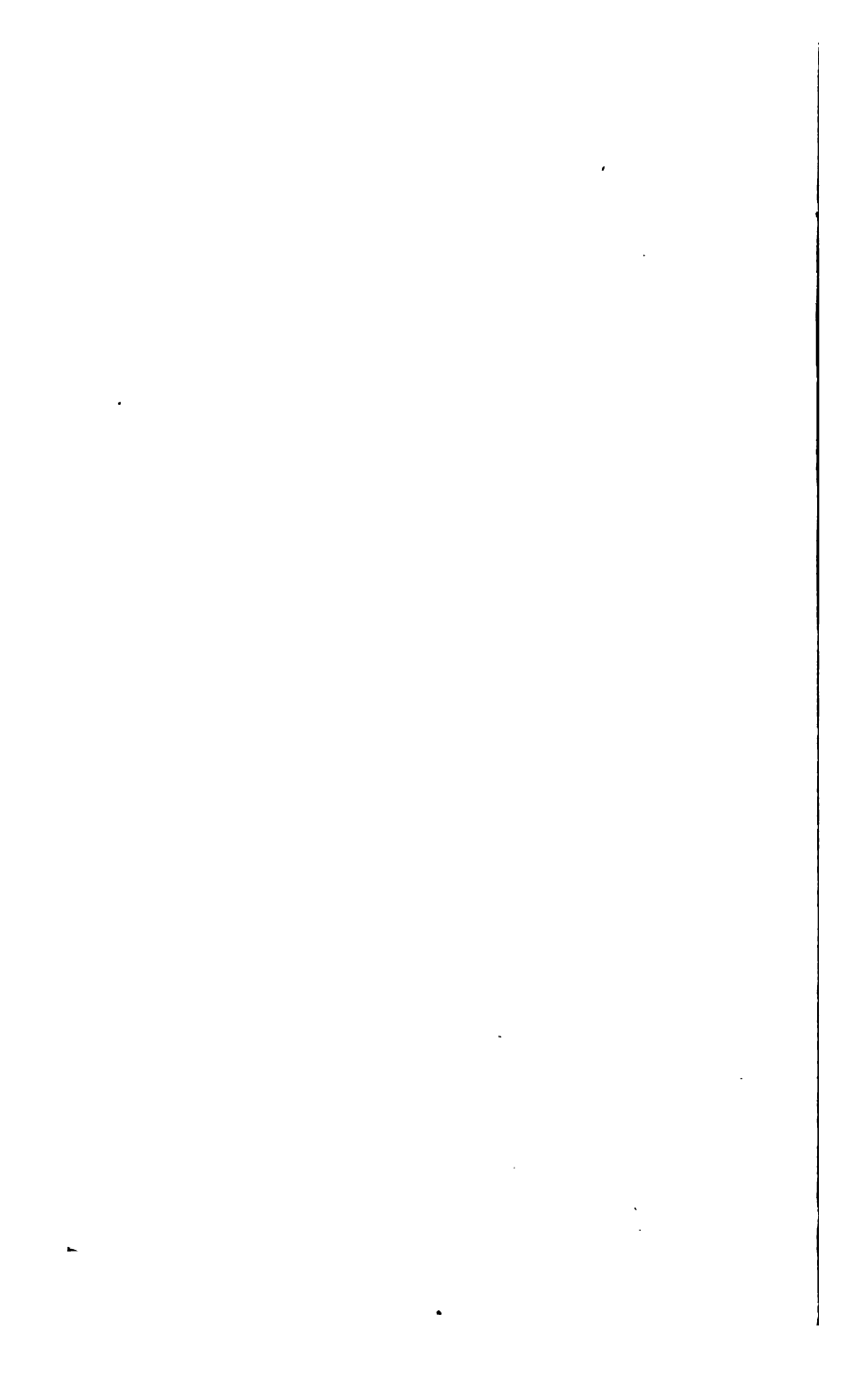
świata. Te przekonania mniej lub dalej posunięte, dzielone przez wielu ówczesnych znamienitych patryotów naszych, zmieniły się później, w miarę jak przybywały lata doświadczenia, a praktyka Napoleońska inną wskazywała drogę — cóż dopiero, gdy ten i ów postawił tułaczą stopę na rodzinnej ziemi, i, obejrzawszy się, poznał rzeczywisty stan rzeczy wymagający zachowawczości raczej, potrzebnej do wyrobienia sił wewnętrznych, niż gwałtownego przewrotu, któryby je do reszty stargał.

Sułkowski nie doczekał chwili powrotu — gdyby był żył, ulubieniec Napoleona, świetniałby niezawodnie w Księstwie Warszawskim obok Poniatowskiego, Dąbrowskiego, Zajączka — lecz czyliżby, jak ten ostatni, przyjął urząd Namiestnika nie bardzo godzący się z dawniejszym republikanizmem, tego nie można zgadnąć.

Nie śmiałybym podać domysłu za pewnik, lecz to wnoszę z podobieństwa wyobraźni i sposobu przedstawienia rzeczy, że znane dzieło: «O Rewolucyi polskiej (par un temoin oculaire)» przypisywane Zajączkowi, prawdopodobnie mogłoby być przeobrażeniem, albo dopełnieniem napisanej przez Sułkowskiego historii Rewolucyi Polskiej 1794 r.

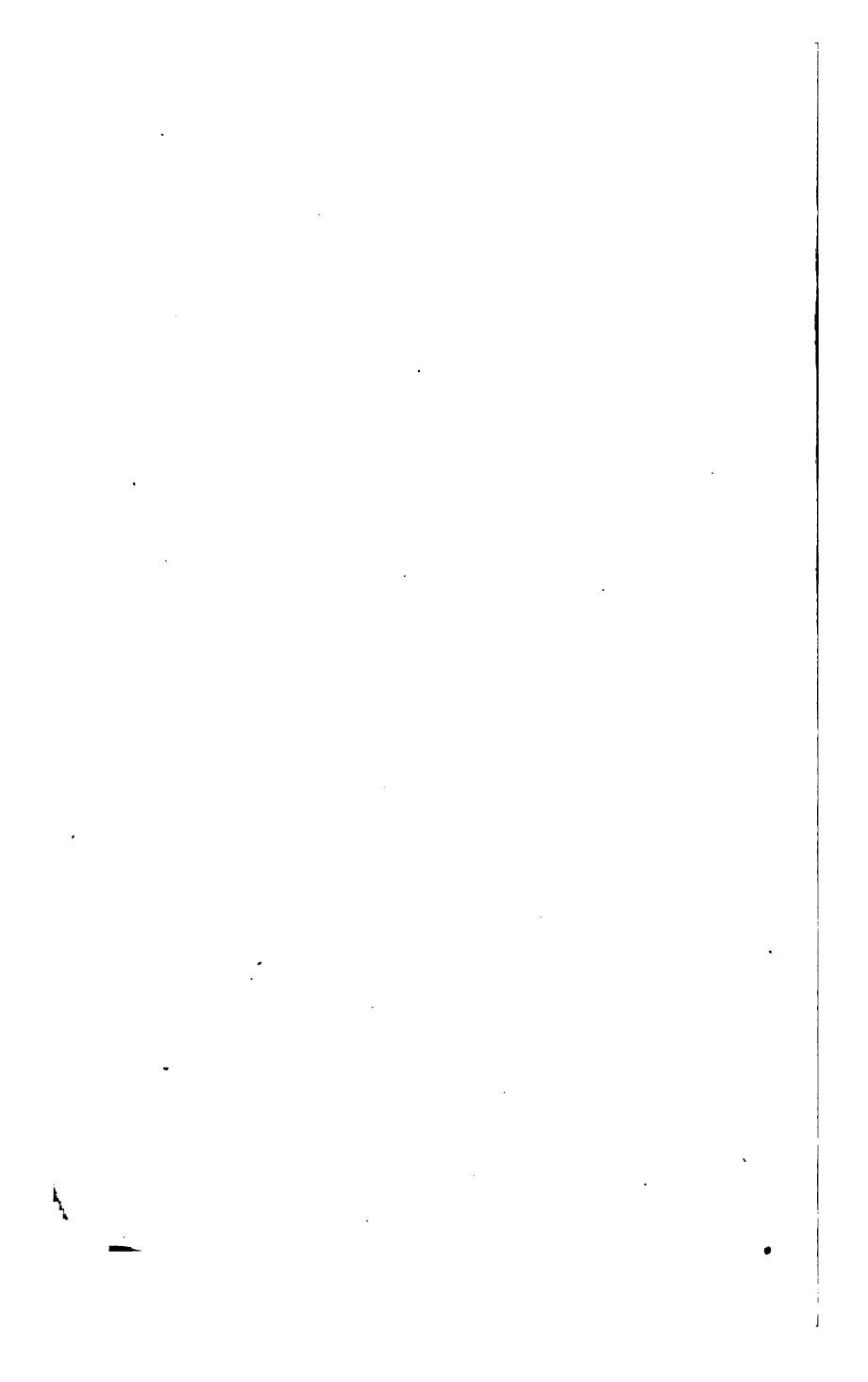
Co w tem domysle jeszcze utwierdza: że takiej książki jak historia Rewolucyi par un temoin oculaire niepotrafiłby napisać człowiek dorywczo i nie z powołania biorący się do pióra. O Zajączku nie słyhać było, żeby kiedy trudnił się pisaniem książek — przeciwnie w pozostałych po Sułkowskim próbach znać wielką wprawę i pewną sztukę.

Rzecz ta zasługuje na zbadanie. Wartoby dojść, czy owa, przez p. St. Albin wzmiankowana historia Rewolucyi Polskiej we dwóch częściach, zginęła, czy też istnieje, a tylko z niewiadomych przyczyn nie została pomieszczoną w zbiorze pism i listów Sułkowskiego. Sądziłbym, że zadanie to daleko godniejsze wyjaśnienia, niż dochodzenie nazwiska matki bohatera z pod Piramid.



K A U K A Z.

Niech Arabcy skwarem spiekie
Miotają bluźnierstwa wściekie
Przeciw słońcu, co ich pali;
Próżne wycia, marne wrzaski!
Wrę pod ich nogami płaski
Słońce posuwa się dalej!...



I.

MŁODOŚĆ OSTOI. PORWANIE GO PRZEZ CZERKIESA I UWIEZIENIE NA KAUKAZ.

«Czyń każdy w swoim kółku, co każe duch boży,
A całość sama się złoży.»

Było to w r. 1851.¹ Z małym zawiniątkiem na plecach, posiniałych od cybucha ojcowskiego, z kilku złotychkami w kieszeni i z boleścią w sercu porzuciłem dom rodzinny. Chciałem się udać do Warszawy, gdyż ojciec wysłał tam najukochańszą mą matkę, której miejsce zastąpiła w domu niejaka panna Alefityna Kociólek, prima-donna teatru prowincjonalnego.

Panna Alefityna grywała na gitarze, śpiewała czułym głosem; a kiedy tatko z polowania wracał w orszaku przyjaciół myśliwych, urządzała nocne biesiady, nieszczczędząc wina, kart i słodkich uśmiechów.

Byłem pod tę porę studencikiem drugiej klasy, najstarszym z rodzeństwa. Kochałem dwie małe siostrzyczki i biegałem koić żal mój obok naszej staruszki, pocziwej sługi, ilekroć razy, po rannych pacierzach, nie mogliśmy doczekać się śniadania.

¹ Czerpane z opowiadania siomka naszego, znanego przy Szamyli pod nazwiskiem: Jusufa Ostoi, który w ostatnich czasach, będąc powstańcem w Polsce, popadł w ręce rosyjskie; jako też z wielu innych podań i wiarogodnych źródeł.
(Przyp. autora.)

Staruszka potrzasała smutnie głową, szepcząc coś do siebie; siostrzyczki głodne i stęsknione kwiliły żałośnie; — ja tylko sam milczący, wpatrywałem się dumnie w święte oblicze matki, poglądającej poważnie ze złoczonej ramy.

Ale portret milczał i smutno patrzył na nas wszystkich...

Służąca powiedziała mi raz w tajemnicy, że Alefityna jest przyczyną naszego nieszczęścia. Od dawna to przeczuwałem. Otóż, gdy się sposobność nadarzyła, zwymyślałem przybraną macochę.

Czegóż nie dokaże zalotnica, używająca tkliwych słówek pieszczot, umiejąca nawet płakać, kiedy zechce?... Aktorka celowała w tych sztukach, rozciągnęła nad mym ojcem panowanie, zmuszony byłem uciekać z pod rodzinnej strzechy — aby do niej więcej nie powrócić!...

Czyż mógłem przewidzieć wówczas, że z kolebki wstępuję na tułactwo? że przyjdzie się błąkać po szerokim świecie, spędzić najpiękniejszą młodość w pośród nieznanych ludów, pod nieznanem niebem?...

A jednakże tak się stało. Skryte są wyroki Opatrzności!...

Obejrzawszy się po raz ostatni na domową zagrodę, załatywał mi jeszcze brzęk strun, poruszanych ręką Alefityny, i donośny acz chrapowaty głos ojca mojego, nucącego ulubioną zwrotkę:

«Kaź przynieść wina, mój Kurdeszu miły!»...

To było wszystko, co uniósłem na pożegnanie. Wierny Fidel, piesek pokojowy, on tylko wyprowadził mię poza wrota dziedzińca; lecz widząc, że za daleko idę, zawrócił się z powrotem.

Pozostałem sam na bożym świecie.

Skarby moje składały: srebrny krzyżyk i medalik poświęcony z Częstochowy; troszkę drobnej monety, w którą mię dzia dzio pułkownik zaopatrzył na wydatki szkolne; tudzież ze złoceniemi brzegami Pielgrzym z Dobromila.

Ujrzałem się na drodze publicznej wiodącej do Sochaczewa. Wieczór się zbliżał, nastąpiła też nie za długo szara pomroka, znikły powoli wieże kościołów Łowicza, i nic oprócz drzew nie widziałem. Drzewa te przybierały coraz inne, fantastyczne, lecz straszliwe formy, które mię przerażały. Zbierałem jednak całą

odwagę, aby wędrować dalej; na widok zaś jadących lub idących podróżnych, schodziłem z drogi.

Utrudzony, zasnąłem wreszcie pod krzakiem, lubo nie bez trwogi; gdyż każdy silniejszy powiew wiatru, szum liści, budził mię z uspienia, i zdało mi się słyszeć złowróżbne szepty koło siebie.

Ranek zapowiadała różana jutrzienka.

Wkrótce gorejące promienie słońca ozłociły Bzurę, tę żywą wstęgę, przepasującą zielone łąki i pola. Ruiny zamku Sochaczewskiego, na którym Plichtowie kasztelani zasiadali, zajęły moją uwagę; most na rzece zdawał mi się być arcydziełem, a szosa, ze swojemi malowanemi baryerami szczytem doskonałości!

Gdy tak wielbiłem w duszy tę czarowną dekorację natury i sztuki, zbliża się do mnie muzułmanin przy kindźale, źle po polsku mówiący, który wypytawszy mnie z kąd jestem, dokąd idę i o inne okoliczności, zaprowadził na drugi koniec miasta.

Alabenda — było to imię jego — zatrzymawszy się przed miejscową oberżą, ukazał schludny domek stojący naprzeciwno, gdzie kwaterował jego pan, rotmistrz, a zarazem mułła (ksiądz) Czerkiesów, nazwiskiem Abduła-Beg.

W czasie naszej rozmowy sam rotmistrz ukazał się w oknie, dając jakieś rozkazy niezrozumiałym językiem swojemu słudze. W tejże samej niemal chwili zbliżyła się do rotmistrza piękna, jasna główka młodej kobiety, która, postrzegłszy mnie studenta stojącego na ulicy obok Alabendy, odezwała się wdzięcznie po polsku; usłyszawszy zaś kilka uprzejmych słów w odpowiedzi, zaprosiła mnie do siebie.

Wszedłem więc do domu Czerkiesa.

Abduła-Beg był to mężczyzna w sile wieku, mógł mieć najwięcej około lat trzydziestu kilku. Wzrostu średniego, z długą czarną brodą, w bogatym stroju wschodnim, z wzrokiem bystrym a przenikliwym; zresztą dosyć przyjemnej powierzchowności.

Młoda Polka, jak się później dowiedziałem, Warszawianka, Andzia Szym... uderzającą stanowiła z nim sprzeczność. Była

to piękność lotna, niska, eteryczna, blondynka z szafirowem okiem i tkliwym wejrzeniem.

Abduła-Beg przyjął mię łagodnie i gościnnie, poczęstował kawą i wyborem śniadaniem; poczem oświadczył, że jeżeli chcę się udać sam do Warszawy, to mogę mieć łatwo wypadek; że do Warszawy jest bardzo daleko, lecz że on mnie z sobą zabierze i że tym sposobem dostanę się do matki.

Uszczęśliwiony obietnicą, dzień cały przyjemnie mi zeszedł. Dziecko, jakim byłem, łatwo pocieszyć. Przebrano mnie po czerkiesku, co mnie bawiło; owe galonki tak mi się podobały! wreszcie sama Andzia mówiła, że mi były do twarzy.

Nazajutrz pojechaliśmy konno do hrabiny w Resz... gdzie nas bardzo dobrze przyjęto. Innego dnia ruszyliśmy z wizytą do Gawłowa, do młodego obywatela i dosyć przystojnego, co miał żonę z teatru warszawskiego. Słowem, czas nam dość wesoło upływał na zabawach, polowaniach, i t. d.

Opiekun mój przygotowywał się tymczasem do wyjazdu. Sprowadził nowy powóz, rozmaite sprawunki podrózne, co mnie wielce cieszyło; gdyż po za tem wszystkiem obraz matki przedstawiał się mej wyobraźni. Pragnąłem jak najprędzej ujrzeć się przy niej.

Wyruszyliśmy nareszcie z Sochaczewa. Abduła-Beg z Andzią wzięli mnie pomiędzy siebie, Alabenda zajął miejsce służącego.

Jechaliśmy dnie i noce, popasali i znowu jechali, a Warszawy nie było widać, i spostrzegłem się dopiero po niewczasie, że gdzieindziej jadę; obawa zaś i niedoświadczenie dwunastoletniego chłopca nie przedstawiały środka ratunku.

Po opuszczeniu granic Polski, doświadczając rozmaitych drobnych przygód, bliscy nieraz stoczenia bójek z powodu awantur podchmielonego Alabendy na stacyach pocztowych, przebyliśmy przecie szczęśliwie całą Moskwę, jadąc na Kijów, Odessę, i zatrzymaliśmy się w Stawropolu.

Tutaj Tatarzy zajęli moją uwagę i miasto obleczone w sukienkę na pół-wschodnią. Greczyna też lub Czerkieska z ogorzalem obliczem gdzie niegdzie tu napotykałem. Na ich widok myśląc, że jestem gdzieś na końcu świata, rzuciłem się rzewnie w objęcia Andzi. Lecz jej perswazye, łagodność, tkliwość, ja-

koteż nowe widoki a nadewszystko, że tak powiem, owa łatwość życia, której w domu ojcowskim pozbawiony byłem, zmniejszały me cierpienia i czyniły znośnem położenie.

W Stawropolu już daje się poczuć inna atmosfera, a z nią i charakter górali. Wszyscy tu chodzą zbrojno, jeźdźcy i piesi, z nożami za pasem, pistoletami, i dwoma rzędami ładunków na piersiach. Jakieś postacie groźne, z naciśniętymi na czoło baraniami czapkami, z pod których wyglądają ponure, brązowe oblicza ze świecącymi oczami, snują się tam i owdzie. Widać wszędzie piętno trwogi i chytrności; widać, że jeden drugiemu nie ufa i jeden drugiego się boi; bo spoglądają na się z po-
 delbą. Żadnego uśmiechu, żadnego wesela na twarzach, tylko wyraz groźby lub zemsty! Widać, że w tem mieście nieprzyjaciele sami się spotykają — łączy ich tylko braterstwo jednego knuta.

Za Stawropolem świetne panorama wyrosło nagle przed memi oczami. Rozciągało się w dali pasmo nieruchomych obłoków, podobne do szmat brzemienych chmur osiadłych na łądzie. To zamglony Kaukaz, miejsce mego przeznaczenia! ...

Zbliżając się do niego, przebyliśmy fortecę Władykaukaz. Groźna ta twierdza, ogromny zastęp na jedynej drodze wiodącej tamtędy do Gruzji, Armenii, Erywanu, itd.: (drodze ku Indyom), owa odwieczna strażnica mężnych górali, obecnie w rękach ambitnego caratu!

Za Władykaukazem nowy świat się poczyna. Żegnam was płaszczyzny i doliny spokojnych narodów! Przedemną świat skał i gór niebotycznych, wąwozów i otchłani; oryginalny krajobraz sterczący poważnie ze swojemi najdziwaczniejszymi kształtami w całkiem świeżym kolorycie!

Pójdźmy więc w góry.

Za Władykaukazem jechaliśmy gościńcem w kamieniu wykutym. Po nad nim, z jednej strony piętrzyły się niedościgłe wzrokiem, poszarpane wstrząśnieniami wulkanicznemi, masy skał i ziemi, jużto pokryte lasami, już zupełnie nagie, już uwieńczone krainą śnieżnic i lodów. Kozły skaczące po stromych urwiskach, urozmaicały krajobraz — i sęp zataczał w powietrzu koła.

Z drugiej strony gościńca bezdenne przepaść; czarna, jak otchłań piekielna. Rozbijające się z rykiem spienione potoki, spadające do przepaści, przygrywały na dziką nutę owej dzikiej przyrodzie.

Tradycya niesie, że w tych miejscach znajdują się niezmierne skarby złota i drogich kamieni; lecz dotąd ludzie nie znaleźli sposobów eksploatacy i nasycenia żądzy chciwości swojej. Co za szkoda?

Brzegiem gór, z których najznacniejszą jest Majorsza (Majorowa), tak zwana z powodu zasypiania lawiną majora moskiewskiego, wężykuje wspomniony gościniec, olbrzymie dzieło, nad którym pracowali nie ludzie ale Tytani.

Gdyby wieszczy duch natchnął był Czerkiesów do zaniechania tej mozolnej roboty i nie byli sami przygotowali toru swemu najzaciętszemu wrogowi, o ileż różne od obecnego byłoby ich położenie?...

Kto jednak ma zamiar podróżować tym szlakiem, nie radzę mu żartować sobie z Czerkiesów i puszczać się o własnych siłach. Niebezpieczeństwo tam nieustaje o żadnej porze, pomimo miejscowych, przygotowanych naprzód środków obrony w razie wypadku. Spotykaliśmy liczne karawany przebywające tamtę okolicę nie bez trwogi. Nieprzyjaciel bowiem jest w niej niewidzialny. Nie można oznaczyć miejsca jego zasadzki, gdyż on mieszka wszędzie. Każde tam drzewo, krzak, głąz, jest nieprzyjacielem.

Jeżeli na tej drodze, po której na ryzyko postępujesz, podejrznięto gardło wyznawcy islamizmu, obaczysz na tem miejscu podłużny kamień — na kamieniu napis arabski, kadzidło dla nieboszczyka i wezwanie pozostałej jego rodziny do zemsty — nad napisem zawój!

Jeżeli chrześcjanin padł ofiarą, zatknięto krzyż, godło przebaczenia.

Lecz owych kamieni tatarskich, lecz owych mogił i krzyżów taka tam liczba, iż zdaje się podróżnemu, że odbywa pielgrzymkę przez cmentarz bez końca.

Ale Abduła-Beg nie znał niebezpieczeństwa!

Powóz nasz ciągnęło dwanaście par bawołów, prowadzonych

przez dwunastu Gruzynów. Abduła z Andzią, znudzeni powolną jazdą, udali się naprzód piechotą.

Wkrótce, po ich oddaleniu się byłem mimowolnym świadkiem okropnego dramatu, cechującego zawiesz, jaką tchną spodleni moskiewską niewolą Gruzyni przeciw Czerkiesom w ogóle:

Lezgin wiódł spokojnie małą karawanę obławianych wielbłądów i zboczył z drogi, zostawiając nam wolny przejazd. Gruzyni, tchórze z natury, widząc go samotnego, ośmielili się do zyskania na nim odwetu za doznane nieraz upokorzenia od walecznych synów Kaukazu. Szepcząc przez chwilę do siebie, jeden z nich podlaźł podstępnie do Lezgina, zerwał mu czapkę i rzucił z szyderstwem do przepaści. Nuż cała hałastra naśmiewać się z pokrzywdzonego! Ten nie mógł znieść doznanej zniewagi. Silny i odważny, rzucił się ze zręcznością pantery na przeciwnika, schwycił za pas, wznosił w powietrze i strącił w otchłań, wołając: «Kio po ogły! (psi synu!) przynieś mi moją czapkę!»

Następstwo było do przewidzenia. Cała zgraja Gruzynów napadła na nieszczęśliwego i zepchnęła do topieli.

W Alabendzie, moim towarzysz, drgnęła na ten widok żyłka czerkieska. Choć czuł przemoc przed sobą, dobył kindżała, wyszczerzył zęby, namiętnością górali kaukaskich, i gotował się pomścić hańbę i śmierć współziomka — gotów sam zginąć, gdyby nie zwyciężył.

Nie wiem, jak owa krwawa scena byłaby się zakończyła, gdyby odgłos dzwonek nie ostrzegł był o zbliżeniu się jakiegoś ekwipażu. W samej rzeczy, pop eskortowany przez oddział kozaków, zbliżywszy się do nas, położył tamę zawiązanej kłótni. To jednak nie przeszkadzało Alabendzie poprzysiąc zemstę Gruzynom.

Spuszczanie się z góry było trudniejszym, niż toczenie się pod górę. Złączyliśmy się z Abdułą, który przyspieszał podróż, aby jak najprędzej powitać rodzinne miejsca Baki. Rozsądek nakazywał mu wprawdzie przenocować na przystanku, atoli romantyczne skały i gorący klimat tameczny, usposabiający do czynów śmiałych, spowodowały go zapewne puścić się z nami na chybi trafi w nocną wycieczkę.

• Nigdy owego wieczora nie zapomnę. Miły chłód orzeźwiał

po dziennym upale; miryady gwiazd, naksztalt siatki złocistej, przyswiecały na ciemnym lazurze; były one powiernikami cichych westchnień i tęsknych myśli moich.

Andzia zanuciła stłumionym głosem: «Kto się w opiekę...» Z rozrzwinieniem dziecięcem pochwycałem to święte pienie — śpiewaliśmy oboje. Jakaś smętna uroczystość rozlewała się w całym wszechświecie i w mojem jestestwie.

Modlitwa Andzi, skały zmieniające co chwila swe tajemnicze postacie, przybierające jakieś podłużne formy, różne wzory, jakby sennie widziadła; rysująca się sylwetka siedzącego obok mnie muzułmanina, jego przysłuchiwanie się spokojne naszej pieśni — wszystko to podnosiło mą młodzieńczą wyobraźnię. Lecz na jej kanwie najwydatniejszą była zdruzgotana głowa Lezgina, wyglądająca z rozpadliny.

Nagle krzyk: «Kim gialir?» (kto jedzie?) zahuczał jak piorun odbijający się echem po jaskiniach i pieczarach.

Powóz nasz obskoczyło kilkunastu konnych.

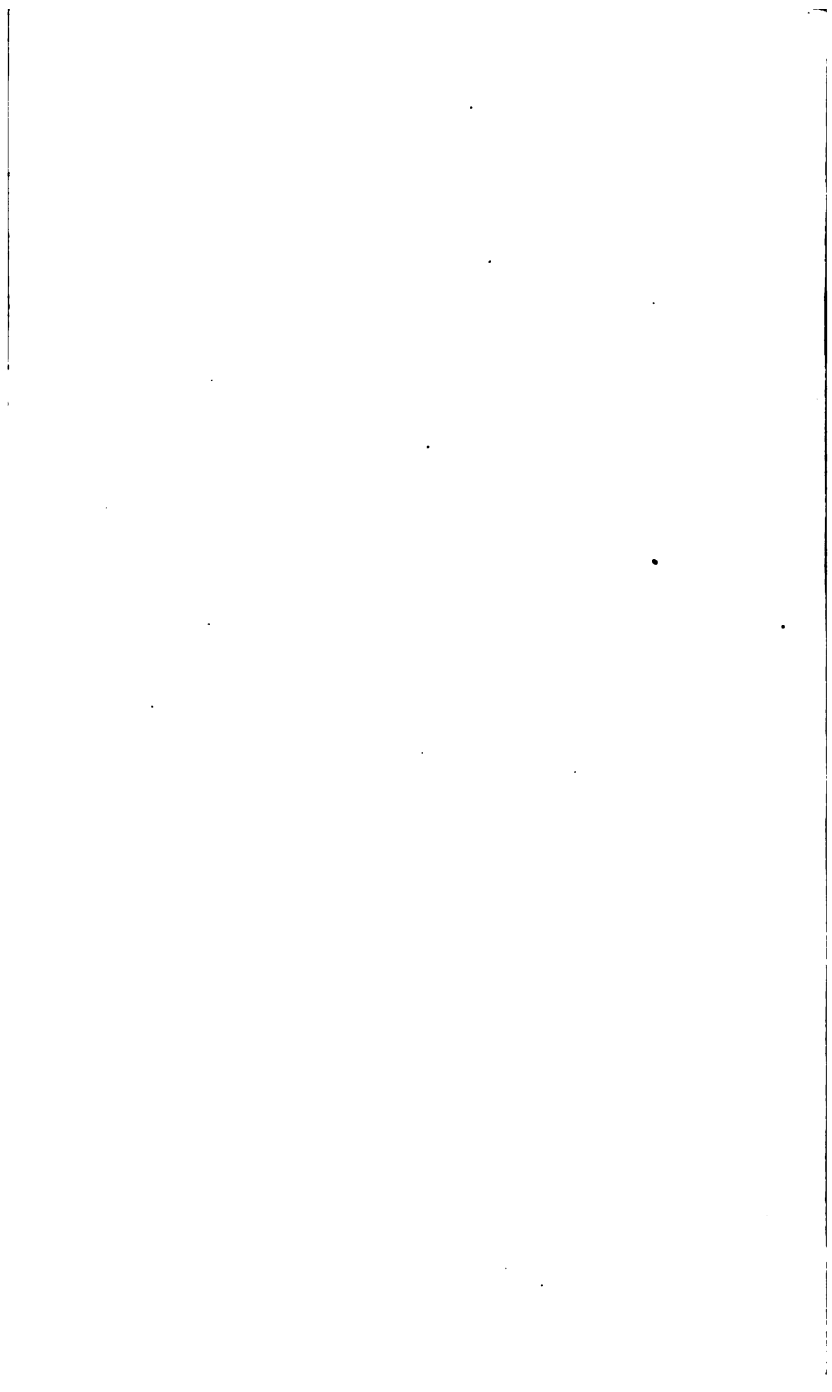
Abdula-Beg porwał za strzelbę, ale nie było podobieństwa ocalić się w pomroce z rąk znanych ze złości i męstwa jeźdźców — byli to Lezgini. W okamgnieniu rozbrojony został, i rozczwiertowanoby go, jako wyrodnego Czerkiesa, noszącego szyniel i chresty carskie, gdyby się nie był wykazał, że jest mułłą (duchownym), a tem samem osobą nietykalną.

Puszczono go więc na wolność.

Co się stało z Alabendą? co się stało z bawolarzami? nie wiadomo. Ja i Andzia posadzeni na ręce bieguny, popędziliśmy cwałem w ciemne parowy.

II.

·RODZINA ABBASA.



II.

Kłusowaliśmy przesmykiem kamienistym, a jednostajny tentent jazdy przerywał nocną ciszę. Czasami słyhać było żałosne skowyczenie uciekających przed nami szakali; krakanie spłoszonego z uspienia ptastwa, lub szmer oddalonego wodospadu. Kiedy niekiedy, gdy iskry pryskające z pod kopyt końskich oświeciły podziemną knieję, ślepie wilków szurających między krzakami błyszcząły tu i owdzie.

Strwożony, trzymałem się z całej siły lęka u siodła, aby nie upaść na pożarcie dzikim zwierzętom.

Podobnego losu doświadczała też Andzia.

Dziwna rzecz, że pomimo gwałtownych skoków przez doły i rożpadliny, pomimo raptownego zbiegania, a raczej sunięcia się z pochyłości, lub rzucania z wysileniem na wyniosłość, nie czułem takiego wstrząśnienia, jakiego w Polsce na niejednym rumaku doznawałem.

Opatrzność dozwoliła słabemu człowiekowi pokonywać żywioły na każdym miejscu.

Koń lezgiński i jego pan, to jedno! Dzięką oni z sobą wszystkie niebezpieczeństwa i trudy. Czworonogi do szybkości gazelli łączy odwagę lwa, i jest najwytrwalszy z pobratymców swej rasy.

Stanęliśmy nakoniec na jakimś rozdrożu wśród wzniesionej doliny, dokąd zbliżało się dwóch wartowników.

«Sellam allejkim!» — «Allejkim sellam!» było wzajemne powitanie rycerzy.

Wartownicy otworzyli drewnianą bramę, przez którą wjechaliśmy w ulicę wioski. Po obu stronach wznosiły się domy w pewnej odległości jeden od drugiego.

Zdobywca mój, zwany Abbas, zeskoczył najpierwszy przed jednym z tych domów i zszedł mi z konia. Tak się uczulem znużony, iż zaledwie ustać mogłem. Okrzyki radości dały się słyszeć do koła; przed progiem zaś domu stała gromadka niewiast, witających Abbasa, jak się zdawało, pewnym rodzajem błogosławieństwa. Jedna z nich, wzięwszy wierzchowca za cugle, zaprowadziła w podwórko.

Weszliśmy do chaty.

Zacząłem się rozpatrywać w nowem schronieniu. Nie miałem dotąd swobodnej chwili do zastanowienia się nad przygodą, która mię tak nieoczekiwanie spotkała. W krótkim czasie, ileż to wrażeń! Ostateczne atoli było to, że jechałem do jakiejś czarnej straszliwej jaskini rozbójników, — gdy tymczasem, nadspodziewanie ujrzałem się w schludnem mieszkaniu, gdzie wszystko dosyć przyjemnie na mnie oddziaływało.

Żony Abbasa czyniły honory domu.

Jedna z nich zdjęła obuwie swojemu władcy i myła mu nogi wodą zaprawną pachnidłami; — druga, podała cybuch kręcony z nargilą, nałożoną tytoniem; — trzecia rozdmuchiwała węgle w bengalu (rodzaj kociołka), i ogrzewała kołderkę dla okrycia stóp sułtanowi; — czwarta zajęła się zastawianiem wieczerzy. Słowem, każda, a było ich siedem, wzięła się do swego wydziału — oprócz jedynej, najmłodszej, najurodziwszej, największe względy posiadającej; nazywano ją Assya.

Nie zapomnę tej smugłej postaci, silnej budowy ciała, o krucznych warkoczach po kostki; gustowną przyodzianą szatą, jaśniejącą bogactwem i świeżością. Twarz jej blada, nabierała rumieńca w miarę jak mówiła, a oczy z pod długiej rzęsy błyszczały jak dwie gwiazdy.

Przy niej uwijał się synek, ostatni potomek rodziny Abbasa.

Mając dziwne wyobrażenie o Czerkiesach, zapytywałem siebie, czy to jest prosta góralka? czy też jaka wykradziona, słynna z piękności wschodu, księżniczka? Lecz później widziałem podobne. Bądź co bądź, żony Abbasa przedstawiały coś z Tysiąc nocy i jedna.

Assya podstała ku mnie, zaczęła mówić, lecz z wielkim żalem nie mogłem jej zrozumieć. Podała mi czaszę napelnioną wodą, dała znak, abym sobie ręce i nogi obmył, a następnie usiadł — co też uczyniłem.

Abbas powstał z miejsca. Wtedy to miałem sposobność przypatrzenia się owej wspaniałej postaci. Poważna siwa broda zdradzała wprawdzie wiek jego podeszły, lecz w ruchach i całej powierzchowności tego Azyaty przebijało tyle żywotności i potęgi, że miałby czem nadzielić kilkunastu wypieszczonych Europejczyków.

Postąpił w róg izby, złożył ręce na piersi i modlił się gorąco. Potem zbliżył się do mnie, i jakkolwiek z trudnością, zamieniłem z nim słów kilka, których się nauczyłem w czasie pobytu u Abdul-Bega, jakoteż w podróży. Obejście starca było obojętne, ale łaskawe, nacechowane wyrazem godności. Kazał mi przynieść inne suknie, w które mię natychmiast przebrano.

W tem podano wieczerzę.

Abbas powtórnie odmówił, lecz na ten raz krótką, modlitewkę, i zasiadł samotnie do stołu. Mnie zaś ofiarowano też same co i jemu potrawy, mianowicie: ryż, baraninę, owoce, i sorbety, tylko na innym stoliku.

Podczas obiadu drzwi otworzyły się nagle, i trzy żony Abbasa, jakby trzy gracye, ubrane z wdziękiem, wbiegły do komnaty. Pierwsza z nich w płasach czarowała zręcznością, gibkością i urodą. Druga z bębenkiem i brzękadłami towarzyszyła siostrze (bo tak się między sobą zowią). Trzecia z torbanem zawierającym na zielonej szarfie, zawodziła śpiew długi (który był improwizacją poetyczną).

Śpiew ten z początku nieco hałaśliwy, przedstawiający narzekania kobiety, płacz dzieci rozstających się z ojcem, wolniejąc, wyrażał uczucia rzewnej tęsknoty. Przerzywała go zwrotka weselsza. Potem raptem się urwał. Dalej, oddawał echo skał powtarzające jęk zupełnie odrębny, niezwykły — szczególnie przejście muzyczne! — jako też huk strzałów, szczęk oręża, krzyki i wrzawę wojenną; w czem wszystkim jeden głos przeważał, naśladowany a silny głos Abbasa rycerza.

Improwizacya skończyła się na tem, że bohater, po dokona-

nych cudach waleczności, jako zwycięzca gdzieś znika pośród zdumienia swych ziomeków. To wzniosłe!...

Improwizacye podobne ocenilem nie prędyj, aż się obeznałem z językiem miejscowym, do czego dosyć rychło doszedłem. Czerkieski zwykle układają wiersze na cześć wielkich czynów swych mężów. Te wbijają się przez powtarzanie w pamięć działy i zamieniają w tradycyę; chociaż miłość własna improwizatorcki popycha ją do samochwalstwa.

Wmawia zazwyczaj w męża, że i ona pochodzi ze znakomitego rodu dzielnych wojowników; że matka jej była tak piękną, iż chmurki żeglujące po niebiosach pierzchały przed jej wzrokiem promienistym; słońce mrugało na nią; że była lekką jak pianka wodnista; blaskiem lica ómiła barwiste kwiaty i świetne kamienie; głos zaś jej był tak czuły, słodki i dźwięczny, iż wiatry i ruczaje zatrzymywały się w biegu, a leśni ptaszki w locie, aby mu się przysłuchać.

Pieśń przebrzmiała. Wszyscy się oddalili, oprócz Abbasa i Assyi, zajętych rozmową. Częste ich spoglądania na mnie dały do poznania, że toczyła się rada dotycząca mej osoby. Przeniósłem się wówczas myślą pod rodzinną strzechę. Wspomniałem sobie, jak dziadunio pułkownik lubił opowiadać wieczorem przy kominku o Wacławie Rzewuskim, szeiku Beduinów. Nie tajny mi był zwyczaj plemion wschodnich, przyznający zdobywcy prawo własności nad jeńcem, którego wolno mu sprzedać jako towar lub użyć do najcięższych posług.

Lecz, cóżby znaczyła owa uprzejma gościnność dnia pierwszego? ... Jestże ona zwyczajem? lub zachowano ją może dla pocieszenia mię na chwilę. Czytałem niegdyś w «Turczyźnie Wojazującym», jak ludożercy dobrze się obchodzą z niewolnikiem i karmią go słodyczami ażeby utył zanim go pożrą. Niektóre ludy, mianowicie Indyanie, jeszcze lepiej robią, bo przedstawiają skazanemu na śmierć cudnej urody kobietę, zanim spalą go na stosie, sądząc, że przez to oddają mu ostatnią pociechę.

Te i tym podobne dumania krążyły bezładnie, gorączkowo w mej strudzonej głowie; nastąpiły niewyraźne mrzonki, oczy mi się kleiły, zasnąłem.

Nagle ocknąłem się i poczułem, że mię ktoś bierze za rękę.

Assya z synem stała przedemną. Zaprowadziła nas na płaski dach chaty, gdzie obadwa mieliśmy nocować. Zwyczajna sypialnia jedynaka była pod gołem niebem, w celu zahartowania go na zmiany powietrza.

Nazajutrz i dni następnych też sama gościnność! Radość ma była wielka, gdy ujrzałem wchodzącą Andzię w orszaku kilku Czerkiesów. Twarz jej atoli była wybladła i nosiła piętno znużenia. Tkliwość jej względem mnie nie miała granic. Błagała szlochając, abym jej przebaczył, że nie chcąc sama jechać z narzeczonym, wyjednała u Abdul-Bega, żeby kogoś z Polaków zabrał z sobą dla jej towarzystwa; abym jej przebaczył, że stałem się jej żądań ofiarą.

Eza Andzi była, niestety, łąką pożegnania. Abdula-Beg nie zapomniał o swej przyszłej małżonce, i pospieszył z wykupieniem jej u Lezgina, któremu się dostała w ręce. Co do mnie, nie przedstawiałem dla niego tak niezbędnej potrzeby, aby miał uszczuplone swe fundusze na mnie wykladać. Pozostawił mi więc losowi Opatrzności, a z oddaleniem się Andzi uleciała ostatnia dla mnie nadzieja. Zostałem opuszczonym sierotą, zostałem Czerkiesem!...

Jakoż, nie tylko odzież dano mi lezgińską, ale i dokonano obrzędki obrzezania. Co się zaś tyczy względności doznanej, czas pokazał, że winien ją byłem głównie Assyi, z przyczyn następujących:

Abbas stracił czternastu synów w obronie kraju od Moskwy. Syn Assyi, mały Mustafa, jak już wspomniałem, był ostatnim następcą jego linii męskiej. Matka drżała na myśl, że podobny los czeka jej najdroższego jedynaka gdy podrośnie; że najmłodszy Mustafa, ów ukochany Benjaminek, skoro powołany zostanie do szeregów, więcej nie powróci; a Abbas pozbawiony będzie ostatniego szczepu płci swojej w ojczyźnie zagrożonej od przemocy.

Sędziwy rycerz powtarzał sam często, że może kto go przeklął, aby w starości «przeżył ostatniego potomka», gdyż — mówił on — i Mustafa zginie w najpierwszej walce z wrogiem, bo mężstwem musi wyrównać braciom poległym; inaczej, upokorzony, spodliłby się w oczach narodu.

Przecucie ojca, prawdziwe czy mylne, serce matki dzieliło.

Jej smętne a częste zamyślanie się, melancholiczne spojrzenia rzucane na dzieciaka, dowodziły obawy o niego, z którego szczyła się, który ją wyniósł do godności pierwszej odaliski harem, otoczył miłością i szacunkiem męża.

Myśl wszelakoż szczęśliwa nasunęła się Assyi, i odtąd twarz jej była więcej ożywioną, oko pałało żywszym blaskiem, ilekroć razy objaśniała mię o mowie lezgińskiej. Tę samą myśl poddała ona powoli, z całą oględnością, mężowi, z obawy aby jedynej kotwicy zbawienia nie utracić, gdyby nie przypadło mu jej zdanie do smaku, gdyby obruszywszy się stanowczo odmówił pójścia za jej radą.

Z zabiegów białogłowy wynikło to, że Abbas pierwszy, zwyciężony uczuciem ojcowskim, przeznaczył mię na zastępcę jedynaka, którego oszczędzić służyło mu prawo.

Skutkiem tego Mustafę i mnie razem wychowywano, ubierano jednakowo, kształcono; a Assya starała się zastąpić mi w troskliwości rodzoną matkę i nazwała Jusu fem. Byłożli to przez wspomnienie na Józefa w niewoli egipskiej?...

Assya miała serce dobre, skłonne do współczucia. Umiała spędzać tęsknotę z mego czoła, umiała wyszukiwać rozrywki dla dwóch swoich chłopców, jak nas mianowała, nagrodzić podarunkiem lub przysmaczkami; — gdy zaś jej opowiadałem, że i Polaków Urus (Moskal) gniecie, zdawało mi się czytać w jej obliczu podwójną miłość ku mnie.

Assya pieściła nas nawet. Sypiając na dachu, chłodny wiatr lub deszcz stawał się nam czasem nader niemiłym, choć nakrywaliśmy się burkami. Otóż, skoro Abbas wydalili się z domu na wyprawę wojenną, albo u innej z żon przebywał kolej tygodniową, Assya, korzystając ze sposobności, przyjmowała nas do swego pokoju. Tam, na aksamitnem pościeliu milej było zasypiać, niż na wilgotnym lub spiekłym od słońca granicie.

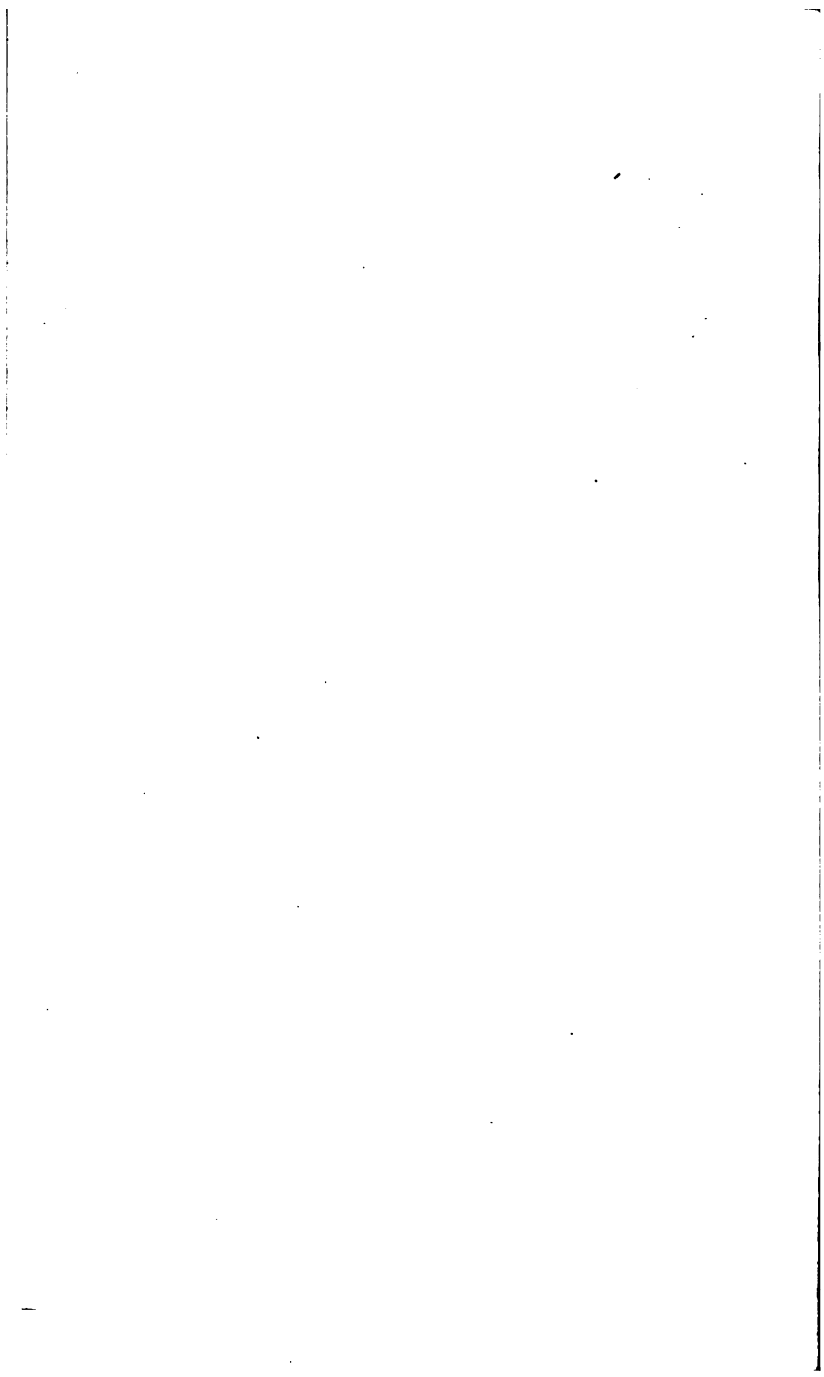
Szkoły, w których pobierałem początkowe nauki w Polsce, jakoteż późniejsza niedola, tudzież żywot pomiędzy obcymi, gdzie człowiek tak prędko dojrzewa, wreszcie, wiek mój różniący się starszeństwem o parę lat od wieku Mustafy, wszystko to sprawiło, że byłem rozsądniejszym od niego i wywarłem nad nim pewną przewagę moralną. Powstrzymywałem niekiedy zbytnią jego żywość, zamiary i figle, w których mógłby się był

łatwo narazić na skręcenie karku — wywracając w dół koziółka, słowem, zająłem stanowisko w pewnym stopniu mentora, wywiązującego się z obowiązku wdzięczności za pieczołowitą opiekunki.

Z Mustafą też wkrótce staliśmy się przyjaciółmi.

Musiałem wraz ze wszystkimi odmawiać modlitwy, co czyniłem dla formy; musiałem zwyczajnie przejąć azyatyckie.

Dopóki nie skończyłem lat piętnastu, niewiasty haremu Ab-basa nie zakrywały twarzy przedemną, i wolno mi było nawiedzać je i obcierać się między niemi. Zapewne żaden jeszcze Europejczyk nie miał sposobności być naocznym świadkiem domowego życia Lezginów, przeniknąć je, i wtajemniczyć się w zwyczaje ich haremów. Zdaje mi się, że zbiegiem okoliczności byłem jedynym pod tym względem wyjątkiem.

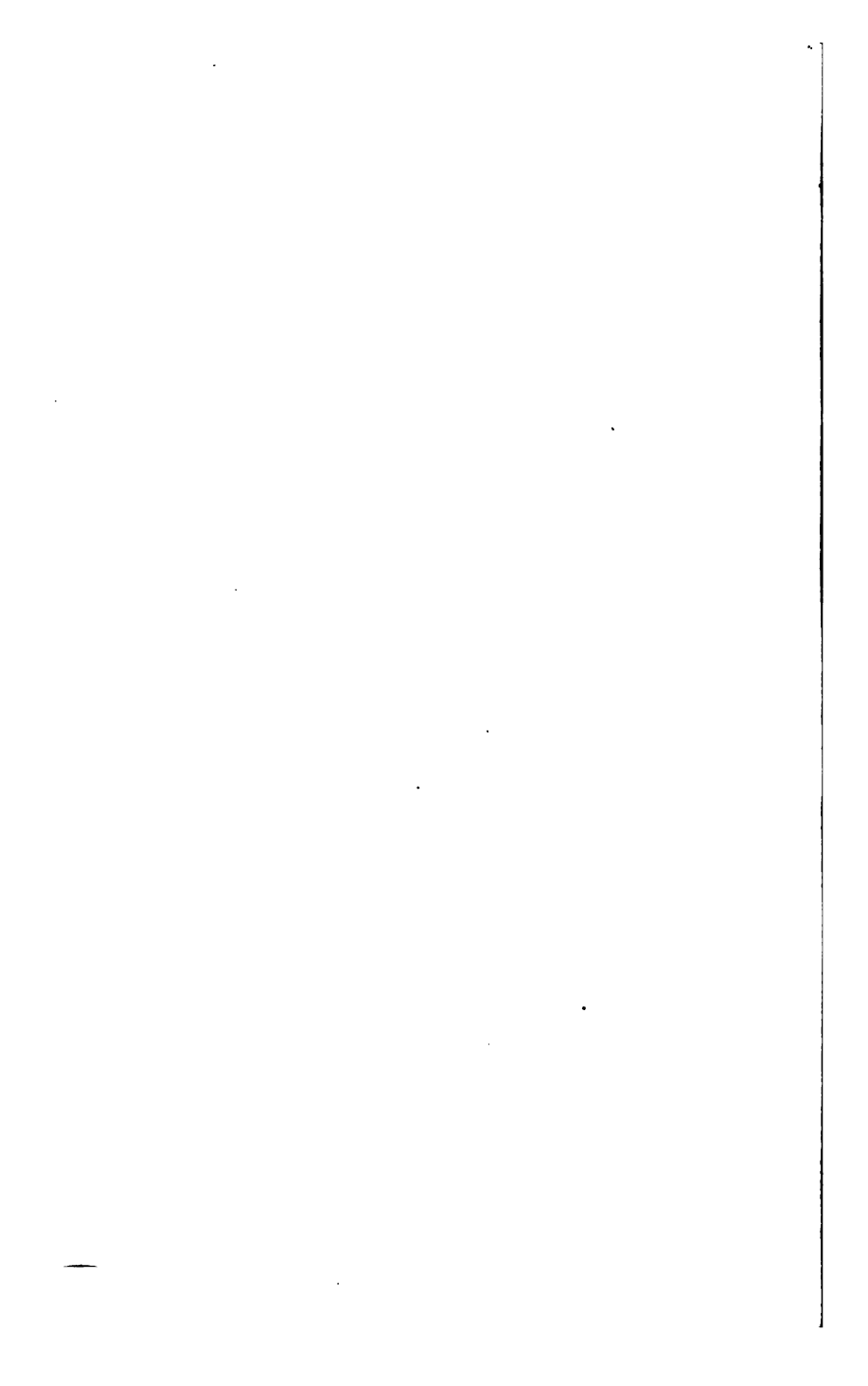


III.

RYS KAUKAZU. KRÓL WĘŻÓW.

•

•



III.

Łańcuch gór kaukaskich mieści w swych wąwozach i łańcach mnóstwo rozmaitych napływowych różnymi czasy ludów. Drobne te ludy po większej części nie wiedzą o swoim pochodzeniu. Zapytaj je: z kąd przybyły? od jak dawna tu osiadły? odpowiedzieć nie umieją.

Kto się zakochał w mitologii, niechaj wywodzi ich przeszłość. Muza moja nie ma natchnienia jej opiewać.

To pewna, że najznamienitsze z owych plemion są: właściwi Czerkiesi, od nazwy których wszystkich górali mianujemy Czerkiesami; Czeczeńcy; Kabardyńcy; nakoniec Lezgini — perła Kaukazu.

Związek polityczny był niedostatecznym do wzmocnienia ich i zlania w jedno. Węzeł religijny, związek muridyżmu, złączył ich w całość.

Wprawdzie na małej przestrzeni Kaukazu, obok najsilniej wkorzonego machometanizmu, dają się postrzegać szczątki wiary Chrystusowej; lecz są one tak zeszepeczone, że od obrzędów bałwochwalskich z trudnością odróżnić je można. Tu i owdzie widać jeszcze rozwaliny świątyń, widzieć można i przybywających do nich pielgrzymów, lecz ci składają pogańskie ofiary nieznanemu, a raczej zapomnianemu Bogu chrześcian, który był Bogiem ich ojców.

Ludność górali do miliona przeszło liczy — ale czyż można ich policzyć, ukrytych w zakrętach i fałdach skalnych?

Lezginów liczba dochodzić ma do 400,000 dusz. Zamieszkali

w miejscach, które chyba Bóg wybrał za kolebkę rodu ludzkiego, zachowali surowość i czystość obyczajów.

W klimacie, gdzie człowiek dojrzewa fizycznie jak owoc Edenu, kobieta stała się kwiatem piękności.

Owa nieskalana rasa kaukaska, organicznem usposobieniem przewyższająca inne, jakże potężnie objawia światu po wszystkie czasy swoje uczucia i wrażenia!

Dzikość Lezgina, pierwotworu człowieka — którego tylko Moskale, krótkowidze i ludzie złej woli, czerpiący swą mądrość ze źródeł nieczystych, okrzykli za rozbójnika — dzikość ta dodaje mu niewypowiedzianego uroku, przy jego wrodzonej szlachetności. Zastępuje ona u niego miejsce sztucznego wychowania cywilizacyjnych narodów, które nie zawsze naśladowują jedynie to, co jest naśladowania godne.

Prawda, że ten sam Lezgin roznosi mord i pożogę między swoje wrogi, pozostawia za sobą rozpacz i spustoszenie; lecz zważyć trzeba, że urodził się on o pięćset mil od nas, w innych obyczajach i warunkach istnienia. To, co on robi, jego ojciec robił, jego dziad, jego pradziad robił.

Cudowna przyroda Kaukazu nie karłowaci lecz rozwija i pielęgnuje. Stanąwszy na szczycie góry, oddychając najczystsze powietrze, człowiek nie czuje ciężaru własnego; oko przenosi w niego odbicie wielkiego, rozpostartego pod jego stopy obrazu; a tak mimowolnie poczuwa on wzniesienie ducha, siłę twórczą, potęgę osobistą.

Lapończyk i Eskimos, smutne zaiste studjum filozoficzne! Prawie żal, że żyją na świecie, gdy ich porównywanam z Lezginami.

Lezgini, jakkolwiek dzieci natury, zamieszkują piękne auły (wioski). Auły te są rozrzucone wśród niedostępnych dolin i jak gniazda orle na grzbietach skał, u stóp których wznoszą się reduty moskiewskie.

Domy ich murowane, tynkowane i bielone, z dachami płaskimi, pokrytymi łupkiem lub naftą, to jest olejem skalnym, zmieszany z kredą, gliną i piaskiem. Wszystkie są fortecami. Ażeby zająć auł, trzeba wprzód zdobyć każdy dom po szczególe.

Pokoje w tych forteczkach sklepione, mające strzelnice z

frontu, okna małe, wychodzące na dziedziniec; podłogi z ciosanego kamienia, kobiercami zwykle wysłane. Kuchnia ma tylko otwór w suficie, którego dym ulatuje z kotliny. Podczas zimy mieszkania są ogrzewane bengalem.

Czystość jest artykułem wiary.

Lezgin łączy się związkiem krwi tylko między sobą; dla tego uważają za niepotrzebne wywodzenie swej rodowitości. Arystokracja nie ma między nimi miejsca. Wiek sędziwy, zasługi męstwa i rozumu dają prawo do szacunku, przyjaźni i pierwszeństwa w towarzystwie. Tytuły hanów, szejków, sułtanów, begów, nie mają u nich znaczenia, chociaż są cenione u innych pokoleń kaukaskich. Lezgin jest tylko dumny obywatelstwem swego kraju. On jeden spośród górali nie zwykł był legitymować się w obec Szamyla — i skoro powiedział, że jest Lezginem, władca o więcej nie pytał.

Mimowolnie przypomina się tu przepowiednia z Księgi Rodu: «Ludzkość tak się w jedno złączy, że imiona i nazwiska rodzinne znikną; będzie tylko jedna rodzina, jedno nazwisko: człowiek!»

Lezgin do każdego używa zaimka osobistego «ty». Temu zaś, kto odbył wędrówkę do grobu Machometa lub do innych miejsc świętych, dodaje przez uszanowanie tytuł: hadżi (pielgrzym).

W potocznej rozmowie jest krótki lecz otwarty. Rzadko, mówiąc do kogo, używa przymiotników omawiających, w języku tureckim tak powszechnych, gdyż uważa to sobie za upokorzenie w obec równego sobie bliźniego. Przymioty i cnoty ludzkie, jedynie w pieśniach i tradycjach sławi. Dla tego bohaterowie jego legend są nieśmiertelni; a widma ich, rosnąc z pyłem czasu, przybierają olbrzymie wielkości.

Na Kaukazie, jak wszędzie, poeta trzyma miejsce przed filozofem i historykiem.

Imiona własne mieszkańców Lezgitanu nie mają końcówek drugiego przypadku deklinacji, odpowiadającego na pytanie: czyj? jak to ma miejsce w języku rosyjskim. Nazwiska np. Ogarow, Szypow, Kaługin, itp. oznaczają, że ci co je noszą, nie należą do siebie, ale do Ogara, Szypa, Kaługi.

Lezgin żyje sobą. Duma jego, nie jest to owa głośna, śmie-

szna pycha azyatycka, z próżności pochodząca. Gardzi on bogactwy, ubiera się czarno, poważnie: zbytek postrzedz tylko można w rzędach na konie i w zbroi w srebro okutej.

Kobiety noszą szerokie spodnie, koszule jedwabne, spencerki złotem wyszywane, tudzież pierścionki, bransoletki i pasy lite; na szyi zaś i we włosach złotą monetę i drogie kamienie. Lubią korale, które tu do wysokiej ceny dochodzą. Narzucają na głowę zasłony czyniące niewidzialnymi przed obcymi ich twarze i kibicie. Mąż jest w obowiązku utrzymywania żon, dając im mieszkania przyzwoite, ubiór, ogród i jedwabnictwo, z którego ciągną dochody. Dostają też częste upominki w pieniądzach i rzeczach od swych rodziców.

Małżeństwa zawierane bywają w sposób następujący:

Starający się zapoznaje się z ojcem i z braćmi dziewczycy, którą zamierza pojąć za małżonkę. Wyobrazić on sobie przedewszystkiem musi, że jest ładna i że mu przypadnie do smaku, gdyż jej nie obaczy odśloniętej i nie może z nią rozmawiać aż po ślubie. Nie dowierza jednak swej przenikliwości i chodzi zamyślony.

Ale spotyka przypadkiem, z niechcienia, usłużną swachę, podobnie jak my Europejczycy spotykamy częstokroć na drodze życia naszego pocziwą panią Intrygę.

Swacha zna z bliska jego miłość chodzącą.

Co za szczęście: Żadna hurysa w niebie nie może być od niej piękniejszą. Wdzięków niewidzialnych co nie miara, a cnót jeszcze więcej!

Po takiej rekomendacyi, serce Lezgina ogrzewa się jakąś miłą, coraz gorętszą atmosferą. Płomienista jego wyobraźnia wschodnia dodaje jaskrawego uroku ziemskiej, zachwalanej hurysie. Życ bez niej niepodobna!

Nawiedza on odtąd częściej jej rodzinę i jest wzajemnie nawiedzany; a ze swachą stają się nierozdzielni powiernikami, mają ciągle sekreta i szepcą do siebie.

Pewnego pięknego poranku przedstawia jej, że złoży taką a taką kwotę rodzicom nieznajomej, byle tylko za niego ją wydali. Kwota poczyna się od pięćdziesięciu rubli i dochodzi czasem do tysiąca. Zawsze jednak jest małą za cudo piękności! Swacha przynajmniej tak dowodzi.

Nareszcie rodzice się zgadzają, odbierają wiano, i oznaczają dzień ślubu.

Obrzęd jest prosty i krótki:

Zjeżdża mułła lub achunt, a odczytawszy nowożeńcom artykuł z Koranu, daje im błogosławieństwo. Potem krewni po starszeństwie składają życzenia. Następuje zabawa, bez pijaństwa, gdyż trunków nie używają, jakoteż biesiada dla wszystkich gości proszonych i nieproszonych. Ot, i wszystko skończone.

Panna młoda zostaje odprowadzana na osiołku przez braci do domu męzowskiego. Rzeczy jej bywają odwożone poprzednio przez starą ciotkę, która nowo zamężną wprowadza i poznaje z sułtankami, czyli przybranymi siostrami.

Na ostatku przybywa mąż i widzi po raz pierwszy przedmiot swych uczuć — bez zasłony.

Zdarza się, że na taką niespodziankę zrobi minę nie do zardroszczenia, czując się być okradzionym z wiana wyłożonego, za to że grał w ciuciu-babkę; lecz, na pochwałę Czerkiesek, rzadko to się trafia.

W razie niezadowolenia służy mu prawo odesłania natychmiast oblubienicy przez tę samą ciotkę, która ją sprowadziła; a nawet może ją odesłać później, gdyby okazały się w niej nieznośne wady w pożyciu, ułomności ciała, zwłaszcza niepłodność.

W każdym atoli przypadku, pieniądze jego przepadają, jako kapitał żelazny, przeznaczony na zapewnienie rozwódzce utrzymania aż do śmierci.

Nie wolno jest obmawiać, ani głosić przyczyn rozwodu, ani jednej, ani drugiej stronie. Oprócz kary śmierci, która w podobnym razie zagraża mężowi od rodziny żony, byłby uznanym przez ogół za nikczemnika i wykluczonym przez mułłów z prawa znajdowania się w meczetach.

Haremy Lezginów składają się po większej części z trzech żon, z których każda ma dodaną Arabkę niewolnicę, w miejsce eunuka. Służy dlań prawo używać jej do najniższych posług. Zwierzchnictwo nad haremem, oprócz wybranej sułtanki, miewa matka sułtana, jeśli jest jeszcze przy życiu.

Jednożeństwo należy do wyjątków.

Niektóre piękności haremu, dla podwyższenia urody, farbują

brwi za pomocą chinu rozartej na liściu figowym. Tą samą chiną rozgotowaną na rzadko, wydającą różowy kolor, pociągają paznogie; a w czasie lata ręce i twarz, co je zabezpiecza od opalenizny i od komarów.

Młode kobiety zachowują włosy, wiekowe je strzygą.

Odnaczają się w wyrobach sukna, kapciuchów, czapek jedwabnych, złotych i srebrnych sznurków, toż kutasów służących do ubrania, któremi darzą swych władzców.

Rolnictwo w Lezginii nie przedstawia nic zajmującego. W narodzie wojowniczym istnieje ono o tyle, o ile jest koniecznym. Żyzne doliny kaukaskie, nie potrzebujące wiele uprawy, wydają pszenicę czerwoną, proso, kukurydzę, ryż i jęczmień. Ziemniaki nie dawno się pojawiły, lecz Czerkiesi ich nie lubią, przenosząc inne ogrodowizny; karczochy, marchew, tudzież cebula i czosnek za przysmak są przez nich uważane.

Winna latorośl rozpina się wdzięcznie na ich domach. Ogrody są pełne drzew figowych, moreli, brzoskwiń i kasztanów; inne drzewa uginają się pod ciężarem granatów słodkich i kwaśnych; cytryny i pomarańcze rosną także, lecz muszą być szczepione.

Rybołówstwo, należące więcej do rozrywek, niż do rzeczywistego użytku, godne być sądzę wspomnienia, z powodu jego oryginalności.

Jest gatunek ryby środkujący między łososiem a pstrągiem. Ta jedna tylko ryba obudza apetyt i zabawę połowu u krajowców. Przechowuje się ona w jeziorach, powstałych ze spadku strumieni. Rybacy rozstawiają się po zachodzie słońca nad jeziorem z zapalonemi łuczycami. Czarowny widok, gdy ich oświetlone postacie rysują się na stalowem zwierciadle wody! Owe ruchome cienie, podobne do duchów, gotujących się płynąć na drugą stronę Styksu; to łamanie się światła rzucającego smugi złociste na czarnej krepie nocy, już to wązkie, rażące, jaskrawe, już topniejące w coraz słabszej łunie; ów spad drżącej kaskady — zachwycają widza.

Na środku jeziora stoi w łódce kilku młodzieńców, trzymających długie, na trzcinach osadzone, ości. Pałają oni żądzą pójścia co rychlej w zawody, aby popisać się zręcznością.

Tymczasem z głębi wód ukazują się biedne ryby, migocące srebrzystą łuską — dążą do ognia, zdumione zjawieniem się ju-

trzeńki nie w porę ... i wtedy padają ofiarą swej łatwowierności.

Sily moje rozwijały się na ciągłych zajęciach konnej jazdy, gospodarstwa, ćwiczeń rycerskich. Upływały dni, a z nimi miały miesiące i lata. W duszy odzywało się uczucie miłości kraju własnego, który, choć mniej na pozór powabny, lecz rodzimy, niczem zastąpić ani wynagrodzić się nie dał. Kto, rzucony losem, zmienia strefę świata, nie zmienia wrodzonej cechy, jaką Bóg go nazaczył.

Z temi i tym podobnemi myślami szedłem raz boso przez łąki do kąpieli. W smutnem byłem nastrojeniu ducha. Nic mnie nie cieszyło — ani świeżość wonnych kwiatów rozsianych na błoniu, — ani owady brzęczące rojami nad mą głową, nucąc hymn wszechstworzenia.

Szczęśliwe owady! istnienie ich krótkie, ale żyją do śmierci razem, nie znając tęsknoty!...

Znienacka zostałem boleśnie ukłuty w nogę.

Odkoczyłem z przerażeniem i ujrzałem pełznącą żmiję, marchwią zwaną od swej żółtej barwy. Uprzedzony o środkach ratunku w podobnym wypadku, natychmiast ścisnąłem nogę paskiem, ażeby jad nie doszedł do serca; uderzeniem kija zabiłem gadzinę, i chwyciwszy ją, pobiegłem do domu.

Assya najpierwsza postrzegłszy mnie zdaleka, przenikliwością kobiecą odgadła, co się stało i wydała krzyk rozpaczny. Nadbiegły inne niewiasty; włożono mi nogę w mleko, okazując tyle starań o me zdrowie, tyle nieudanej troskliwości, iż pomyślałem, że może Najwyższy dał mi przestrożę za to, że przed chwilą złorzeczyłem przeciw losowi.

Tymczasem coraz silniejszy ogień rozszerzał się z ranki od ukąszenia. Raptem słabo mi się robi — doznaję drgań konwulsyjnych — oczy mi się same gwałtownie rozwierają — przed niemi chmurki czarne suną się jedna za drugą — straszne poczwarki, zmieniające się w węże, jaszczurki, najobrzydliwsze potwory — wszystko na mnie syczy zatrutemi żądłami, z rozwartemi paszczęki...

Potem nie wiem, co się stało.

Przypominam sobie tylko, że z odzyskaniem nieco przytomności ujrzałem derwisza trzymającego mnie za rękę i pojącego jakimś ziół nektarem. Derwisz ranę obejrzał, rozciął nożykiem, posmarował oliwą, zasypał nieznanym mi proszkiem, opatrzył, dał kawałek chleba do zjedzenia — a w końcu, uderzył w policzek, czegobym mu nie był darował, gdyby to nie należało do warunków kuracyi.

W trzy tygodnie dopiero powróciłem do sił; lecz dotąd jeszcze czuję strzykanie w nodze podczas zmian księżyca przy nowiu.

Nadobna Assya, którą choroba moja tak żywo dotknęła, uśmiechem szczęścia witała mnie uzdrowionego. Czy byłem jej drogim jako zastępca syna? czy też przywiązanie to zrodziło się skutkiem wychowania, które mi dawała? nie wiem. Mniemam, że jedno i drugie na nie wpłynęło.

Od tej pory stałem się użytecznym miejscowości, jako najzaciętszy dusiciel żmij, którym poprzysiągłem zemstę. Śmierć żmijom! powiedziałem sobie. Ponieważ jeże jedzą płazy, wyszukałem kilka największych, przyswoiłem do chałupy, wytresowałem, zniósłem się z niemi, i chodziliśmy razem na zagładę kasicieli. Sam byłem świadkiem jak jeden z moich jeży pochwylił za ogon najjadowitszą żmiję giur-zą zwaną, od której ugryzienia każdy zwierzę pada trupem na miejscu, i pożerał ją powoli, nasrożywszy się swoim iglastym pancerzem, zasłaniającym go od szwanku.

Ileż to razy robiłem także wraz z innymi chłopcami, w towarzystwie czopanów (pasterzy), wyprawę na gatunek żmii największej, zwanej końską żmiją (elba illan). Dochodzi ona do czterech łokci długości, jest czarną, wąską i płaską jak tasiemka, niezmiernie zwinną i szybką. Umie stawać na ogonie i podnosić się na zwiady o parę łokci w górę. Przeraza wzrokiem i w okamgnieniu zwija się w kłębek i rzuca na sześń wysokości. Wycieczki nasze były tem ciekawsze, że żmije wymienione zawsze parami się czołgają, i jak samiec tak i samica zarówno walczą; potrzeba kilka trafnych uderzeń, ażeby je zabić.

Wzmiankując o płazach, nie od rzeczy będzie wspomnieć tu o pewnym olbrzymim potworze, którego górale dobrze znają, chociaż nikt go nie widział.

Posłuchać proszę:

— W przepaści niedostępnych, omszałych skał, mieszka król wężów!...

Miejsce jego schronienia jestto najgłębsza, ciemna, niedościgła okiem jaskinia. Tam ukrywa się brylantowy pałac, w którym są pokoje złote, srebrne, szmaragdowe, i inne, każdy świetny blaskiem swego kruszcu, lub klejnotu.

Niezmiernych owych skarbów pilnuje król wężów i jest ich dziedzicem.

Święci, derwisze (uczeni) i czarnoksiężnicy, zdobyli wiadomość o nim i przekazali ją ludom.

Postać króla potwora jest wielka, zielona, złocistą łuską okryta; ślepie iskrzą się jakby dwie czerwone gwiazdy; paszcza zakończona nakształt orlego dzioba; język długi podobny do wstęgi ognistej.

Na łbie nosi koronę wspaniałą, jaśniejącą szkarłatem, blaskiem dyamentów, rubinów i pereł.

Mówi wszystkimi językami, rozumem odgaduje wszelkie tajemnice; ale zepchnięty ze szczytu panowania nad całym stworzeniem, musi żyć w nudzie i być samotnikiem. Nie wolno mu wznieść się nad poziom, chociaż ma skrzydła niżej głowy, na karku. Wywierać może na świat jedno złe tylko!

On sprawcą trzęsienia ziemi! on płacząc, wylewa z serca i z oczu cuchnącą naftę skalną.

Unika światła słonecznego, bo wieczna noc jego przeczuciem.

Używa środków rozmaitych do uwodzenia młodych ludzi, a nawet i starych.

Gdy młodzian, podżegany pokusą w nocnych marzeniach, zapragnie np. bogactw, wtedy to król wężów przemieniony w doradcę staje przed nim, włada umysłem, myli drogę, i pociąga nieszczęśliwego za sobą do otchłani.

Młode dziewczęta wiele razy ginęły z jego namowy.

Starcy dopuszczali się zbrodni, aby odkryć ukryte skarby.

Talizmany z napisem słów wielkiego Proroka, przywiezione przez hadżich z Mekki, zabezpieczają od owego szejtana, strąconego na wezwanie duchów czystych przez Machometa zesłanych.

Zemsta, którą król węzów zionął na człowieczeństwo, zawiara się w tem, że pozalawał wodami bogactwa niepojgte.

Gdy po zachodzie słońca zbłąkany rycerz lub pasterz usłyszysz głos jego, krew w żyłach mu się ścina, i tylko do wschodu żyje — ostatnie tchnienie oddając z ulatniającą się rosą.

Dziwna rzecz, że legenda powyższa zbliża się podobieństwem do podania o Prometeuszu; jakkolwiek o ostatnim różnią się w opowiadaniu Koch, Wagner i Taffik-Bey (Teofil Łapiński).

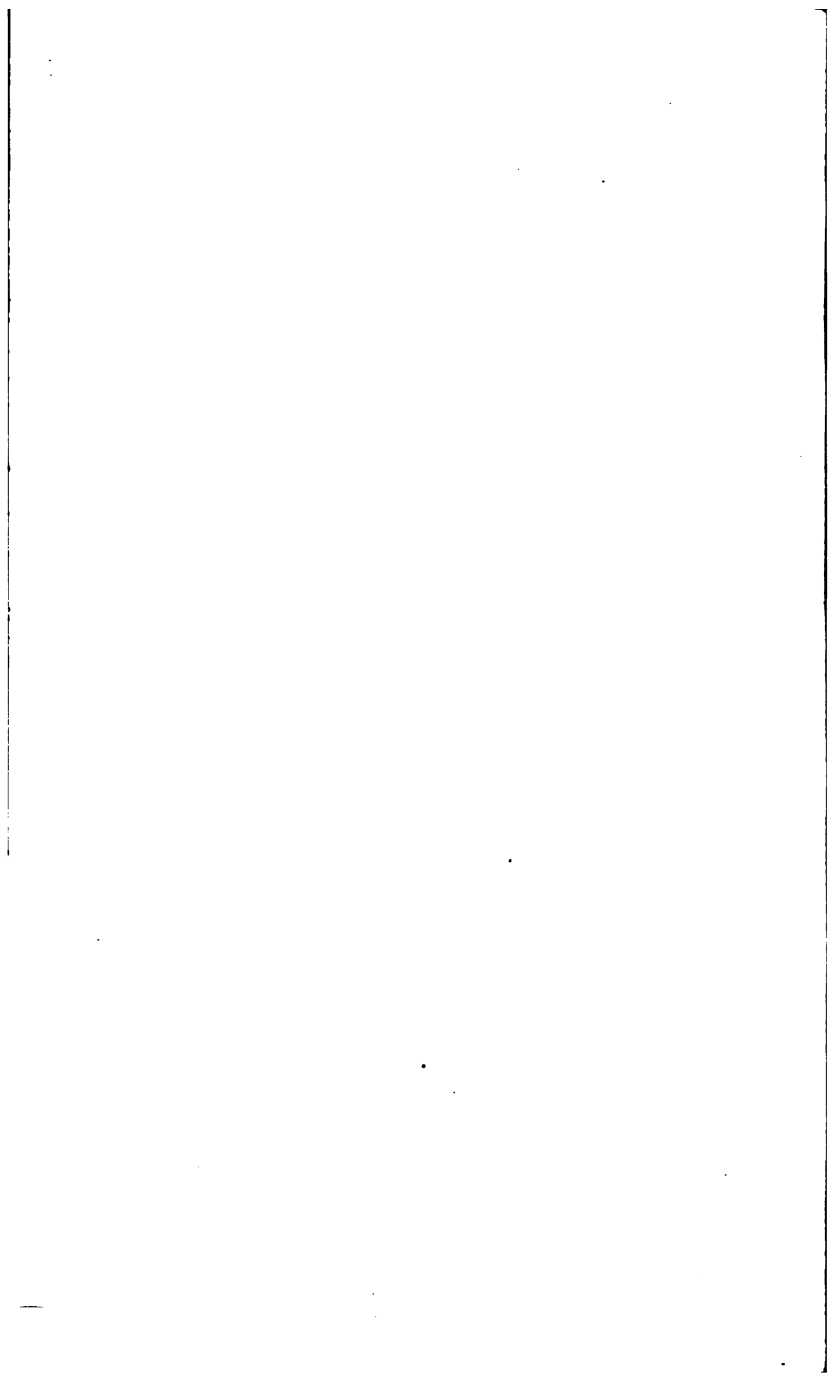
Ów mitologiczny Prometeusz grecki, przykuty przez Wulkana łańcuchem z dyamentów do skały kaukaskiej, za to, że ożywił człowieka skradzioną iskrą niebiańską — czyż nie był symbolem tortur dla dobroczyńców ludzkości, na horyzoncie rodzącego się świata? ...

Czyż sęp, szarpiący serce Promoteusza, nie był obrazem walki siły zwierzęcej z duchową? ...

W cztery tysiące lat później, Kalwarya zastąpiła skałę kaukaską, a drewniany krzyż zastąpił łańcuch dyamentowy.

IV.

POSTACIE LIBII I FATYMY.



IV.

Rodzina Abbasa przedstawiała obraz zgody, spokoju i przywiązania wzajemnego. Z czasem przywykłem do osób ją składających, z którymi stosunki ciągłego przestawania uczyniły mnie niejako spowinowaconym.

Rodzina była liczna. Wszystkie córki Abbasa, których liczba przenosila tuzin, jaśniały urodą i dobrymi przymiotami.

Korzystając z możności widywania codziennie ich oblicz odkrytych, miałem sposobność ocenić te piękności tak z postaci jako i duszy; bo chociaż można przeniknąć i poznać istotę niewidzialną z dźwięku jej mowy, muzyki, z jej zdań wyrażonych, z ruchu, z draperyi fałdującej się na niej, z chodu, — jednak odsłonięta, spojrzeniem, uśmiechem lub zadumaniem ileż ona o sobie nie wypowie?

Ale dziewice w pierwszym objawie, na przedstawienie których nie targnęło się jeszcze żadne dłuto rzeźbiarskie, podobnie, jak pączek zamknięty w sobie, mało się ulatniający na zewnątrz, jednak tak uroczy, są trudniejsze do naśladowania dla sztuki, niżeli kwiat w rozwoju lub owe rośliny, które zmięte i starte, dopiero woń wydają.

O czarowny Kaukazie! co rozbudzasz w swych dzieciach uczucia najczystsze, najsilniejsze, czemuż nie byłeś mą kolebką? Możebym cię ukochał więcej, choć i tak macierzyństwo twoje wzmocniło me siły, zaszczerpiło miłość prostoty, szlachetności i męstwa! natchnęło uwielbieniem dla wielkich dzieł Boga! nauczyło w stworzeniu czcić Stwórcę!

Urodzony na równinie, pod chłodnym niebem, na ziemi uci-
sku, nie znałem innego uczucia oprócz miłości rodziców, a
szczególniej matki i siostrzyczek moich. Droga Assya była mi
później pocieszycielką, opiekunką i przyjaciółką. Lecz wszystko
nie zapełniło pragnień budzącego się z wiekiem młodzieńczym
a gorącego serca. Doznawałem nowej, dziwnej tęsknoty, z któ-
rej sobie rachunku zdać nie umiałem. Dojrzywałem wcześniej.
Dusza moja wymagała dopełnienia.

Zacny Abbas przelał w nią to przekonanie mężkie, że śmierć
jest tylko wtenczas straszną, gdy nas spotyka w beczynności i
zgnuśnieniu, że życie bez poświęceń dla ojczyzny jest marne,
właściwe jeno nikczemnikom, a nie rycerstwu; i że strzeżeniem
godności własnej bez pychy i dumy strzeże się godności narodu.
Pochmurny w towarzystwie Lezgin słuchał wiele a mówił mało.
Nie zapomnę głoszonej przez niego zasady: «nie mów o wszy-
stkiem, bo wszystkim nie będziesz — czyń wiele a nie gadaj.»

Przyjaźń Mustafy, tak szczerą, pełną wesołości i życia, nie
zdołała przecież, zarówno jak i nauki Abbasa, wywieść mnie
z tego stanu tranżycyi, przejścia z jednej epoki żywota do dru-
giej. Czułem, że mi jeszcze czegoś nie dostawało.

Niewytlómaczoną była dla ogółu moja nad wiek powaga,
wybaczenie nawet szyderstwa i żartów, na które niekiedy byłem
bez dania przyczyny narażony, a które mnie raniły.

Wrószono, że zostanę mułłą.

Z pomiędzy przybranych sióstr Libia i Fatyma nigdy naj-
mniejszej przykrości mi nie wyrządziły, uprzedzały się w po-
darkach dla mnie własnoręcznej pracy, starały się usługiwać; a
tkliwem obejściem się, pielęgnując kolejno, osładzały chwile,
gdym leżał z nadwergężonem zdrowiem od ukąszenia gadziny.
Czystość ich pięknej duszy ocenilem dopiero wtedy należycie.

O Libio, najdroższa Libio! po co ja cię poznałem? ... Ale
wszak ty żyjesz? ... fosa za mała, aby objąć tyle uczucia. Tak,
ty żyjesz! Widzę cię wyglądającą z pomiędzy obłoków na nie-
bie... Pobłogosław mnie! ...

Ty zaś, najnieszczęśliwsza z istot, Fatymo! oby ci Bóg prze-
baczył, tak, jak ja ci w tej chwili przebaczam. Oby na twym
grobowcu wyryto święte słowo przebaczenia! ...

Libia, to majowy rąbek! Aułu wychowanka, prześliczna

szczebiotka, kończyła dwunastą wiosnę gdy ją poznałem. Kształtu była urodziwego, krucze miękkie włosy spływały po okrągłych ramionach; a oczy jej, jak żarzące się węgielki, sypały skry uczuć ognistych, gwałtownych, nagłych, lecz jakże uroczych! Rzęsy czarne, gęste i długie; zasłaniały niekiedy te cudowne oczy, gdy nie chciały zdradzić w obecności siostry uczucia, co żywo płonęło w duszy...

Kiedy i jak wyrodziło się to uczucie, nie umiem powiedzieć; wiem tylko, że stopniowo wzrastając, zaczęło mnie opanowywać, miotać, pogrążać w bezdenne mrzonki, gniewać nawet czasem.

Usta wiśniowe Libii, gdy się uśmiechała, wywoływały na licu dołeczki, światły wdzięków. Był to cud... dziwo... marzenie!

Libia, gdy byłem smutny, wraz się ze mną smuciła; — potem porywała za torban... drobne jej paluszki szybko przebiegały po strunach, dobywając dźwięków mocnych, porywających, urwanych.

Pochyliwszy lekko główkę, nuciła piosenki. Były one wesołe, namiętne, dzikością pewną nacechowane, lecz nader urozmaicone. Do serca każda przebijała głoska. Gdzie przyroda wydała pierwowzór piękna, tam zbratanie się z nią nie odejmuje barwy postaci, ale czyni ją ideałem, niepodobnym do naśladowania.

Libia dwoiła me życie!

Tę czarodziejkę małą nazywano powszechnie muszką, bo była hoża i zwrotna, jak owa muszka kaukazka, co to zabręczy, przestanie, i ukąsi nawet — bo dzika.

Fatyma, rówienniczka krasnych latek Libii, należała do piękności, że tak powiem: zamglonych. Błada, poważna, można ją było wziąć za chodzącą statwę, co uciekła z jakiegoś muzeum. Spojrzenie jej wyrażało wprawdzie słodycz i łagodność; atoli było w niem coś takiego, że gdy się zamyśliła — a lubiła się zamyślać! — zdawało się, że patrzy pona wewnątrz siebie, że się przygląda swej duszy z rodzajem melancholicznego omdlenia. Dobroć zaś jej była tak niewyczerpaną i cierpliwość również, że jej dano przydomek anioła pokoju.

Wszyscy ją kochali, bo nie można było jej nie kochać.

Do jej cnót atoli mieszało się nieco próżności.

Wysmukła, wzrostem przewyższała Libię, ale w zwinności wwrócić jej nie mogła. Jak lilia śnieżna i wspaniała, postępowała majestatycznym, posuwistym acz powolnym krokiem, ze schyloną jasną, pociągłą twarzą — a z ramion jej lada chwila skrzydełka miały się wysunąć, aby dopełnić postaci.

Siedząc przy niej, doznawałem zawsze błędnego spoczynku, którego tak mi potrzeba było! lecz nigdy tego wzruszenia co przy Libii. Głosem miłym i pociągającym, pocieszała mnie często, wysłuchawszy opowiadań mych wrażeń i przygód przeszłości.

Wdzięczność ma i jej współczucie skojarzyły się w przy mierze między nami.

Współczucie to obydwóch dziewic spotężnione zostało w skutek okropnego wypadku, co mnie na nowo dotknął.

Rzecz tak się miała:

Pewnego dnia poranek był mglisty, co rzadko się zdarzało. Pojechałem do studni napoić stadninę. Zajęty byłem spuszczeniem skórzanych kubek i wyciąganiem ich napełnionych wodą, gdy tentent z niezwykłej strony uderzył mój słuch. Odwróciłem się i postrzegłem zdala nadbiegających czterech Czezeńców.

Jest rodzajem zasługi u ludzi tej rasy wyrządzić upokorzenie Lezginom przez zabranie im koni z pastwiska lub ze stajni. Przewidywałem, na co się zanosi. Czempredziej więc skoczyłem na najlepszego wierzchowca i nuż uciekać, pędząc przed sobą pozostałe!

Czezeńcy puścili się w pogoń. Że zaś konie mieli turko mańskie, a mój był nawet nie okulbaczony, coraz więc bardziej ku mnie się zbliżali. Zwątpiłem o ucieczce!

W pobliskości znajdował się stary meczet i znana mi grotka. Szybkiem więc zwrotem do niej dopadłem, stadninę ukryłem — a sam zaledwie zdążyłem dobiec i wdrapać się na dach meczetu, gdy Czezeńcy byli tuż pod murami.

Przeczytałem się na dachu, w przekonaniu, że przelecą koło mnie niepostrzeżonego, a tem samem pozostawią dosyć czasu do ujęcia gdzie w stronę. Lecz inaczej się stało. Włosista czapka zdradziła mnie. Jeden z Czezeńców dojrzał ją i wydał okrzyk dzikiej radości.

Otoczyli meczet i grozili śmiercią, jeśli się nie poddam dobrowolnie i nie wskażę gdzie ukryłem konie? Zamiast odpowiedzi, poczęstowałem ich grubemi kamieniami z dachu. Trafiło to niesłychaną zuchwałością.

Rozpoczęła się walka na ostre.

Nie strzelali wprawdzie, przez obawę poruszenia przeciw sobie aulu; ale nie mogąc się dostać na dach, z powodu odbieranych pocisków, zaczęli rzucać kindżalami, które świszczały mi koło uszów. Lecz i ja obeznany już byłem z tą bronią, jako i z gimnastyką chroniącą od ciosów — do tego, na wysokości, punkt obrony miałem wyborny.

Nic mi zrobić nie mogli.

Gniew ich przechodził wszelką granicę. Zawstydzenie, czterech na raz naprzeciw jednego niedorostka, doprowadzało ich do wściekłości; mnie zaś napełniało szałem wojennym.

Oblężenie trwało godzinę. Kindżały ciągle świszczały i przełatywały napróżno. Już dwóch dostało tak silnej kontuzji, że stali się niesposobni do dalszego szturmu; — ale nastąpiło podejście.

Oddalili się oni od meczetu, i mogąc mnie dojrzeć z pewnej odległości, zaczęli mierzyć z janczarek. Przypuszczając, że przez zemstę mogli wypalić, zmuszony byłem położyć się, a tem samem nie mogłem już biegać, aby pilnować mego fortu z każdej strony.

Tymczasem jeden z dwóch pozostałych wdarł się na dach i zepchnął mnie na dół.

Padając, o mało co nie zламаłem żeber. Szczęściem, że mnie strącono na murawę! Pomimo to, widząc się w rękach Czeceńców, jakkolwiek sprzymierzeńców z Lezginami, byłem pewny, że wybiła ostatnia moja godzina, i westchnąłem do Boga.

Zadowoleni, związali mnie jak barana. Gniew ich ustał — domagali się tylko wydania koni, obiecując nawet nagrodę.

— Nie! — zacząłem wołać z całej mocy — odbierzcie mi życie rozbójnicy! ale nie okupię nikczemnie wolności mojej powierzoną mi własnością Abbasa. Zginę, zdradą ujęty; lecz aul cały odszuka wasze psie głowy i rzuci czarnemu ptastwu na pożarcie!

Po tych słowach silniej krępowano mnie arkanem, aby wy-

cisnąć zeznanie. Z bólu ściałem zęby; gdyż głowa moja znalazła się blisko kolan z tyłu; deka piersiowa wyciągnięta jak skóra na bębenku, o mało co nie pękła. Już krew rzuciła się gębą i nosem — pożegnałem się ze światem.

Wtedy to dopiero napastnicy popuszczali nieco me więzy.

Nagle straszny głos rozległ się po lesie; podobny do ryku lwicy, gdy jej wydzierają szczenięta. Czecczeńcy choć odważni, ulękli się zawstydzeni, owego głosu starego Abbasa, znanego z prawości rycerza, więcej zapewne aniżeli walki, którą umieją też z zaciętością prowadzić, — skoczyli na konie i pierzchli jak zamieć na stronę pomiędzy krzaki szumiące za nimi.

Abbas rozciąwszy me pęta, chorego zaniósł do domu.

Nastąpiła gorączka, sen, przebudzenie, i długiej boleści łoże, nad którym Libia i Fatyma, jak dwie zesłanniczki ducha bożego, zwiastunki jego litości, rozciągnęły swą opiekę.

Nie mam tu zamiaru wydawać całej gry uczuć, którą tchnęły łona tych dziewcząt. Byłby to materiał do napisania dwóch tomów psychologicznej powieści. Pamięć o nich nosiłem i noszę wszędzie, dokąd mnie losy zawłóczą.

Wielka była radość i szczęście młodych opiekunek, gdy po powtórnej klęsce w ich kraju, znowu przychodziłem do siebie. Wtedy, aby mieć pozór do nieodstępowania mnie, urządziły obok kuchenkę, gdzie własnymi rękoma przygotowywały mi na pokarm łakocie, a mianowicie płow, to jest legominę z ryżu, masła, cukru, rodzenków, fig świeżych, pomarańcz i migdałów słodkich, oblaną sokiem kwaśnego granatu. Zamiast ziółek, podawały lekką herbatę w filiżaneczkach z chińskiej porcelany; za zwyczajny zaś napój wodę osłodzoną galaretą z winogron.

Śmietana z tą galaretą jest potrawą wysmienitą.

Muszę wspomnieć i o szyszlikach, w robocie których celowały. Czynię to w chęci przypodobania się gosposiom Polkom, podając im receptę na owe sławne szyszliki. Wszak nie jestem samolubem?

Proszę tedy wziąć polędwicę z tuczonego barana, pokrajać na drobne zraziki, namoczyć je w occie zaprawnym siekaną cebulą, solą, pieprzem i upiec nad węglami.

Szyszliki prosto z różna, są przewyborne. Podają je na liściach z winogrona w maśle osmażonych.

Szyszlakami często mnie później częstowały moje przyjaciółki, z tą różnicą, że Libia, jak zawsze, sama mi je ofiarowała; gdy Fatymę, zwrastającą z wiekiem, prosić o nie musiałem. Które zaś z nich były smaczniejsze, tego nie powiem. Zresztą, różne są gusta: jedni lubią, aby im ofiarowywać, drudzy wolą błagać o ofiarę...

Jak młode pisklęta co podlatują, wprawiają stare ptaki do lotu, puszczając je na przedwstępne łowy, tak sędziwy Abbas wyprawiał mnie i Mustafę coraz to dalej, i na dłużej, na wycieczki myśliwskie i rycerskie.

Usiłowałem odpowiedzieć duchowi rycerskości Lezginów, a jako Polak starałem się odznaczać między nimi.

Na wyścigach otrzymałem często wawrzyny, a mój dzielny kiulek (wiatr), który wraz ze mną wzrastał, mowie mej i skinieniu powolny, w biegu stał się błyskawicą.

Zaczepony nogą o strzeżenie, zwieszałem mu się pod brzuchem, gdy gonący mnie dżuwani (młodzieńce) nacierali tępyimi oszczepami. To znowu, niespodzianie zatrzymawszy im pod nosem ręczego rumaka, zwróciłem go nagle, i minąłem, jak piorun zdziwionych kolegów, zapędzonych za mną a uniesionych w przeciwną stronę.

Żadna też sarna lepiej od mego pocziwego kiuleka nie skakała po skałach, bujając nad przepaściami.

Odwiedzałem z Mustafą auly sąsiednie, doznając wszędzie gościnności. Czasami spędziliśmy godzin kilka nad szachami, jedyną grą znaną u Lezginów.

Abbas postanowił na prośbę Assyi wysłać nas w towarzystwie wybranych dżuwanów w dalsze okolice do Meszedalów, mieszkających pomiędzy lasami (mesze znaczy las). Assya miała tam krewnych.

Zamiar ten niezmiernie ucieszył młodzież. Dwa dni poświęciliśmy przygotowaniu na drogę żywności, czyszczeniu broni i zbroi, ostrzeniu szaszek, kindżałów itd. Cały arsenał jaśniał na słońcu.

Wyjazd do Meszedalów był dla nas niezwykle uroczystością. Brzmiała w około wrzawa, śmiechy i pienia. Każdy sobie

gawędził, żartowano, skakano, wyprawiano harce. Kobiety w welonach zasiadły na zielonym trawniku, przyglądały się ogólnemu weselu, wiodąc żywą rozmowę.

Jedna tylko Libia milcząca, stała na stronie.

Poszedłem do niej — przyjęła mnie obojętnie.

Libia! zamiast się cieszyć moją rozrywką, miałażby nią pogardzać? ...

Uczułem się dotknięty.

W tem zawołano: do zwalisk! do zwalisk! i z całym towarzystwem udaliśmy się na przechadzkę.

Na urwisku skały sterczała starożytna baszta, pusta, porośnięta mchem odwiecznym, wewnątrz napełniona gruzem, legowiskiem gadów i robactwa.

Na wierzchu gnieździły się sępy, których spokojności nikt tam jeszcze nie naruszył.

Fatyma, niezwykle rozkoszna dnia tego, ukazując palcem na basztę, zawoła: «Jusufie! daj mi jedno ptasię! daj ptasię!»

Dźwuni poczytali to za żart, a naśmieszki ich nasunęły mi myśl — odznaczenia się.

Myśl tę wniebowstąpienia snąc przeniknęła Libia, bo, zbliżywszy się do mnie, pociągnęła za poję, i półgłosem, cicho, tklawie błagała, abym zaniechał zamiaru.

Ależ ta sama Libia była przed chwilą tak cierpka! Jedna pobudka więcej, aby na ten raz usłuchać Fatymy i wieść na wieżę!

Roztargniony niewdzięcznik, zwróciłem kroki, jak szalony, do zwalisk.

Libia głęboko westchnęła.

Chęć postawienia na swoim wzmocniła odwagę. Zbliżywszy się do podnóża baszty, zacząłem się wspinać. Zaledwie jednak byłem w połowie wysokości, poznałem niemożliwość prawie utrzymania się z powodu ślizgości omszałych głazów.

Po trzykroć me usiłowania były daremne. Zwątpiłem już o skutku. Wołano, żebym zeszedł, lecz upór i wstyd powrócenia bez niczego sprawiły, że wypocząwszy nieco, odpasałem kindżał co mi zawadzał, i ostatecznie natężając siły, wdrapywałem się coraz wyżej.

Wdzieram się nareszcie do punktu fatalnego. Żeby zaś je-

szcze się nie obsunąć, kładę nogi i ręce w szczeliny między spojenia kamieni.

Ten sposób się udał.

Zawieszony jak kot nad przepaścią, styczny do muru i równoległy do prostopadłości wieży, postępowałem wszelako dalej, chociaż nie bez wysilenia.

Wieżycyca u wierzchu piramidalnie się zwężała.

Dostawszy się na jej pochyłość, podróż nadpowietrzna przedstawiała mniej trudności.

Już, już, byłem bliski szczytu, gdy... przebóg! w szczelinie, spotykam się z wytrzeszczonemi, szkaradnemi, żółto zielonawemi oczyma, wyglądającemi z czarnej płaskiej głowy.

Smierć najpewniejsza!

Zdrętwiałem, skostniałem, skrzepłem, nie czułem ciężaru ciała. Członki me wrosły, jak dwa haki do muru i patrzyliśmy na się oko w oko z syczącym ze złości wężem, wygrzewającym się na słońcu.

Niepodobieństwo cofnięcia się prędkiego lub wykręcenia odjęło nadzieję ratunku. Twarz moja była narażoną na oczywiste ukąszenie.

Wpiłem mój wzrok z całą potęgą w gadzinę!

Wąż, nie mogąc go ścierpieć, zaczął się cofać. Ja ciągle weń patrzyłem.

Wąż się uląkł i zsunął się nareszcie wnętrzem baszty po bluszczach i powojach.

Odetchnąłem.

Za kilka minut ujrzałem się na wysokości, pomiędzy ziemią i niebiosami.

Zdało mi się, że połykam powietrze całego Kaukazu, i że ja ten świat stworzyłem.

Spojrzałem z góry na doczesne żaki. Pocziwa gromadka przesyłała z dołu wykrzykniki radości, nie wiedząc o tragicznej scenie.

Libia załamywała ręce.

Gniazdo przedstawiało obraz zniszczenia, gdzie leżały różne martwe ciała: niedojedzone jaszczurki, ptaki, itd. Starych sępów nie było w domu. Na moje szczęście, poszły gdzieś z wizytą, nie miał kto wydrapać mi oczu.

Dojrzałem małe, wziąłem jedno — owo pisklą Fatymy! — przytroczyłem do pasa, obejrzałem się jeszcze do koła na cudowną okolicę, spocząłem trochę, i nie tracąc czasu, puściłem się z powrotem na nieszczęsną planetę, padół nędzy i mozołu.

Powinszowania dżuwanów grzmiały mi w uszy ze wszystkich stron. Fatyma promieniała z za woalu. Ja zaś, ledwo się trzymałem na nogach z omdlenia, lecz nadrabiałem miną, jak gładzator umierający.

Assya, Mustafa i rycerze poglądali na mnie ze zdumieniem, z uszanowaniem i naswali Polak dżuwan.

Och! jakże mnie to ucieszyło.

Ale biedna Libia tak miała głos drżący, przerywany, trwożliwy; tak pełen prawdy, wzruszenia i uroku razem; tak się biedna koło mnie ślaniała, witając powracającego z drugiego świata, że żal mi się jej zrobiło serdecznie.

Wesołość i tryumf Fatymy tą razą raniły mnie boleśnie. Odtroczyłem dla niej obiecane ptasię, gdy serce zaczęło mi bić gwałtownie, zachwiałem się, w oczach mroczno mi się zrobiło; lecz to wszystko trwało krótką chwilę. Fatyma już wyciągnęła dłoń po odbiór daru, gdy mimowolnie odwróciłem się i wręczyłem go Libii.

Postępek ten, zawołają panie, był wcale niegrzeczny! Prawda — ale też nie był obrachowany. Tak uczyniłem, bo inaczej zrobić nie byłem zdolny. Byłoby to nad moje siły.

W nocy, tej doby, długo usnąć nie mogłem. Wyjeżdżać mieliśmy nazajutrz o świcie. Odebrane atoli wrażenia spędziły sen z mych powiek. Zdawało mi się, że dom się cały ze mną obraca.

Powstałem z posłania, zszedłem z dachu i błąkałem się około winnicy. Myśli moje były zmieszane, dziwne tony przygrywały w duszy.

Białe światło migotało w jednym tylko okienku, w małym otworze u wierzchu okienicy. Ku niemu powolnym krokiem zdążyłem, gdyż wychodziło z komnaty Libii.

Ona więc nie śpi, ona sama czuwa, gdy wszystko pogrążone w uspieniu!...

Podstąpiłem śmiało pod okienicę, a nie miałem odwagi uchylić jej. Zatrzymywałem oddech, oglądałem się, sam nie wiedziałem co czyniłem, a ruszyć się z miejsca nie mogłem, ani też dotknąć fatalnej deski, która mnie od niej dzieliła.

Libia stała się dla mnie świętością...

Upłynęło z godzinę czasu; ciemna i wilgotna noc stopniowo się ochłodziła, ranek się zbliżał — światelko ciągle jaśniało i ja stałem przed okiennicą.

Otworzyłem ją nareszcie i cały we wzrok i w słuch się zamieniłem.

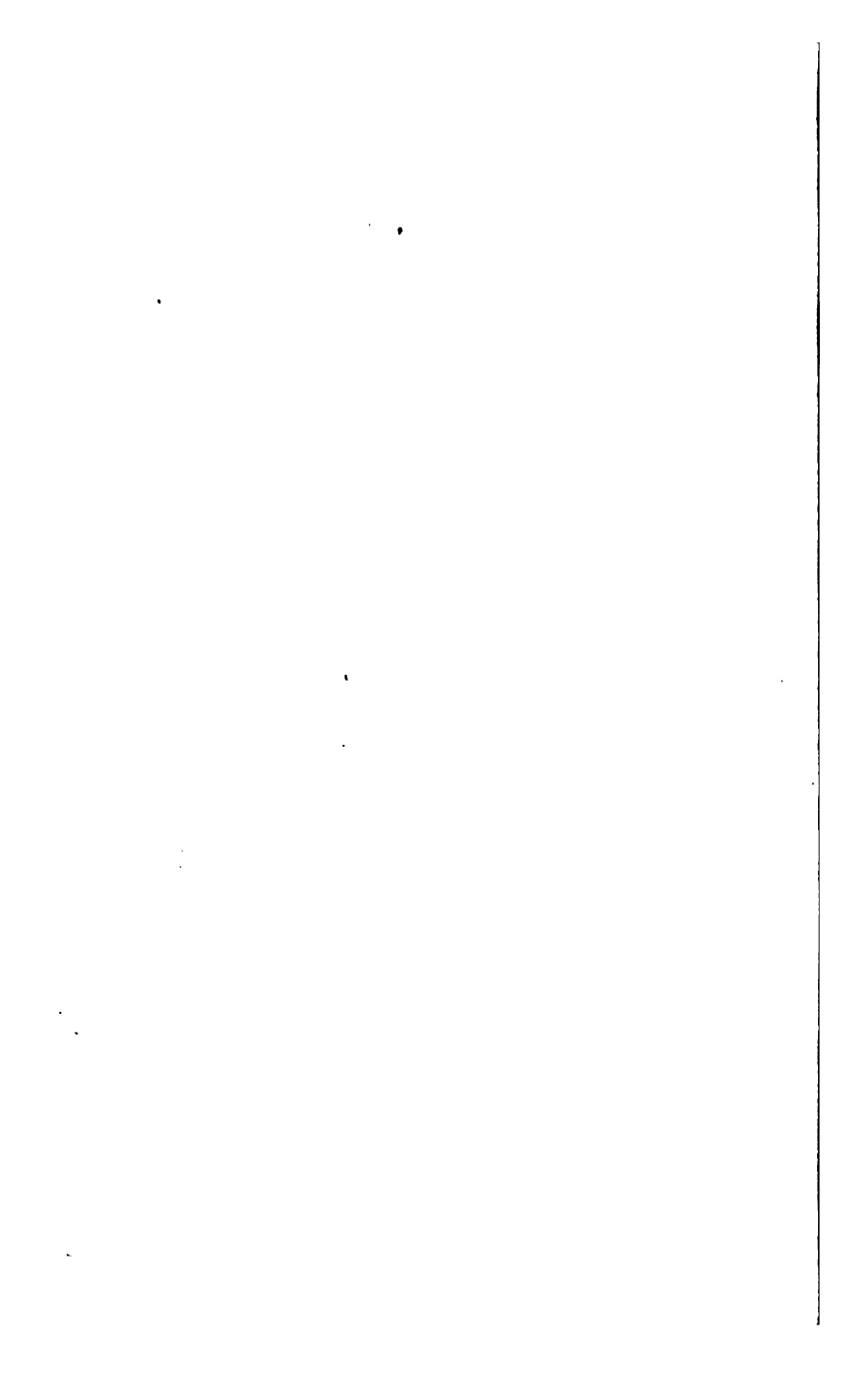
Libia siedziała przy stoliku, wsparta czołem na rękę; kędziorzy opadły. Lampa stojąca na środku stołu oświecała postać. Jakże śliczna była w rozplotach swych włosów! Nie wydała najmniejszego ruchu, podobna do posągu głuchej rozpaczy. Ale takiego posągu pewnieby żaden Kanowa nie stworzył.

Zapukałem z lekka. Libia obejrzała się, a postrzegłszy mnie za oknem, nie okazała żadnego zdziwienia, żadnego udania. Powstała i otworzyła okno.

— Ty wyjeżdżasz Jusufie! — rzecze stłumionym głosem — przyjmij więc ode mnie ten talizman... Jesteś mężny... Jusufie... drogi Jusufie!... ale bądź... i... uważnym...

Chwyciłem jej dłonie, przycisnąłem do ust, uścisk płaciła mi uściskiem; schyliłem głowę po odbiór pamiątki... dwie gorące krople spadły mi na szyję.

Libia uzacniła mnie chrztem miłości.



V.

**PODRÓŻ DO MESZEDALÓW. POLOWANIE
NA LAMPARTA.**



V.

Ktoby chciał podróżować do Meszedalów drogą bitą wysadzoną akacyami, okopaną rowem wysłanym darnią, gruboby się pomylił.

Droga na Kaukazie jestto szlak nieco wydeptany po skałach, rozdołach, z kąd niespodzianie przechodzi zdziwiony wędrowiec ze świata skamieniałego do świata roślinności, ujrawszy się pośród łąk i gajów.

Potrzeba wierzyć, czego nas historia uczy, że z gór kaukaskich zstąpili niegdyś na płaską ziemię bogowie.

Gdyśmy stanęli na grzbiecie jednej z tych gór, ruchome chmury kąpały się w powietrzu pod nogami i skupiały przy skałach. Przez rozpory tych chmur, jak zza firanek, widzieliśmy na dole wioski z białymi domami, jakby stada łabędzi wyległych na zielone żerowiska. Poza górami step rozciągał się poważnie. Gdzieś tam jeziora otoczone trzciną, podobne do zwierciadeł w złote ramy oprawnych, odbijały zalotnie srebrzyste szarfy słoneczne. Ponad wodami wznosiły się minarety. Oko bujające w przestrzeni dostrzegało ciemno-szafirowy pasek na widnokregu. Były to lasy, do których spieszyła nasza karawana.

Na bujnej trawie pasły się tabuny koni i osłów, nieprzyjaciół końskich. Na ustroń przemykało się przez krzaki stado dzików. U mrużącego ruczaju, co w kamyki dzwonił, łos i jeleni pili wodę spragnieni. Po gałęziach ptaszka świegotęły z rozkoszą.

Słychać też było zmieszane krzyki kaczek, różnobarwnych

łysek, czapli i pelikanów, szum liści wstrząsanych wiatrem, trąbę i fujarkę pasterzy powracających do chaty.

Wszystko składało jednolity obraz, który nie da się odmłodać, a tak każe ukochać boską przyrodę, żyć z nią i nie oddalać się od niej! Ona, naprawdę, mieści w sobie balsam na zbolale blizny duszy człowieka!...

Już się ściemniało, gdy zamierzaliśmy popasać. Trzeba było pomyśleć i o naszych ciałach — nie można karmić się samą ambrozyą.

Rozłożono jaskrawe ognisko u stóp prostopadłej z granitu opoki; koniom zasypano z sakiew jęczmienia, za co mój wiatronogi rzeniem podziękował; mnie zaś, dzięki doskonałości psów gończych, nieodstępnych towarzyszy, włożono do rądelka pieczeń z antylopy.

Potem rozpostarliśmy dywaniki z pod siodeł, odmawialiśmy na nich wieczorną modlitwę, zwróceni do księżycy, jak Allah przykazał. Znikło ognisko, a blada, pełna lampa, zawieszona na firmamencie, oświecała biblijną grupę, zatopioną w rozmyślaniu.

Po skończonej modlitwie nastąpiła wieczerza wśród żartów, śpiewów i deklamacyi. Gdy się zaś wyczerpały zasoby bujnej wyobraźni Czerkiesów, gdyśmy nasycili nasze wychudłe żołądki, potrzeba było spocząć.

Każdy na dobranoc opatrzył swą strzelbę i pistolety. Ja i Mustafa byliśmy pod tym względem uważniejsi od innych, bo na nas wypadła warta. Uzbrojeni więc od nóg do głowy, jak książęta średnich wieków, staliśmy na czatach, gdy koledzy chrapali swobodnie.

Mustafa jeden posiadał zegarek, którym posługiwaliśmy się do wymiaru sprawiedliwości. Za dwie godziny obudziło się kamratów, aby nas zastąpili na stojce. Środek to ostrożności konieczny na Kaukazie, gdzie życie jest tylko migiem...

Ospałości mało znają Czerkiesi. Wychowani po rycersku od powicia, wstydzą się jej i strzegą. Zanim powstała jutrzienka z morskiej kąpieli, już siedzieliśmy na koniach, wybrani w dalszą drogę.

Wjeżdżając do puszczy Meszedalów, zachwycałem się bogactwem roślinności i owym cieniowanym kolorytem najróżnorodniejszych drzew w rozwoju. Pomędzy niemi spruchniałe,

przestarzałe olbrzymy powalone burzą, podobne do nagich szkieletów, ukazywały swe konary.

Lasy to dziewicze!

Różne krzewy i kwiaty zapachem nęciły powonienie. Gwarliwe ptaki, mnóstwo zwierzątek nieznanych, swawolne czarne wiewiórki, dzikie koty, itd. witały nas z wrzaskiem, odbywając figlarne gony, jak gdyby nikt ich nigdy niepłoszył.

Kaukaz wydał mi się być wielką republiką zwierzęcą, arką Noego, gdzie wszystkie stworzenia miały swych posłów na sejmie ogólnym.

Baczny na to, co mnie otaczało, ani zauważyłem, że wyjeżdżaliśmy na pole, ponad którem ułatały spokojnie pionowo kłęby dymu z chałup Meszedalów.

Gościnność ich jest taką, jak innych pokoleń czerkieskich. Przyjęto nas z otwartymi rękoma, traktowano owocami, mlekiem, miodem, i wszystkim w co chata była bogata; wypytywano o znajomych Lezginów, przyrzeczono odwiedzić nas przy sposobności itd.

Meszedale są wzrostem niżsi od Lezginów, udatni, silni i najcelniejsi myśliwi.

Na pierwszy pogląd uderza różnica charakteryzująca te dwa ludy.

Lezgina czarne oko błyszczy ogniem jakiegoś wyższego natchnienia. Król gór i skał, wzniosły jak szczyt Elborusu lub Araratu, gwałtowny jak ich potoki, niewzruszony w zasadach jak odwieczna opoka, podstawa jego ojczyzny, ukrywa w sobie skarby większe niż kruszce spoczywające we wnętrzościach gór — skarby bogactwa duchowego.

Lezgin, to pomnik patryarchalności Abrahamów, poniżający chciwość Ormian, Gruzynów, a nawet Czeceńców, Kabardyńców, Persów i Tatarów!

Dzikość Lezgina jest wynikiem ukochania najprostych cech przyrody, pogardą i środkiem zabezpieczenia się od pożądliwości rozwalniających obyczaje, osłabiających charakter i przeistaczających przykazania, które piastuje.

Skarbem Lezgina jest tradycja przodków, od kilkudziesięciu stuleci istniejąca; której nie trwoni, lecz z rodzajem namiętności przechowuje.

Szczęście jego mieści się w życiu domowem, skromnem a surowem. Po za domem piękność natury wynagradza mu sownice wszelkie żądze ziemskie. Gardzi błyskotkami, mówiąc, że widzi gwiazdy jaśniejsze. Złoto nie ma dla niego powabu, gdyż zachodzące słońce wspanialej świat cały ozłaca. Nie szuka panowania nad ogółem, bo on panem w swoim ognisku; gdzie odbiera cześć i posłuszeństwo z miłości i poświęcenia, jakich nigdy ogół nie potrafiłby mu okazać.

Dla Lezgina niczem i niewygody życia! bo w nich zahartowany od młodości. Dla niego kamień jest wygodnem łożem, ulewa kąpielą, a grzmoty kapelą.

Meszedal, w porównaniu z Lezginem, to jakby brat Litwin przy Warszawiaku, piękny lecz odrębny typ przedstawia.

Brak stosunków, zamknięcie wśród gęstwiny lasów, trudniejsze utrzymanie bytu we wszystkich warunkach, współdziałający większy w gospodarstwie, wszystko to oddziaływa na człowieka puszczny.

Włos jego płowy, oko błękitne, cecha mieszkańca północy. Wszelakoż on wzrósł w tym samym, co i Lezgin, klimacie, z tą różnicą, że ostatni dojrzewał na słońcu, gdy Meszedal chował się w cieniu.

Strój jego jest skromny, podobny do lezgińskiego lecz krótszy i kolorowy, nie rażącej barwy: siwy, szary, orzechowy, lub zielonkawy. Kobiety noszą krótkie zasłony, pozwalające niekiedy dojrzeć ich twarze białych, delikatnych i miłych.

Małomówni Meszedale żyją w ciągłych wyprawach na polowanie. Pszczelnictwo mają samorodne. Lud jest ubogi, skromny, lecz pracowity i uczciwy. Domy są schludne, drewniane; auly ogrodzone palisadą, broniącą od dziczy.

Zwierzyny na pokarm używają tylko niektórej, jakoto: bażantów, saren i łosiów, na które oddzielne urządzą między sobą polowania.

Mówię: «między sobą», gdyż żaden tu jeszcze cudzoziemiec nie polował na zwierzynę, przez obawę, aby sam nie stał się zwierzyną.

Gospodarz nasz był w średnich latach, miał siedmiu synów, z tych dwóch dzieliło już z nim łowy.

Po kilku dniach wycieczki, podczas której ubiliśmy szakala

właśnie gdy się skradał czopanom do owiec, powróciwszy do chałupy, zajadaliśmy wyborną pieczeń baranią z truflami, gdy wpada czopan zadyszany z doniesieniem, że odkrył ogromnego aju (lamparta).

Gospodarz wiadomość tę rozesał po aule, i na prędce kilkunastu pieszych Meszedali stanęło w pogotowiu na wyprawę.

Nie wiedziałem, że okolica obfitowała w lamparta. Niedostawało tylko lwa. Rzadko dwaj tyrani panują nad jednym królestwem.

Stary aju, wielkie nic dobrego, szkodnik znany we wsi, nosił już kilka blizn na skórze, a nawet nieco kulał.

Czopani znali oddawna tropy i ścieżki, któremi chodził, a nie udało im się sprzątnąć nieboraka.

Stanęliśmy wszyscy w pewnym szyku bojowym.

Biegnąca przed nami czereda rosyłych brytanów zwąchała legowisko kosmatego nieprzyjaciela i wypłoszyła z kniei. Aju wycofawszy się, zmykał jak zajęc po rzedszym lesie. Lezgini, będąc na koniach, obsaczyli go i zaczęli dojeżdżać; a młody Machmed zeskoczył z rumaka i natarł na zwierza w obrotach.

Spojrzenie Machmeda na nas kazało stać w odwodzie, lecz nie pozbawiać go sposobności popisania się samemu przed Meszedalami.

Nadbiegają i ostatni, uzbrojeni w trzyłokciowe kije, okute i zakończone grotem na stopę blisko długim, ostrym i obosiecznym.

Ale Machmed, nie czekając na nich, ciska o dziesięć kroków kindżałem na lamparta.

Kindżał warknął, cios był silny ale nie śmiertelny.

Zwierz zawył przeraźliwie, wspiął się na dwie łapy, i natężonym skokiem rzucił na Machmeda. Ten się pochylił, szaszka damascenka błysła; szaszka i zwierz zetknęły się w powietrzu — rycerz i zwierz upadli na trawę.

Lecz rycerz powstał z chwałą, gdy aju konał z rozprutym brzuchem w ostatnich podrygach.

Tego wieczora Meszedale przyjęli nas huczną stypą w pamięć nieboszczyka, która była zarazem pożegnalną biesiadą, gdyż nazajutrz opuściliśmy ich siedzibę, obdarzeni upominkami.

Cóż to za magiczne panorama wydało nam zachodzące

słońce dnia tego? Góry nasze, do których cwałem pędziła kalwakata, u spodu były ciemno-lazurowe; wyżej bledniały, rozplywając się z pasa fioletów do lilii; grzbiety zaś miały różane, rozpostarte na tle roztopionego złota.

Bliżej nas, stojące poważnie, ząbkowate u szczytów, nożycami natury wystrzygane masy kamienne, wyglądały jak wielkie skamieniałe księgi historii tworzenia się świata.

Cienkie warstwy czarne, równo ułożone jedna na drugiej, składały tom tej historii. Na nim, jak na fundamencie, jak na zasadzie zasad, piętrzyły się dalsze tomy, brunatnej, czerwonej, szarej barwy — słowem, cała biblioteka dla geologów.

A na każdej księdze był wryty napis najwyższej mądrości: Bóg rzekł «stań się!» i stało się...

A wszystkie razem stanowiły olbrzymią postać pierwotnego syna potopu, co pod niebo wystrzelił, ukazując nam groźnie ostateczny cel wędrówki.

O niego obcierały się w przebiegu swym wieki!... Ileż to nieznanych ludów u jego stóp żyło, wymierało i całkowicie nikło, nie zostawiając śladów swojego istnienia?...

O! te drzemiące skały, to ocean wrażeń!... a ile wrażeń, tyle krynicznych strumieni dla orzeźwienia naszego ducha, strudzonego tą ziemską pielgrzymką...

Nazajutrz konie, przeczuwając nie wielką odległość do domu, rwały jak szalone, sadząc przez doły i przesmyki. Wiatr świszczał koło uszu i miotał tumanem kurzawy. O zmierzchu, światła w ciemnych skałach się jarzące, jakby w kuźniach cyklopów, wywołały okrzyk powszechny — ujrano nasz aul.

Każdy tam pędził uściskać rodzinę; ja jej wprowadzić nie miałem, lecz — czyż mnie nie oczekiwała Libia?... Pragnąłem jak najprędzej ją uścis... obaczyć.

Musiał to przeczuć mój kiulek, gdyż, parsając, jak gdyby mi wieszował dobrego wyboru, wpadł w podwórzec Abbasa.

Zeskoczyliśmy z Mustafą jednocześnie, a zostawiając wiernie trzewiki przed progiem, weszliśmy z uszanowaniem do komnaty.

«Sellam allejkim!» «Allejkim sellam!» wyrzekliśmy na wstępie, skłoniwszy się starcowi.

Potem oczekiwaliśmy, dopóki nie skinie, pozwalając nam

przywitać się ze wszystkimi osobami w ogóle i z każdą po szczególe...

Chwila upłynęła w milczeniu, wreszcie zacny starzec przycisnął Mustafę i mnie ze wzruszeniem do piersi.

Oko moje szukało niespokojnie siostr przybranych, lecz ich nie było pod tę chwilę.

Po treściwym opowiedzeniu Abbasowi szczegółów i postrzeżeń podróży, tudzież krótkiego pobytu u sąsiedniego pokolenia, nic nam nie odrzekł, choć na twarzy jego malowało się pewne zadowolenie — kazał iść do stajni i opatrzyć konie.

Dopełniwszy spiesznie rozkazu, powróciliśmy z trofeami strzeleckimi, aby się popisać w obec zgromadzonej całej rodziny, i rozdać jej otrzymane od Meszedalów upominki.

Lecz, o wielki Boże! tą razą chciałeś mnie chyba ukarać za wszystkie grzechy własne i cudze... Już trzymałem wybrany dar dla Libii, już go jej niosłem w upojeniu szczęścia, gdy nagle... postrzegam ją siedzącą w milczeniu w orszaku familijnym — z zasłoną na twarzy.

Wówczas dopiero uczulem z trwogą, że wybiła godzina pasowania mnie na wojskowego dżuwana; że z dziecka zamieniłem się w młodziana, od którego welon, ten najtwardszy mur, wyjęty z okrutnej księgi proroka, oddzielił, jak deska grobowa, najdroższą istotę... zapewne na zawsze!

Nie wiem, jak wręczyłem mój podarunek Libii. To tylko pamiętam: że serce me stukało, że przykro mi się zrobiło; że wyszedłem do ogrodu, powiedziałem sobie, iż sierota jest wszędzie sierotą, i pierwszy raz w życiu zapłakałem, ale tak cicho, tak głęboko, jakby żal mój nawet był ciężkim grzechem, którego nie godzi się wynurzać.

Wśród długiego szpaleru z figowych drzew i kasztanów był kiosk, w którym lubiłem z nią przebywać. Ku niemu postępowałem z wolna. Drzewa i kwiaty odziały się czarnem całunem, ptastwo ucichło, noc głucha! Tylko puszczyk żalobny smętną zmącił ciszę, i oddech nocy smutno wionął liściem.

Ale bo też i w duszy mojej było smutno i pusto. Brzmiało w niej żałośnie pienie; a przyszłość przedstawiała się kirem pokryta, odkąd na Libii kir obaczyłem.

Senna istoto! przyjaciołko młoda! stróżu mej cnoty! czyż

już znikłaś dla mnie bezpowrotnie? ... Tak! wszystko znikło — zostało wspomnienie.

Tylko wspomnienie!! — zawołałem z boleścią.

— Nie narzekaj Jusufie! — ozwał się głos wdzięczny za krzewów... i dwie postacie w bieli zjawily się przedemną.

— Ja cię tak szukam wraz z Libią — rzecze Fatyma — bo ona biedna... i mnie za nią serce boli... pociesz ją Jusufie... tymczasem pobiegnę, przyniosę wam sorbetów.

Zostaliśmy sami.

Błagałem, aby mi pozwoliła uchylić zasłonę.

— Nie, drogi Jusufie! — rzecze drżąca z prośbą, ale tak stanowczo, że żadna potęgaby się jej oprzeć nie zdołała. — I ja ciebie kocham Jusufie... lecz mój drogi, zaklinam cię na miłość naszą, nie żądaj odemnie tej ofiary. Możesz mnie zabić, bom twoją; ale czy wierzyłbyś tej, któraby złamała zakon Allaha? Za cóż miałbyś wówczas zbrodniarkę, niegodną siódmego nieba?...

Tuliłem ją do łona, czułem każde jej tchnienie; — niewyraźne dźwięki, oderwane głoski, zmieszane wyrazy wdzięczności, miłości, zamieniały nasze usta. Nogi jej okryłem pocałunkami.

Nadeszła Fatyma. Ostatnie, nerwowe drgnięcie ręki Libii oznajmiło mi dobra noc, i rozstaliśmy się.

Przez chwilę, jak wryty na miejscu, patrzyłem za odchodzącymi.

— Żegnaj cię Libio! żegnaj cię Fatymo! bo coś mi powiada, że was więcej nie obaczę...

Na te słowa Libia zawróciła się łkając i rzuciła mi się na szyję. Był to jęk duszy — walka — najgłębszy dramat życia człowieka. Ofiarowałem jej, na wieczną pamiątkę, krzyżyk i medalik poświęcony z Częstochowy.

Szmer jakiś dał się słyszeć. Chwyciła konwulsyjnie podarunek i znikła jak strzała.

Znowu rozstaliśmy się, niestety!

Ale, czyż życie ludzkie nie jest ciąglem pożegnaniem? ... Szczęście całkowite... o! ja w niego nie wierzę. Wszystko leci, ucieka i pędzi zziąbane, — czekać na nas w grobie! ...

Długo błąkałem się bez celu pomiędzy skałami. Jakies wiry,

ogniste wstęgi, promieniste elipsy, błyskały mi przed oczyma w ciemności. Czarne myśli wstrząsały mą jaźnią... Potykałem się o krańce przepaści.

Boże! cóż się ze mną dzieje? ...

Werter! ... Werter? ... przecz mi z tą pochodnią! ...

Ale jednak, gdyby się me serce pod ziemią ukryło, o! tamby spoczęło tak słodko, tak lubo...

Nieczulego żadneby nie wskrzesiły wołania, nie raniło pożegnania, tak, jak gdyby mnie nigdy na świecie nie było.

O matko! ... Na ten magiczny wyraz myśl pierzchnęła, uleciała ptaszęciami pióry ku rodzinnym błoniom. Mimowolnie ugięły się kolana, a usta odmawiały dawny pacierz z kornem czołem. Słyszałem dzwony i poważny organ parafialnego kościołka; widziałem plebana odzianego w świąteczne szaty, w uroczystej procesyi; rodaków co go wspierali, ująwszy pod ramię; a przy nich najukochańszą matkę, śpiewającą litanję, prowadząc dwie małe siostrzyczki za ręce.

Chwila wielka — chwila uroczysta — chwila odrodzenia — rajska melodia uczuć!

Miłość kobiety obudziła mego ducha i namaściła mnie miłością rodziny, ojczyzny, ludzkości, Boga.

Przeznaczenie chciało, abym został wojskowym. Postanowiłem więc być rycerzem, na drodze owej świętej miłości.

Bóg mnie wysłuchał ...

Nazajutrz rano, ze spokojem w duszy, poszedłem szukać Abbasa.

Starzec siedział już przed domem, połykając ostatnią pigułkę z jakichś ziół, orzeźwiających jego zgrzybiałość. Lekki powiew wiatru igrał z białą brodą; a żywy rumieniec i bystry wzrok krasiały lica zawędle zmarszczkami.

Zbliżyłem się śmiało, pozdrowiłem go z uszanowaniem i rzekłem bez wahania :

— Ojcze i opiekunie mój, szlachetny Abbasie! Kilka lat waszych starań i pieczołowitości dozwoliły mi wzrosnąć i stać się dżuwaniem. Niczem wam nie potrafię się wywdzięczyć, jak godnem zastępstwem Mustafy w hufcach przeciw Moskwie. Wiem o tem od dawna, a chęć, żeby temu obowiązкови jak na-

leży odpowiedzieć, była bodźcem do celowania pomiędzy innymi zręcznością, odwagą, choć nie zawsze siłą.

— Jam Polak, wasz kardasz (przyjaciół) Lezgini! Nie zdradzę więc waszego zaufania. Przodkowie moi dali tego przyjaznym narodom krwawe dowody. Pragnę stać się równym waszym bohaterom i caotliwym mężem.

— Proszę cię ojcze i opiekunie Abbasie, wyślij mnie do miejsca mego przeznaczenia, bo tu dłużej zostawać nie mogę — nie mogę.

Surowym z razu, lecz coraz łagodniejszym okiem, przypatrywał mi się starzec. Aż gdy skończyłem, odparł:

— Zawołaj mi żonę moją Assyę i jej syna Mustafę.

Rozkaz w minutę wypełniłem, i wszyscy troje stanęliśmy przed Abbasem. Assy dał znak, żeby obok usiadła. Potem głosem silnym i energicznym przemówił.

VI.

**W POŻEGNANIU ABBASA HISTORYA
KAUKAZU.**

1911

1912

1913

1914

1915

1916

VI.

«Starożytny Kaukaz. żywiąc w sobie narody jednej wiary i obyczajów, nieskażony obczyzną, był obrazem błogosławieństwa Boga i pokoju ludzi.

«Chwil tak szczęśliwych nie pamiętam; ale podanie starców i duchownych achuntów, muridów, hadżich przekazało wspomnienia memu sercu i wryło w pamięci.

«Kilkadziesiąt lat temu, kiedym z drugimi dżuwany czynił wycieczki myśliwskie i wojenne, w nocy strach nas przejmował na widok niezwykłych znaków na niebie: mieczów ognistych, słupów gorejących i innych zjawisk, gniew Allaha oczywiście zapowiadających.

«Zebrali się muridzi, achunty, derwisze i hadżowie, a wezwawszy starców bogobojnych i niektórych czopaków, odmawiali modły; gdy zaś poczuli w sobie siłę ducha i natchnienie, rozbierali zdarzenia i wyprowadzali wnioski.

«Przepowiednie te, przesłane do Mekki, pozostają w skarbnicach grobu Wielkiego Machometa proroka naszego.

«Ludy zadrżały z trwogi i bojaźni, lecz nie usłuchały głosu i rad świętych.

«Wtedy to rozpoczęły się klęski. Dżuma, trzęsienie ziemi, z kolei następując, niszczyły najpiękniejsze okolice — a niejedność gorsza nad dżumę, skutek pychy i żądzy panowania, gnębiła pobratymcze plemiona.

«Nadszedł Urus, zabrał Kiercz; wytępił Tatarów, naszych

jednowierców; zamącił nieczystą nogą wody Azowu; a ogniem i mieczem podbił i ucisnął małą i wielką Kabardę.

«Tron paddi-szachów Istambułu upadł z świętości nietykalnej i swego znaczenia, na jakim go Osman postawił — zagaśła na chwilę gwiazda Wschodu, zalana krwią, w walkach bratnich z Wachabitami.

«Persya, zwyciężona przez Urusa kilkakrotnie, runęła ze szczytu sławy wiekowej, jako pomnik Rustana, który nie mógł ustać, gdy Persowie przestali być dzielnym dawnym narodem.

«Władykaukaz, odwieczna strażnica naszej ziemi, wpadła także w szpony Urusom; jakoteż Poti, Tiflis, Eriwan, Kuba i droga nam Baka, niegdyś stolica Sunguli-hana; Szirwan.

«Wszystko to dziś, niesyty łupu wróg wiary i ludów ciemięży i gniecie.

«Życie moje długie — lecz dłuższem mi się zdaje, gdyż tylko same nieszczęścia i wypadki sromotne go napełniają.

«Słuchajcie dzieci Lezgitanie! Jako najszacowniejszą puściznę przekazuję wam rady i uwagi przez świętych, achuntów i muridów głoszone:

«To, czego rozum ludzki nie wytlómaczy, ręka, głos, ani oko naśladować nie zdoła, jest objawem cudu Boga dla opamiętania wiernych zesłanego.

«Dzisiejsze różgi płonące i gwiazdy niezwykle na niebie zapowiadają nadchodzące wysilenie szatańskie, dla szkodzenia ludowi wiernemu.

«Kiedy z pustyni ma przybyć szare robactwo, żeby zniszczyć urodzaj i ogłodzić najżyźniejszą rolę — wszak widzicie białe ptaszki (aach kusz), które fruną do świętego zdroju, i tam napiwszy się z czystej krynicy, lecą z wiatrem na wyścigi dla dławienia szarańczy.

«Na grzbietach tej szarańczy jest arabskimi głoskami wypisano: kara boża.

«Obecnie, tylko dłonie czyste od pożądliwości; serca tylko niewinnością i równością bratnią, jak owe ptaszki, jaśniejące; równie i ci, co zaczerpią mądrości ze źródeł świętych, i z wiarą pójda — potrafią odwrócić klęskę nad nami wiszącą.

«Inaczej, okropniejsza, niż szarańcza, plaga boża czeka nas i następców naszych.

«Na północy — gdzieś za rozległymi stepami i rzekami, wśród zatechłych bagien i lodów, szajtan zbudował tron i na nim ulubione sługi swe utrzymuje.

«Dotąd nikt nie mógł wstąpić na ów tron jak tylko ród: oj-cobójców, bratobójców, dzieciobójców, trucicieli, dusicieli i naj-okrutniejszych występników, którzy swemi czynami czartu ofiary składają. —

«Szatan dla większego tryumfu i szańbienia ludzkości, posadził nawet na nim wszetecznicę. Spełniwszy ona wszystkie zbrodnie, zwłaszcza na mężu swoim, na krewnych i na narodzie, rozpustą brudnych chuci zionęła, a tych, co jej dogadzali, wysokimi godnościami darzyła. Nikt piekłu większych usług nie wyświadczył, nikt nie zasiał więcej złego na świecie. Szatan jej największy oblubieniec.

«Gdy zapragnęła pałaców, tak wspaniałych, jak gdzieś tylko w dalekich stronach derwisze widzieli, szatan je wystawił. Wody zaś, co u nas z gór na dół spadają, tam musiały wbrew woli przyrody tryskać nikczemie do góry.

«A wszystko to z kamiennych potworów się dobywało. —

«Brakło czarownicy pieniędzy, i tu usłużny czart jej dogodził. Nauczył złodziejstwa tak wyuzdanego, iż umiała wmówić w ludzi, że kawałki papieru są pieniędzmi. Ci zaś, którzy temu nie uwierzyli, musieli udać że wierzą, bo się jej bali. —

«Choroby trędów, króst i obrzydliwości, kalandie rodzin hańbieniem się dobrowolnem matek, żon, córek, wszystko to złączone z rozpasaną chciwością złota, rozpościerało się po świecie i gubiło narody więcej niż morowa zaraza.

«Rozesłano do szejków, sułtanów, hanów, baszów i wszystkich naczelników, ażeby pozostali wiernymi przodków swoich wierze, i bronili do ostatniej kropli krwi ziemi i praw ojczy-
stych — a szczególnie, aby nie dali się mamieć czarami, nowo-
ściami, marnem złotem, i obietkami poprawy losu.

«Ze wszystkich szczepów Kaukazu Lezgini, wierni wezwaniu, walczą i giną, choć zbawić ojczyzny nie mogą.

«Strój nasz czarny, żałobny; a ulubiony kruszec: żelazo! to-
rujące drogę w ubóstwie do niepodległości.

«Braterstwo nasze, jak owych ptaków śnieżnych, równych i

szlachetnych, nie splamione namiętnością panowania i ciemnienia własnych ziomeków.

«Widzę skutki poddania się na łudzące obietnice Urusa, książąt, begów i chanów czeczeńskich, kabardyńskich i tatarskich. Dziś, synowie ich walczą przeciw własnej siedzibie, zapomniawszy języka macierzyńskiego, pogardziwszy religią przojców. Pasą się świniną, upijają wódką; a żony ich i córki bezwstydnice zdarły z siebie zasłony.

«Ormijanie i Gruzyni frymarczą ich ciałem, gdy Urus, uszczęśliwiony ze zwycięstwa, bawi je komediami, na których szalone tańczą.

«Czerkiesi! już im niemiłe torbany własnych niewiast; już im ich potrawy nie wystarczają; a rozbudzona chciwość zysku, popchnąwszy na drogę gry, każe się potem płaszczyć o urzęda, i pastwić nad własnym krajem, nad własną bracią i krwią własną.

«Lezgin niech dzikim zostanie! niech mu będzie obce, co jest dziełem nie Boga, lecz szatana i czeladzi jego!...

«Widzicie, jak już na zgłiszczach aułów jakieś osady powstają, a inne rasy zajmują miejsca nasze. Nie dość tego, abyśmy zniknęli, lecz chcą zaludnić naszą ziemię żarłokami wieprzowiny i ziemniaków.

«Lezgin nie traci nadziei i ja ją w mem sercu, dzieci moje! od kilkudziesięciu lat żywię i obudzam.

«Muridzi przeżyli już sprośną szatanią — syn ją własny udusił. Rządził krótko, bo go wet, za wet własne dzieci udusiły. Z tych najmłodszy, starszych wytruwszy, wlaź na tron jak lis, rządził jak tygrys, skończył jak wściekły sobaka.

«Następcą jego jest bękart, rozpustnik, przytem niedołęga; los jego wróżę, będzie jak owych paddiszachów, co światem trzęśli, a nieudolnością upadli i słudzy dziedzictwem ich się podzielili.

«Wieki nas przechowały, to owa Najwyższa Zasada zasad nie dopuści, aby jej lud wybrany, pragnący niepodległości, zdeptyany został.

«Czy wiecie, co to są Lezgini?...

«Plemię, co, schodząc z niebotycznego Araratu, w miarę ustępowania wód ogólnego potopu, dało początek innym lu-

dom; — plemię, co istnieje jako jedyny świadek rozwoju następców; — plemię, którego siła, dzielność, w zarysach pierwotnych pozostała, wśród tych samych gór, wśród tych samych owoców, które nas od stworzenia świata niezmiennie żywiły i żywią.

«Na zniszczenie to tego właśnie plemienia Urus targnął świętokradzką rękę.

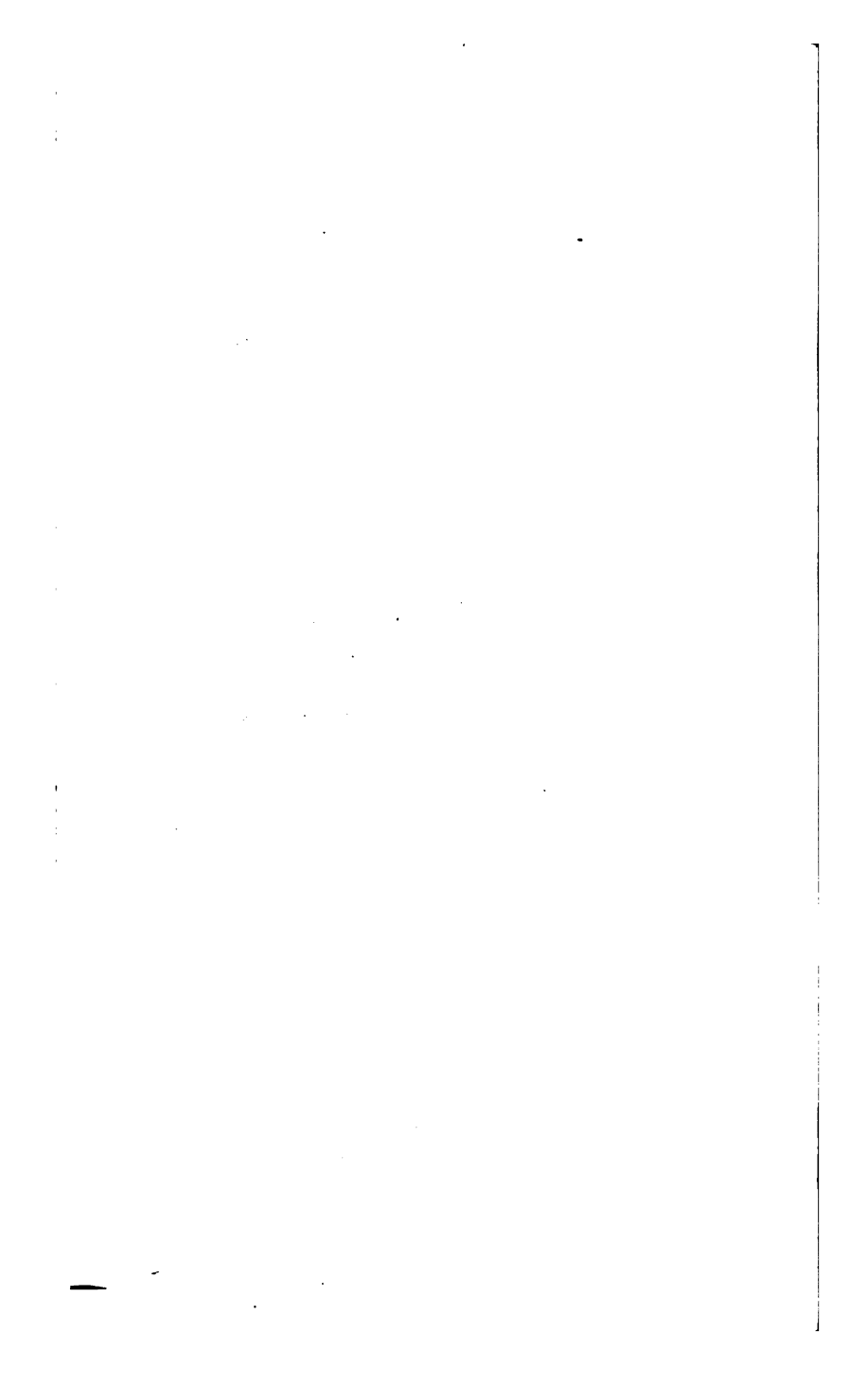
«Walka nasza jest straszna — o pomstę do nieba wołająca! ...

«Idź Jusufie! skoro przechowujesz w żyłach twych, jako kardasz, jedno z nami uczucie; walcz więc przeciw wspólnemu wrogowi — a błogosławieństwo starego Lezgina doda ci otuchy, bo zwycięstwo Bóg sam tylko udziela i od śmierci ratuje.

«Ojczyzna droga! Czoło me rumienieje na myśl, że ci ostatniej ofiary krwi własnej odmawiam. Lecz któżby podał potomności tradycję rodzinną? ... ktoby opatrzył groby braci, synów i zmarłego ze zgrzyoty ojca? ...

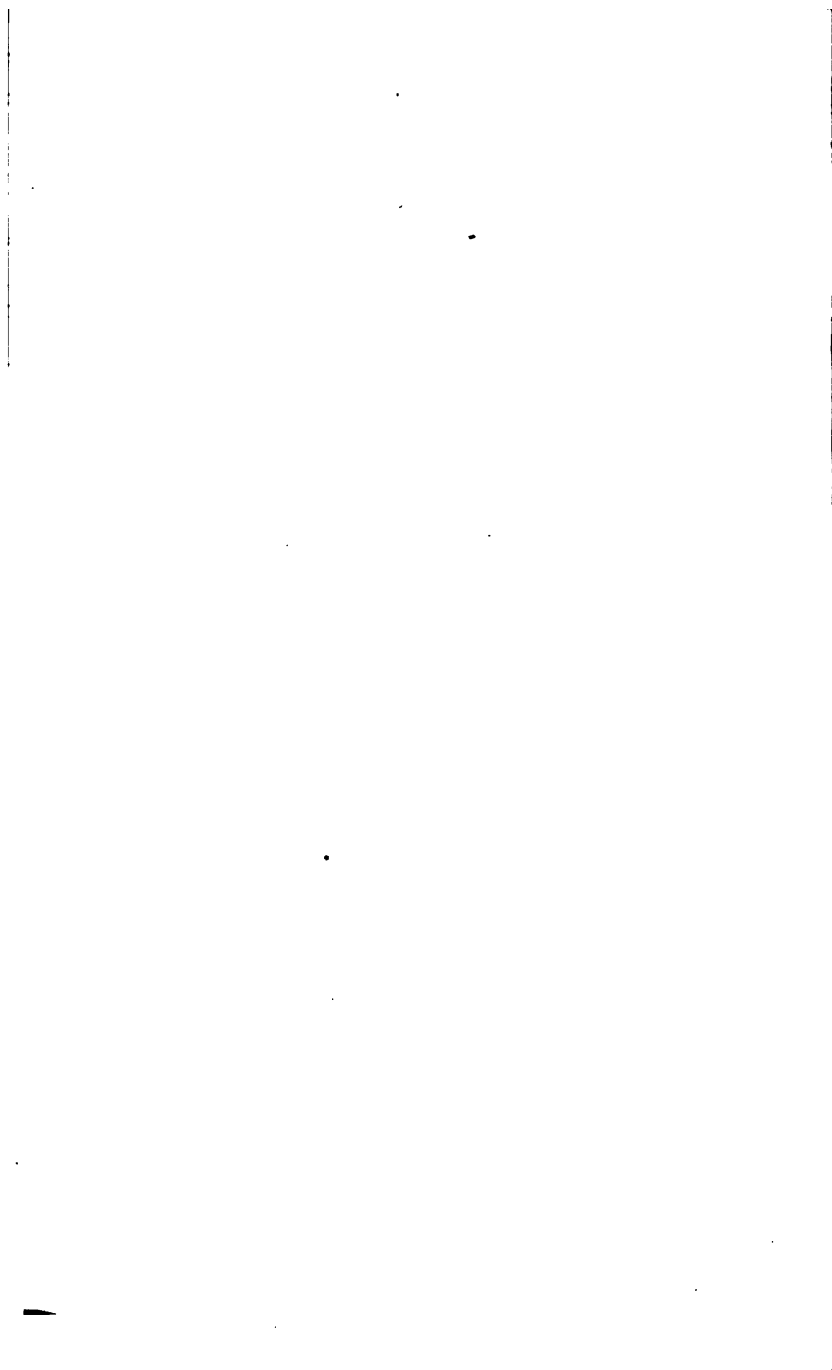
«Mustafo! Jako ostatni szczep rodu zachowan do czasu będziesz. Jusuf stawi się za ciebie do Szamyla. Skoro odrodzisz się i wydasz na świat rycerzy, uzyskasz prawo walczyć i zginąć — dziś ci jeszcze nie wolno.

«Dżuwani! pomnijcie rady starego Abbasa — a teraz pomodlimy się razem w imię wielkiego Allaha.»



VII.

POŚLUCHANIE U SZAMYLA.



VII.

Pędź kiuleku karogniady! parszaj rozdętymi nozdrzy!
leć z wichrami na wyścigi, coraz wyżej, coraz chyżej... przed
Szamylem stań!

Ach! bodaj to lot sokoli mieć, błyskawicę gnać, pędzić
w nieskończoność, upoić się szalem, i omdleć w zachwycie...

Bo wszystko dla mnie omdlało. Przeszłość już jest w tyle —
nie ma obecności — a przyszłość tam... w grobie!

O wy, rajskie ptaszyny! o wy widma mej młodości! gdzież
jesteście?...

Tak smutne, a z pogodą na czole; tak wesołe, a z łezką
w źrenicy... nie uciekajcie ode mnie!... Chwilkę... jedną
chwilkę... zostawcie choć czas pożegnać was — na wieki!...

Nie słuchają... lecą... ja je ścigam, chwytam, one bledną i
nikną w przestworze. Wiatr świszczce i burza huczy.

Lecz od najstraszniejszej w naturze w sercu straszniejsza
była burza.

Pędziłem, podobny do orła lecącego gdzieś w przestrzenie;
a po licu spływały krople rosy... lecz nie deszczowej to rosy...

Stanęliśmy w Keremze aule (czerwonym aule), stolicy
Szamyla.

— Słuchaj Jusufie! — ozwał się stary Abbas — za chwilę
stawię cię przed Szamylhanem, i oddam jego rozkazom. Zbierz
przytomność, ażebyś mógł okazać się tak godnie, jak młodzian
winien być w obec sławy i chluby Kaukazu, w obec natchnionego
proroka, najwyższego obrońcy uciśnionego kraju.

Spojrzenia nasze odbijające wzruszenia głębokie, spotkawszy się wzajemnie, były wymowniejszemi niż słowa. Wyrażały one rodzaj zobopólnego przymierza i zapewnienie z mej strony zachowania w duszy i wypełnienia w czynie upomnień doświadczonego męża.

— Synu pełen cnoty i dobrej woli! błogosławię cię i zabezpieczam od złego tym talizmanem, który nosz z wiarą na piersi twojej.

Uczucia wzniosłe w każdym wyznaniu są zawsze jednym objawem ducha bożego.

Rzecz martwa przez wiarę życia nabiera.

Gdybym, jako przesądny katolik, zamiast przyjęcia talizmanu i ocenienia w tym widomym znaku najlepszych chęci w wychowawcu przyrody, w Lezginie, lekceważył go był, — musiałbym sam przestać być czuć i zejść do nietolerancyi, do pojęć Faryzeuszów lub błędnych fanatyków, przeciwnych duchowi nauki Chrystusa.

Talizman nie mógł, bez wątpienia, mieć własności cudownej. Lecz któż mnie zapewni, że serdeczne błogosławieństwo Abbasa przywiązane do niego, błogosławieństwo muzułmanina dane dziecku chrześcijańskiemu, zastępującemu w niebezpieczeństwach jego własne dziecię, wysłuchaniem nie zostało? i że nie jemu winienem, iż z kilkudziesięciu późniejszych bitew wyszedłem cało i zdrowo?...

Otóż i zamek Szamyla! obszerny, lecz wolny od przesadnych ozdób, jakie na minaretach, meczetach i pałacach widzieć się dają. Dwa lwy kamienne trzymają półksiężyc nad bramą.

To herb i godło Kaukazu!

Przedstawienie potęgi w królach zwierząt, strasznych ale wspaniałych, cechuje ludy kaukaskie, mężne a sercowe, podtrzymujące znak islamizmu, który obdarza ich w Koranie radami mądrości i popycha do ulubionego poetycznego marzenia...

Księżyc, ten planeta najbliższy ziemi, milszy im przy orzeźwiający chłodzie wieczornym, od palącego gwałtownie słońca. Jego zmiany postaci, koloru i wielkości, w pewnych, stałych,znaczonych przez Rządę świata godzinach, ostrzegają ich o

mijającym niepowrotnie czasie i o zbliżaniu się kresu doczesnej wędrówki.

Księżyc niepoślednie zajmuje miejsce w pielgrzymkach hadżich udających się do grobu Mahometa: wskazuje im drogę, ostrzega o zmianach powietrza, o uraganach na pustyni; jest czasomiarem i przewodniczącym duchem karawany.

Zatrzymaliśmy się w podwojach rozległego lecz skromnego mieszkania Szamyla. Po zameldowaniu się w przedsionku, gdzie chrzest zbroi przechadzających się rycerzy uderzał najprzód słuch przychodnia, weszliśmy do komnaty posłuchalnej. Białe ściany, różnobarwne ubiory baszów, zielony dywan na posadzce, atlasowe poduszki ze złotymi kwiaty, obleczone tiulem, stanowiły cechę hańskiego przybytku.

Siedzący po wschodniemu, Szamyl, palił tytuń z nargili (naczyńce, w którym dym przez wodę przechodzi), obsługiwanej przez murzyna w ponsowym ubiorze. Powstał na widok wchodzącego Abbasa, postąpił kilka kroków poważnie, zatrzymał się, i szybkim, często przerywanym głosem, rzekł:

— Sallam Allejkiem! sędziwy Abbasie. Dzięki wielkiemu Allahowi, że was widzę w zdrowiu. Wasze poświęcenia dla ojczyzny uczyniły was miłymi Bogu i bliskimi serca mojego... Lecz nie pora mówić o poświęceniach... wyraz bowiem taki ulatnia ważność poczucia... Cześć ci za twoją przeszłość patryarcho-męczeńskiego szczepu... Zbliź się i objaw zamiary, które cię do mnie sprowadzają.

— Hanie Szamylu! Wśród zdobnych rozumem i cnotami naibów, muridów, wśród wszystkich sułtanów i emirów, jaśniejsz wielki jako słońce pomiędzy gwiazdami, których nie widać w czasie twego blasku. Nie zdobędzie się prosty Lezgin oddać ci kwiecistą derwiszów wymową należnego hołdu. Głos natury przezemennie odzywający się wystawia ci górala, co krwi chciwy jak tygrys, któremu dzieci wymordowano, marzy o zwyciężeniu wrogów, rozpamiętywa Koran, i strzeże się pokus szajtana.

Ostatni potomek mego rodu, Mustafa, był przeznaczony wolą serca mego do wstąpienia w ślady poległych jego braci w obronie kraju. Błagałem Allaha, ażeby mi pozwolił złożyć kości w Mekce, tam życia ciężkiego dokonać. Zamiary te

pobożne, atoli zachwiały się. Czarne myśli, że staremu przyjdzie przeżyć ostatniego syna, i być świadkiem zaguby rodziny bezpotomnej i tradycyi domowej, ścisłały serce i paliły głowę. Litość Proroka zesłała mi w ręce dziecię braci naszych Polaków. Wychowałem je w wierze, w sztuce rycerskiej, i pewny jego szlachetnych uczuć, choć umiłowalem jak własnego syna, odrywam go dziś od łona mego i sprawie oddaję, w zastępstwie za Mustafę, na którym inne jeszcze ciężą obowiązki. Wychowancom zaś dam chętnie córki moje za żony, jeżeli Bóg pozwoli mu szczęśliwie powrócić.

Osądź mnie szejku Szamylu, czy przedwczesny zgon Mustafy, gdybym go posłał na wojnę, nie potępiłby mnie jako ojca szafującego nieogłędnie resztką...

— Nie kończ Abbasie! przychyłam się do twego żądania; a młodziana, którego mi przedstawiasz, przyjmuję w miejsce Mustafy.

Tu Szamyl, zwracając się ku mnie, zapytał w języku polskim:

— Jak się zowiesz młodzieńcze?

— Jusuf Ostoja! odrzekłem.

— Jusufie! niechaj basza dworu zaprowadzi cię do dowódcy Opaczyńskiego i zamieści w sotni polskiej.

Na tem się skończyło posłuchanie. Uradowany podążyłem za baszą.

Szamyl, owa wielka i groźna postać, owa potęga bohatera ludowego, która w najpiękniejszej sprawie opierała się zamiarom grabieży i podbojów najsilniejszych mocarzy, największego cesarstwa na kuli ziemskiej... był synem pasterza trzód w puszczech Dagestanu.

Wprawdzie pogląd dziejopisa przenika z trudnością słoje skalne i zawiłe przepaści Kaukazu — i każdy odgłos ztamtąd przechodzi do nas jakby echo podpadające zmianom w miarę odległości i różnorodności krajów, przez które przebiega — wszelakoż z pomiędzy podań o rodowości Szamyla powyższe zdaje się być najpewniejsze.

Jakim sposobem ów nowy prorok doszedł do najwyższej godności? Nikt o tem nie wie. Fakta jednak okazują, że zdobył ją sposobem najprostszym — siłą własnego geniuszu.

Szamył przez poznanie się z derwiszami i imamem został duchownym i rycerzem razem, i walczył do ostatka życia swego poprzednika, Kazy-Mollacha, wraz z tymże władcą Kaukazu, zajmując przy nim godność murida.

Muridyżm stał się w machometanizmie tem, czem protestantyzm w religii chrześcijańskiej.

Zasada muridyżmu nakazująca poświęcenie się jednostce dla ogółu, i ogółowi dla jednostki, jakkolwiek czysto-demokratyczna, wzywa do posłuszeństwa bez granic jednemu naczelnikowi, jak to ma miejsce np. w jezuityzmie.

Pamiętny jest w dziejach zgon Kazy-Mollacha i jego muridów, 14 października 1832 r., w bitwie okropnej i w zięciu przez Moskali Koisu.

Szamył miał wówczas lat dwadzieścia siedm.

Dwa lata później, gdy upadł drugi naczelnik kaukaskich ludów, Hamzad-Bey, Szamył wystąpił jak olbrzym, pan życia i śmierci, z wielką mocą i majestatem. Rozesłał emisaryuszów, powołał ludy do wojny świętej, wywiesił chorągiew Mahometa, — i od tego czasu Moskwa ujrzała z trwogą, że pastuszy kij jego zamienił się w berło potężnego króla górali kaukaskich, a flet w trąbę wojenną.

Szczęśliwa gwiazda świeciła nad tym szczególnym człowiekiem i utrzymała go na tronie.

Przykład:

Szamył, obdarzony żywą i głęboką przenikliwością, łatwo zrozumiał, o ile są bezpieczniejsze twierdze moskiewskie o niskich murach, nad owe wysokie azyatyckie, służące za cel dla dział nieprzyjacielskich. Porzucił zatem owe twierdze dawnego stylu.

Na szczycie stromej góry, otoczonej ostrokończastemi, pionowo ściętymi skałami, wznosił się samotny auł, zwany Akulgo. Kłoby z Europejczyków spojrział z wyżyny tego aułu na dół, dostałby zawrotu głowy. Wszelakoż Akulgo był ufortyfikowany przez inżynierów polskich, którzy tam się schronili po nieszczęśliwym powstaniu 1831 r., aby przedłużyć wojnę przeciw Rosyi.

Wniebowstąpienie dla Moskali i wdarcie się do Akulgo zdawało się rzeczą niepodobną do wykonania. Akulgo mieścił

nadto w swych kamiennych wnętrznościach ogromne zapasy żywności i amunicji.

Szamył obrał w tem orlem gnieździe swą główną kwaterę i długo w niem przebywał.

Tymczasem donośny odgłos o nim przebiegał gubernie caratu. Moskale postanowili zgnieść dzielnego wodza; — a choć przewidywali, że gniojąc, sami będą nielitościwie gniecieni, i że na własnych karkach przyjdzie im budować rusztowanie dla niepodległego górala — przeznaczyli na śmierć ómy żołdatów i posłali na wyprawę. (W Rosyi żołdat nie kosztuje więcej nad rubli 20, i takiej ceny przedstawia wartość.)

Szamył, zawiadomiony przez swych szpiegów o pochodzie wroga, rozkazał Czeczeńcom napastować go i tępić przez całą drogę; zatrzymywać przed wszystkimi murami i przesmykami. Sam zaś oczekiwał go w twierdzy, nie dowierzając, aby mógł dostać się tak wysoko.

Na ten raz mężny wódz kaukazki grubo się omylił.

Jednego poranku ujrzano ze szczytów Akulo czeredę moskiewską, oblegającą okolicę. Czeczeńcy opóźnili się z marszem, — i król gór zmuszony był patrzeć, jak Moskale gospodarują w jego dziedzinie; jak zarzucają mosty nad przepaściami; jak jedni drugich wciągają po linach na urwiska; rozsadzają prochem pokłady granitu tamujące przejście artylerji i wznoszą bastjony na miejscach zajętych.

Pomoc nie nadciągała na odsiecz oblężonym. Moskale coraz się do nich zbliżali.

Szamył, stojący w białej szacie na najwyższym wale swej cytadeli, skinął, i krocie kamieni stoczyły się na łby napastników.

Pierchnęły mózgi z posoką, z tłuszczu żołdatów zrobiła się miazga.

Ale na grube warstwy tego spłaszczonego cielska wstąpiły z wyciem, jak stada hyen, nowe zastępy opiłe trunkiem. A po trupach tych nowych sapery Paskiewicza weszli pod okopy aulu.

Szturm do cytadeli zaczął się na ostro.

Garstka walecznych silny dawała odpór. Świszczał grad kul około Szamyła, syn jego, Dżemmal-Eddin, popadł w niewolę, padali u stóp jego znakomici rycerze — on stał niewzruszony.

Pomimo tego szarańcza moskiewska posuwała się naprzód...

Szamył z dymiącego się pobojuwiska, a za chwilę postać jego biała ukazuje się na wierzchu środkowej baszty, i ztamtąd wydaje rozkazy.

Chwila to stanowcza.

Pod nogami jego odbywała się rzeź, jakiej nie zaznały sępy kaukazkie.

Wojujący obustronnie kąpali się we krwi strugach, grzęźli po martwych i ranionych ciałach swych towarzyszy. Moskale pięli się po drabinach szturmowych, u których szczeble były z trupów świeżo poległych. Muzyka wojenna ustała. Słychać tylko było zmieszaną wrzawę, huk strzałów, wark pocisków, szczęk, tarcie zbroi, i charkanie umierających.

Przemoc brała górę.

Ale i żywioły przyjęły udział w tej bitwie pamiętnej na obronę bohatera ludowego. Nagle, sterczące urwisko skały ponad jego basztą wstrząsa się w swej posiadzie, chwieje, i pada z rykiem straszniejszym od gromów.

Nastąpiła zmiana krwawej dekoracji.

Runąca opoka zrobiła nową miazgę z Moskali na dole, i odsłoniła gromadkę kobiet czerkieskich stojących na górze, zrozpaczonych, okopconych, na pół nagich, z rozczochranymi włosami, zionących przekleństwa.

Każda z nich, co miała w ręku kindżał, nóż, głąz, naczynie kuchenne z ukropem, rzucała z dzikim okrzykiem na wroga.

Lecz brakło broni, brakło kindżałów, brakło i kamieni.

Niedobitki moskiewscy, poprzyczepiani do korzeni drzew, wrośli do szczelin, zaczęli znowu pełznąć naprzód...

Wtedy to jedna z matek Czerkiesek chwytła konwulsyjnie własne dziecko, roztrąca mu główkę o mur, i rzuca ze wściekłością na najbliższego Moskala.

Moskal i dziecko toczą się do przepaści.

Sama się rzuca na drugiego, wydziera mu oczy, strąca go, gryzie, i oboje z jękiem padają w otchłań.

Sołdatom znowu posiłki nadchodzą.

Tymczasem czarna noc rozciągnęła żalobę nad żyjącymi i nieboszczykami. Pożar wszczął się w Akulgo, a na płomienistym tle widać jeszcze było pasujące się cienie szermierzy.

Potem wszystko ucichło, wszystko znikło; pozostała łuna, która zgasła dopiero w przedświcie słonecznego brzasku.

Jutrzeńka odkryła nieszczęsny auł w zgłiszczach i ruinach, oznaczonych sztandarem mocarza Północy (1839 r.).

Wśród gruzów i umarłych niezmordowany nieprzyjaciel ludzkości szuka Szamyla — i nie znajduje go.

Nie dowierza sobie, czyni drugi raz i trzeci poszukiwania, przetrząsa skwapliwi wszystko — ale napróżno.

Zdumiały, odstępuje od miejsca zbrodni, przypuszczając, że w ogólnem spustoszeniu pozostały tylko z króla Kaukazu rozćwiertowane szczątki do niepoznania. Skazuje je więc drapieżnemu ptaśtwu na pastwę.

Niespodzianie Szamyl, jak mściwe widmo potężnego Tytana, ukazuje się gdzieindziej i rozsiewa postrach na wroga. Soldaci zaczynają go uważać za czarnoksiężnika, i szeptać między sobą, że miał łódkę, co pływała po powietrzu z jednej góry na drugą. Inni wierzyli, że miał zakłętego kozła, co z nim skakał wiorstowemi susy ze skały na skałę.

Cokolwiekbądź, kiedy? i jakim sposobem? wymknął się od widocznej śmierci — nie wiado.

Byłże to sęp? byłże to duch Prometeusza, co go uniósł przez obłoki lub pieczary podziemne? Nie wiadomo.

Cud się zjawił.

W skutek tego ludy kaukazkie głosiły, że: «Jeden jest tylko «Bóg i dwóch proroków. Pierwszego nazwisko Mahomet, drugiego Szamyl.»

W samej rzeczy, od czasów Mahometa, jak twierdzą uczeni europejscy, mianowicie: Curson, Makintosch, Spenser, Dr. Koch, Wilbraham i inni, nie było zdolniejszego od Szamyla agitatora i przywódcy ludu.

Jaśniał on bogobojnością, sprawiedliwością i cnotami domowemi, przy zręcznej dyplomacyi i polityce jaką prowadził.

Nie upaść ze stanowiska tak trudnego, w obec rozbudzonych namiętności, zawiści, zazdrości i zdrad naczelników innych plemion i narodowości kaukazkich; występować śmiało w obec cieśni nieprzyjaciół i swoich; otoczyć się blaskiem głośniejszej sławy mistycznego pomazańca bożego i mędrca, który zginąć nie może; stać się sławniejszym niż El-Mansur, pierwszy

obronca Kaukazu (podobno Polak, brat Mazur); są to szamylowskie czyny, które zasługują, ażeby uznać w nim prawdziwy geniusz, choć może nie dość szczęśliwy i w nader trudnych postawiony okolicznościach.

Zmuszony mistyfikować świat, w końcu i sam się zamistyfikował — upadkiem smutnym w Keremzaule.

Niezaprzeczoną jest tradycja, jakoby Szamyl pochodził z dawnych ksiąg kaukaskich; a los uczynił go z pasterza podobnym do Dawida zwyciężającego Goliatów mikołajowskich: Paskiewiczów i Woronców.

Natchnienie, właściwe wysokim talentem, przewodniczyło mu przez długie lata na pomyślnej drodze. Umysł jego był czynny i wykształcony. Znał, oprócz kilku dyalektów wschodnich, język starożytny arabski piśmienny; a ztąd mógł i z historią obznajmić się z bliska. Wiemy bowiem, że Arabowie odziedziczyli niegdyś nauki na świat cały. Resztki tej świetności Wschodu, dziś jeszcze pomiędzy duchownymi machometanickimi odgrzebać się dadzą.

Żywość charakteru Szamyla dochodziła czasem do dzikości, lecz krótko trwającej; bo jego strona uczuciowo-melancholiczna łagodziła chwilowe uniesienia.

Powierzchnowość jego, znana z portretów, nie daje jeszcze dostatecznego wyobrażenia o nim.

Wzrostu był więcej jak średniego, twarzy owalnej ale pełnej, tuszy dobrej. Oczy jego wielkie i ciemne, na pół zasłonięte powieką, rozlewały wyraz słodczy i powagi razem. Była to piękna jesień mężka. Ale wydatne mięśnie, na białych policzkach, zdradzały silną wolę i energię. Brodę i wąsy farbował na czerwono, zwyczajem miejscowym.

Gdy siedział zamyślony na poduszkach, można go było porównać do lwa drzemiącego; gdy powstał i wznosił czoło, każdy mógł przeniknąć w jego osobie człowieka wyższego, stworzonego na wodza — ale na tem czole, oprócz geniuszu i męstwa, jaśniało nieszczęście.

Ubiór nosił skromny, jak filozofowi przystało. Ubiór ten wydatnie odbijał pośród strojnego orszaku jego dworu. Głowę zaś nakrywał w pokoju krymeczka z lamy, mieszczącą pewien talizman cudowny. Gdy wychodził z domu, kładł czapkę czer-

kieską, z długim włosiem białej owcy, podobnej do angory, zdobną muślinowym, śnieżnym zawojem, którego końce spadały mu na plecy. Nad zawojem widać było dno czapki, koloru ponosowego.

Jeździł konno z nadzwyczajną lekkością i wprawą.

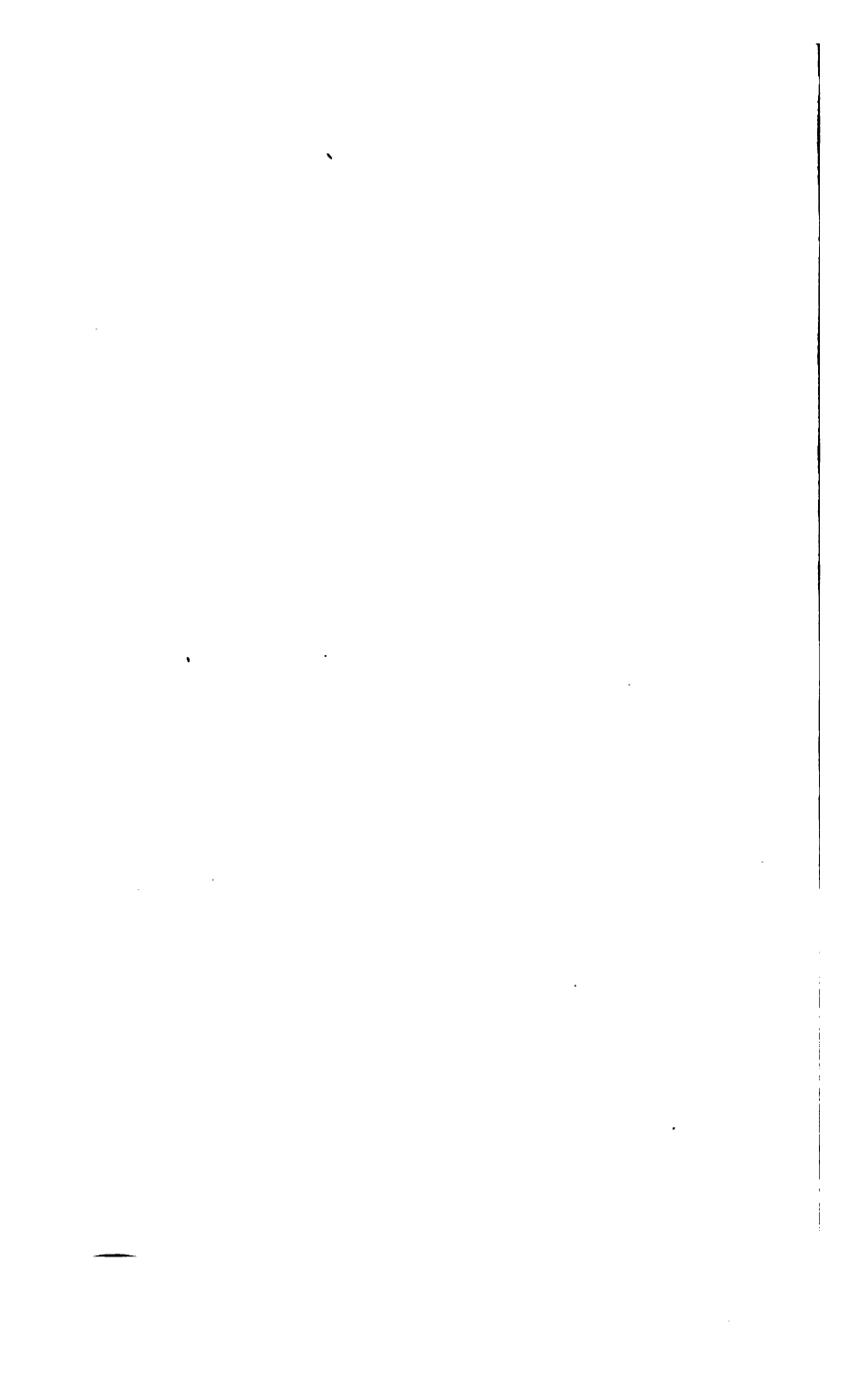
Nieodstępnymi towarzyszami naszego bohatera byli: Opaczynski i Daniel-Basza, obadwa dawni oficerowie rosyjscy, niegdyś narzędzia samowładztwa, później mściciele ludów pragnących wolności.

A teraz, gdy obznajomiliśmy się nieco z Kaukazem, z jego niebem, kolorytem, i w części z dzielnym góralem, pojedźmy w odwiedzinę do Daniel-Baszy i do naszych rodaków. Jakże im miło będzie usłyszeć, że nad brzegami Wisły, jako też w świecie, o kilkaset mil odległym, gdzie ich wprzód nie znano, wspominają o nich i o ich zasługach.

Zaprawdę, jeżeli z rzeczy ludzkich może sobie co rościć prawo do nieśmiertelności, to bez wątpienia geniusz, zasługa i cnota. Inne zalety, bądź władzy, bądź bogactw, bądź urodzenia, przemijającą mają wartość. Lśnię one niekiedy pozoronym swym blaskiem mniej uważne oczy, ale zgon wraca je wkrótce nicestwu, z którego napróżno wydobyć się usiłowały.

VIII.

DANIEL-BASZA. OPACZYŃSKI. SOTNIA
POLSKA.



VIII.

Daniel-Basza powierzchownością stanowił sprzeczność z Szamylem, jakkolwiek przedstawiał w swej osobie postać typową czerkieską. Niktby, sądząc z pozorów, nie odgadł w nim był expułkownika moskiewskiego. Łączył doświadczenie nabyte w obozie nieprzyjaciół do wrodzonych cnót Lezgina.

Wiedza, świadomość, oględność, znajomość sztuki wojσκowej, przy odwadze osobistej, zrobiła go największą pomocą Szamyla — a jako partyzant zjednał sobie miłość podkomendnych.

Muridzi, achunty, mułły, derwisze, tudzież niewojownicze pokolenie potomków Alego, odznaczające się zielonym zawojem, stanowili orszak naczelników organizacji i rady wojennej.

Wysyłano ich z poleceniami do Persyi, do sąsiednich krajów, plemion itd.

Dążności Szamyla były demokratyczne, nie trącające despotyzmem, który się w książętach gruzyńskich, mingrejskich, imertyńskich wyrodził — prowadząc ich kolejno, skutkiem żądzy panowania, do niezgody, powaśnienia i upadku.

Dwóch się kojarzyło na zgubę trzeciego, z myślą, że gdy go pokonają, za łby się sami pobiorą. Moskwa odniosła ztąd korzyść przez ujarznienie ich zupełne.

Gdyby nie to, jakże dawno Szamyl, ów posłannik natchniony, dokonałby był dzieła oswobodzenia Kaukazu?

Nie pierwszy to raz i nie ostatni arystokracja niweczy sprawy ludowe i poświęcenia męczenników narodowości...

W prawdzie, nie można wątpić, że przyjdzie czas, gdzie i

Kaukaz ocknie się, zdepcę ów fatalizm gniotący tyle ludów, gdyż to będzie naturalnym, niezbędnym, historycznym wynikiem. Lecz kiedy to nastąpi?...

Potrzeba chyba doczekać epoki dojrzałości, kiedy na ogólne poczucie pospolitego ruszenia — ci, którzy wystąpią na świecznik w przewodniczeniu współbraciom, wyzwolą się przede wszystkim z pokus zysków osobistych, a staną, jako prawdziwi wielkiej sprawy ofiarnicy.

Takim był Szamyl.

Można go porównać ze znakomitym i mistycznym naszym księdzem Markiem.

Łapiński, w dziele swoim, przypisuje Szamyłowi interesowność. Wedle niego, prorok i rycerz Kaukazu oddał się w ręce Moskali, jakoby wiedziony chciwością zachowania swych skarbów pod opieką wroga. Ziomek nasz w sądzie swoim wiele się pomylił.

Czas doniósł, o ile sobie przypominam w miesiącu lutym czy marcu 1863 r., o muridach Szamyła, jakoby udających się drogą dyplomacyi do Porty Ottomańskiej po wyjednanie w gabinecie petersburskim dotrzymania przyrzeczenia, Szamyłowi uczynionego, w dozwoleniu mu wędrowki do Mekki celem złożenia tam kości swoich.

Są to mylne twierdzenia. Wiadomości pod tym względem czerpałem od samego Szamyła, tytułem byłego jego oficera służbowego, na który to stopień posunięty zostałem z żołnierza sotni Opaczyńskiego.

Opaczyński przyjął mnie po polsku, wypytał o wypadki życia, i przeznaczył miejsce w koszarach.

Wiek jego dochodził do lat 70. A twarz ocieniona długą siwą brodą, przy kolosalnej budowie ciała, przypominała owe surowe oblicza pradziadów naszych, których portrety napotykałyśmy jeszcze w starych zamczyskach i w galeryach obrazów rodzinnych.

Wzrok poważny, ale pociągający, z wyrazem szczerości i godności; czoło wyniosłe, myślące, i lica zakłęśte świadczyły o

jego tęsknocie i trawiącej pracy umysłowej w pośród ciągłych przeciwności i naigrzań się losu ze wzniosłej duszy. Charakter silny, męzny, niezłomny, i ta polska wiara z nadzieją złączona, postawiły go jako pomnik żywy, na pustyni wzniesiony — jako uosobienie biednej ojczyzny naszej.

Opaczyński był rodem z Lubelskiego. Ukończywszy szkoły w Lublinie, walczył w szeregach 1830 r. Popadłszy do niewoli i oddany w żołdacy, dosłużył się z czasem epoletów w pułku dragonów. Zmuszony wyzwać na pojedynek najbliższego dowódcę, za zniewagę sobie wyrządzoną, prześladowany przez wyższych zwierzchników, schronił się do wolnych górali i między nimi pozostał.

Będąc człowiekiem wyższym, pozyskał wprędce zaufanie Szamyla, zaskarbił sobie jego względy, następnie przyjaźń, i węzeł ten wspólny wzmocnił o tyle, o ile prawy Polak jest zdolny to uczynić.

Wpływał wiele na bieg sprawy kaukazkiej, kierował nawet w niektórych krokach przyjaciela. Niejednokrotnie ocalił mu życie, w chwili, gdy Moskwa ścisłała pas, w którym spodziewała się zdusić niezwykłego Proroka. Niejednokrotnie też mądrą radą ratował zagrożoną jego sławę. Tak podtrzymując wielkości wodza i władcy, oddając mu hołd i cześć należną w obec świata, nie zeszedł nigdy do punktu poniżenia przez stanie się zausznikiem lub dworakiem.

Nietajne były niektórym jego ziomkom, a nawet samemu Szamylowi, tudzież światłemu Daniel-Baszy, plany Opaczyńskiego względem zużytkowania zwyciężkiego kiedyś Kaukazu dla dobra sprawy polskiej; — atoli zamiary te, jakkolwiek ukrywane, wzbudzały podejrzenie innych baszów.

Sotnia Szamyla pod komendą Opaczyńskiego, składała się z trzystu przeszło naszych rodaków, z różnych stron przybyłych, zapędzonych falami wypadków politycznych. Zostałem tam mnóstwo zbiegów z wojska rosyjskiego, emigrantów z całej kuli ziemskiej, tudzież kilkudziesięciu Ukraińców, typ hajdamacki przedstawiających.

Dotąd istnieje w północnej części Czeczenii osada pewnych szczątków Zaporoża. Język ich ruski, z miejscowem narzeczem

zawsze tkliwemi wspomnieniami. Nadzieja pobicia Moskali, oswobodzenia ojczyzny, obaczenia matki, tkwiła w mym mózgu. Z jakąż dumą — myślałem sobie — stanę kiedyś przed nią w gronie towarzyszy, zuchowatych dżuwanów? Pośród zniewieściałych paniczów, zestarzałych przedwcześnie, ucieszą się biedne matki wygnańców, tułaczów i męczenników, witając rycerskie dzieci swe rzewnie i radośnie, jedynych synów z prawem do zasługi. Hoże dziewoje wyskoczą z niezabudką na ich spotkanie, i wzgardzą przesądem: iż w dobrym jest tonie wyjść za mąż za szlachcica, choćby obdłużonego, rachującego na posag, a nawet i nie za szlachcica, byle tylko nic nie robił.

Częste rozpamiętywania moje zwracały się na polską szlacheczczyznę, której jestem następcą. Z głuchą troską słuchałem o niej opowiadań współtowarzyszy, w chwilach wzajemnych zwierzań się z przygód, które nas na jedną dolę zepchnęły. Wtedy przychodzili mi na pamięć sąsiedzi ojca mojego...

Owe głośnie, rycerskie, wielkie szlachectwo polskie, znane w świecie z poświęcenia się, już to dla własnej wolności, równości i niepodległości; już to dla wiary rzymsko-katolickiej; lub osłony Zachodu od najazdu mongolskiego; — owe szlachectwo, nie postępując z wiekiem, w duchu potrzeb narodowych, dziś gaśnie ... Gaśnie niestety! jak wytłala pochodnia, co rzuca ostatnie płomienie, lecz nie jest w stanie wytrzymać uraganu!

Szczątki żyjące potężnego szlachectwa pozostały w grobowcu, nie podobne do olbrzymich praojców! Hufce mężnych pancerników Sobieskiego, lub panowie konfederaci, nie poznaliby skarłowaciałych swych wnuków i zaparliby się ich.

Cierpką sprzężę tych i tym podobnych myśli i uczuć, obudził widok dzielnych, niezepsutych górali, z którymi obcowalem.

Jeszcze jedno piastowałem uczucie, lecz tak gwałtowne, że mi mąciło wszystko, i stawiało w trudnem położeniu pogodzenia się z poprzednimi pojęciami o własnym kraju.

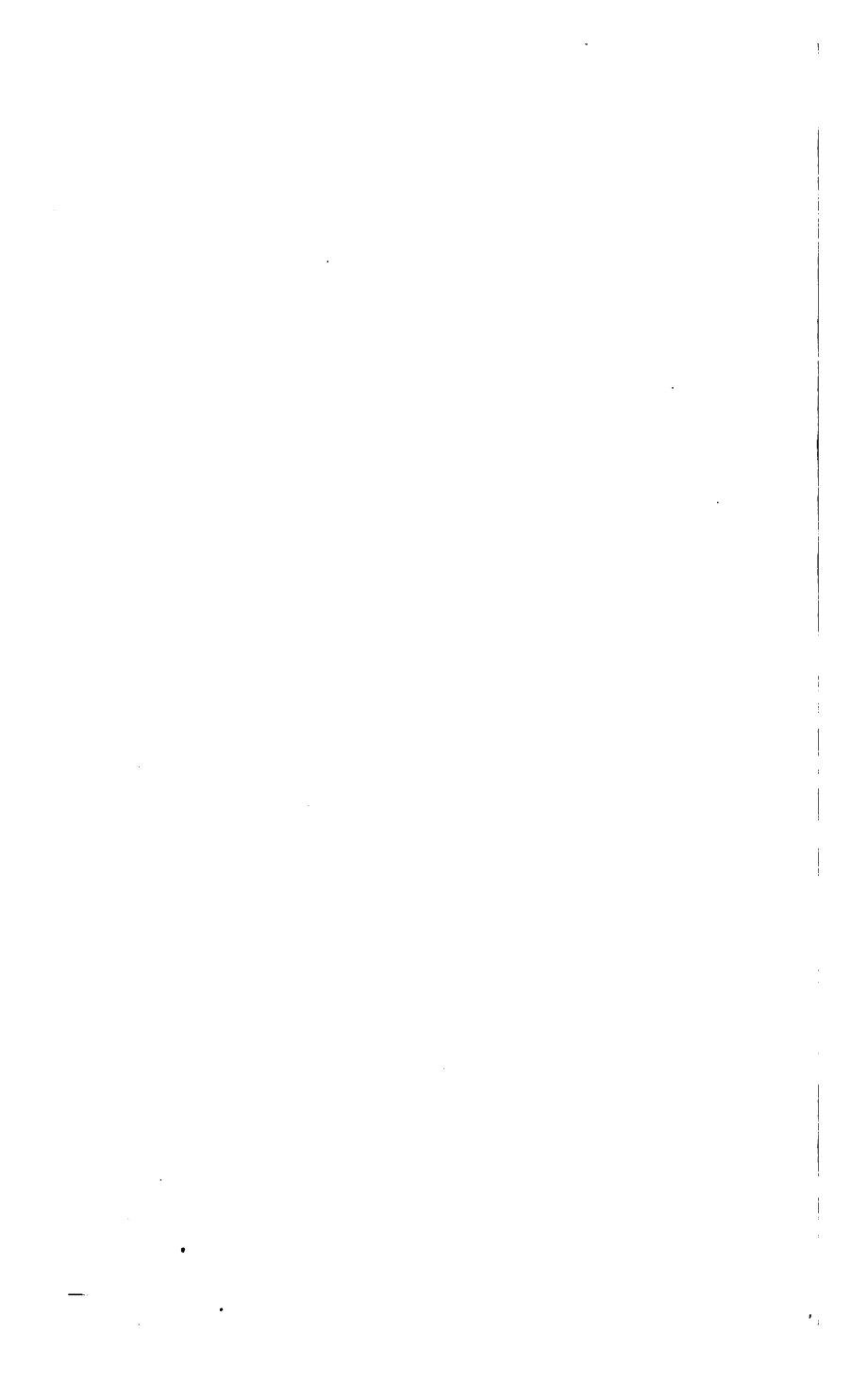
Są pewne obowiązki, pewne warunki wdzięczności, przywiązania; — wszystko to się poświęca dla miłości ojczyzny ... i Abbasa co mnie wychował, a chlebem powszednim i słowem, szczerze, pocziwie, jak by rodzony ojciec zasilał; — Assyę, ową sercową opiekunkę, co mnie kochała jak syna; — Mustafę,

młodego przyjaciela, wszystkich, może byłbym w możności zagłuszyć w pamięci, jeżeli nie zapomnieć...

Libia ... to imię rozstrajało me zmysły, zniechęcało do rozrywek, drażniło, czyniło śmiesznym, dziwakiem, wytwarzało niepodobne do wykonania projekta. Zwątpienia, czy zostanę na zawsze Lezginem? czy też uczynię rozbrat z nią i Kaukazem? ścierały się z sobą.

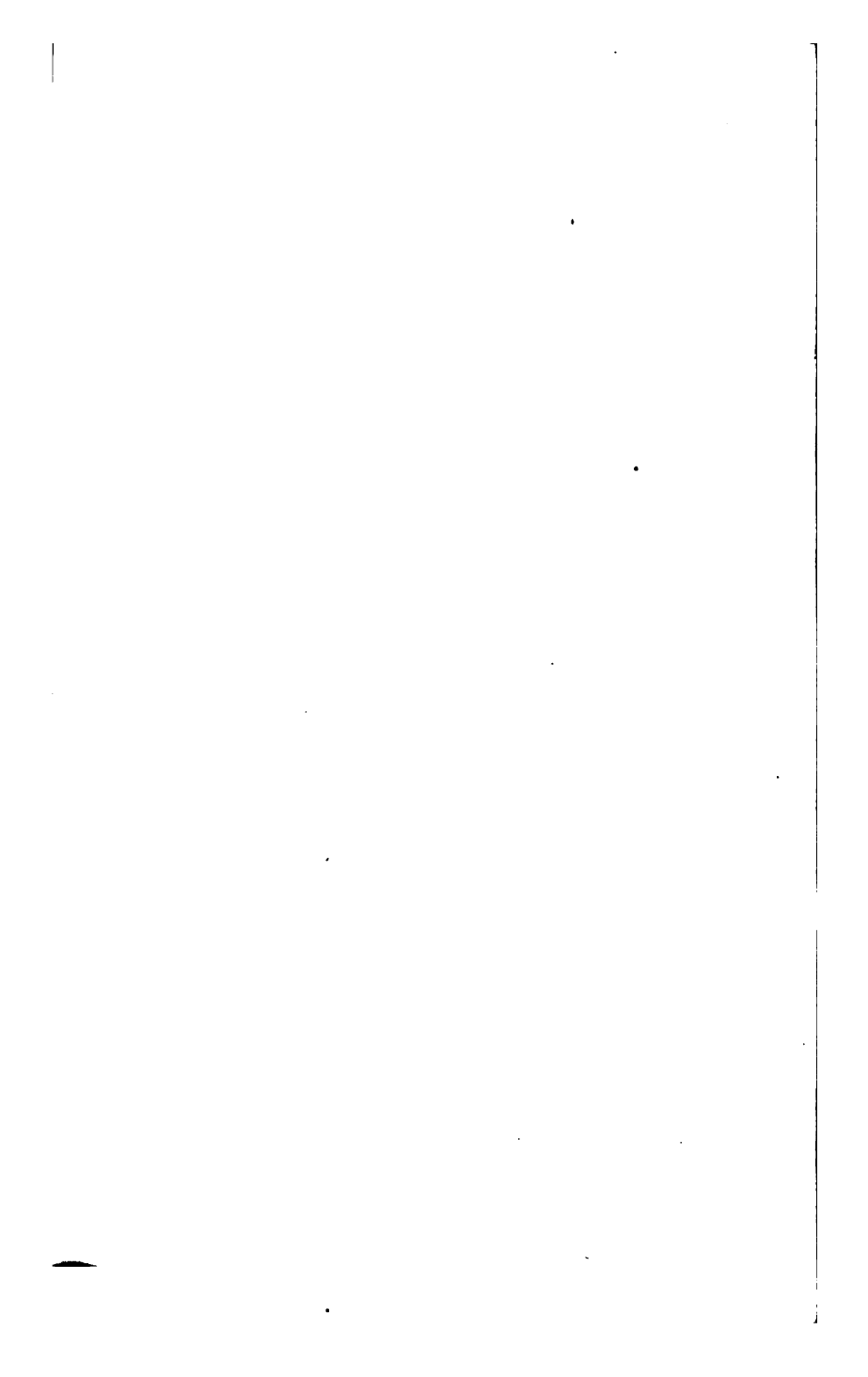
Była to walka wewnętrzna, okropna; po rozwoju dziwny upadek — upadek nie do wytrzymania! Postanowiłem zginąć w najpierwszej bitwie.

Tajemniczość moja nie uszła uwagi kolegów. Rozmaite krążyły między nimi wnioski. W końcu, przywykli do mnie. Jeden z nich, nazwiskiem G..., Warszawiak, przeniknął me udręczenia i pytał o nie; gdy zaś mu powiedziałem, że może być wiele uczuć władających jednocześnie człowiekiem, nie badał więcej, szanował stan mój, pocieszał, i stał się prawdziwym moim przyjacielem. O! jakże miło samotnikowi, gdy serce jego goryczą przepelnione, znaleźć widomego przyjaciela...



IX.

**PARLAMENTARZ MOSKIEWSKI I JEGO
ŚMIERĆ. WOJNA.**



IX.

W r. 1857, w miesiącu październiku, niezwykle ruch pannał w Keremzaule. Częste narady wojenne, wiadomości o Moskwie przynoszone przez gońców z różnych stron do Szamyla, ponawiane ćwiczenia wojskowe Czerkiesów i naszej sotni stanowiącej rodzaj gwardyi, wszystko to wróżyło o bliskiej wyprawie. W całej atmosferze dawała się czuć wojna.

Pewnego dnia, gdy strudzeni ranną czerogodzinną mustrą koledzy moi poszli szukać spoczynku w cieniu drzew rozłożystych, przypadająca kolej warty zatrzymała mnie w koszarach.

Parno było niezmiernie, natrętne skrzydlate owadki dokuczały nielitościwie, jakaś ociężałość, gnuśność i senność owładnęły mem jestestwem. Przywykły do czuwania oganiałem się, dopóki mogłem od much, bąków i komarów; ale na ten raz powieki mrużyły się powoli i mimowolnie zasnąłem...

Silne uderzenie w ramię wstrząsnęło mną i zerwało na równe nogi. Basza dworu, otyły a surowy służbista, stał obok.

— Tęgi z ciebie przedstawiciel rycerskiego szczepu Abbasa! ... śpioczu jakiś do stu kindżałów! ... Weź z sobą dwóch Lezginów i marsz ... przyjąć mi natychmiast moskiewskiego parlamentarza, a zawiąawszy mu oczy, doprowadzić do hana.

— Jakszy! — odrzekłem na znak usłuchania.

Pobiegłem do bramy fortecznej i wedle zlecenia przyjąłem oficera petersburskiego sztabu i wiódłem do pałacu Szamyla.

W czasie krótkiej drogi zawiązała się między nami rozmowa,

którą, jako ostatnią w życiu owego dygnitarza, w treści tu przytaczam:

— Czy mówisz po rusku? — zagadnął mnie na wstępie.

— Chciałeś pan zapewne wiedzieć, czy mówię po rosyjsku? Rozumiem ten język, lecz nie lubię nim mówić. Jeżeli wszelakoż życzysz sobie pan czego, proszę powiedzieć.

— Nic nad szklankę wody. Jestem mocno znużony.

Woda została podana, podziękował za nią i wypił.

— Czy sądzisz młodzieńcze — rzecze dalej z pychą i zarozumiałością orderowego dworaka — czy sądzisz, że podobieństwem jest uzyskać orężem to, co tylko przez łaskę otrzymać można? ...

Nie odpowiedziałem na pytanie, ścisnąłem usta, i postępowaliśmy w milczeniu.

— Jak się zowiesz, kawalerze?

— Jusuf Ostoja, do usług pańskich.

A! a! to pan pochodzisz... z dobrej rodziny?

Ze zdrowej rodziny — odpowiedziałem, wprowadzając go w podwoje pałacu.

Drzwi rozwarły się szeroko. Wszedł krokiem znamionującym zuchwałość, stupajka mikołajewski, i stanął przed Szamylem, który dozwolił mu zrzucić chustkę z oczu. Skinienie ręki hańskiej zmusiło nas opuścić komnatę, a czekać na rozkazy w przyległym pokoju. Pozostali sami, rozpoczynawszy żywą rozmowę.

Nie dosłyszałem o co chodziło, lecz wizyta tak mnie zajęła, że nie spuściłem z uwagi najmniejszego tonu mowy.

Mowa zdawała się być nie rozmową ale sporem, wśród którego, uniesiony gwałtownym gniewem, Szamyl krzyknął na straż głosem straszonym.

Wbiegliśmy.

Iskrzący wzrok jego zapowiadał bliski wybuch gromu, co tłał w duszy; w całej zaś powierzchowności przebijająca się zgroza i obrażona godność.

Wyrok śmierci wypadł jak iskra elektryczna z ust Jowisza kaukazkiego — a przed śmiercią napiętnował, niemylnem przeznaczeniem zgonu, posła nieboraka. Błady i drżący przeczuwał cios, co miał go niebawem dosięgnąć.

W samej rzeczy, za kwadrans dziewięć ostrych ładunków przeszło pierś nieszczęśliwego — i skończyła się tragiczna scena, która nieprzyjaciółom Szamyla nadała sposobność do wyknięcia tego czynu za dowód przekonywający o okrucieństwie, dzikości i barbarzyństwie, jako też o pogwałceniu, niczem nie usprawiedliwionem, praw międzynarodowych.

Zważywszy atoli, iż misya parlamentarna mogła mieć za cel zachęcenie Szamyla do zdrady własnej ojczyzny — czyż się nie udało Moskwie popchnąć na tę drogę Bebutowów i wielu książąt gruzyjskich i czerkieskich?; zważywszy drażliwość położenia — w którym się znajdował władca Kaukazu pośród swych ludów, w obec tajemniczego posła obłudnego caratu, fałszywych wieści i potwarzy rozsiewanych systematycznie na jego rachunek —; czyn ten straci wiele z swej zgrozy, jaka przejmować musi każdego, sądząc jedynie z pozorów. Jednym zamachem przeciął on sieć intryg, w które go zawikłać usiłowano dla podkopania stanowiska moralnego, jakie zajmował w obec górali.

Liczne i najnowsze podobnego rodzaju sprawy z strony dyplomacyi petersburskiej wyluszczył nam Taffik-Bej w pismach swoich.

Nie byłoby zbyt cennym odwołać się pod tym względem i do historii naszej.

Wszak wiadomo, że w podobnej misyi zjechał niegdys do Krakowa poseł Cesarza Aleksandra I, aby skłonić ks. Józefa Poniańskiego do zdrady Napoleona, a rzucenia się w objęcia caratu, jako najpewniejszy środek osiągnięcia korzyści politycznych dla Polaków. W owej to wiekopomnej chwili dziejów naszych (a nie w chwili zgonu swego, jak to niektórzy mylnie twierdzą) zawołał z oburzeniem książę Józef: «Idź przecz szatanie — nie kuś mnie! Bóg mi powierzył honor rodaków, jemu go tylko oddam!»

Rozstrzelanie moskala wywarło silne wrażenie na Czerkiesów, wrących nienasyconą żądzą wojowania.

Zwołani wszyscy na właściwe miejsca i posterunki, nie wiedząc o jutrze, czyniliśmy stósowne do walki przygotowania. Tak minął dzień cały. Wieczorem nie śniali się murydowie po placach i ulicach — wszyscy byli zajęci walną radą. Żaden z nas młodych nie pobiegł szukać rozrywki; ani Opaczynski nie

miał czasu wezwać nas na koncert narodowy, choć wiedział, ile pałaliśmy chęcią słuchania go i uczestniczenia w nim codziennie.

Nazajutrz, skoro tylko piania kogucie zwiastowały dzionek, gdy rosa wilżyła jeszcze niewywczasowane me rzęsy, już staliśmy pod bronią, w liczbie około tysiąca jeźdźców Polaków i Czerkiesów.

Pomiędzy szeregami hufca przebiegał na karym koniu Szamyl, przyodziany w burkę.

Na dany sygnał ruszyliśmy w pochód.

Przebywszy znaczną przestrzeń na pograniczu Czechenii, zatrzymaaliśmy się na popas przed aulem, którego nazwy nie pomnę. Za zbliżeniem się naszym Czerkies czatujący na galerii wzniesionej na wałach dał strzał z pistoletu, na który z przeciwnej strony aulu odpowiedziano.

Mieszkańcy uprzedzeni o nadciągnięciu naczelnego wodza, w oka mgnieniu siedli na koń i zebrani w znaczny orszak popieszyli powitać obrońców kraju. Nie zapomnę wzruszających objawów serdecznej gościnności i radości, z jakimi nas przyjmowano.

Kobiety, starce i dzieci zdążali na wyścigi, niosąc świeże owoce i ofiarując nam usługi. Soczyste brzoskwinie orzeźwiły mnie strudzonego marszem, i apetyt mój wzrastał w miarę jak smażono dla nas szyszliki.

Atoli niemiły był widok ludzkich rąk poprzybijanych na drzwiach domów w aule lezgińskim. Martwe te ręce, z rozczepionymi palcami, zwiędłe i skrzeple, okropny przedstawiały obraz. Im więcej ich na wrotach, tem większa chluba dla gospodarza, tem więcej zgładził on wrogów.

W narodach niby oświeconych, osobistości odznaczające się w zabójstwie uprawnionem tytułem wojny, zdobią się orderami, szychem, różnobarwną pstrociną itd. Lezgina orderem jest prawa ręka ucięta nieprzyjacielowi. Czecheniec, dla mniejszego ambarasu, obrzyna mu uszy i nawleka na sznurek, jak to się robi u nas np. z zasuszonemi grzybami. Co kraj, to obyczaj!

W Rosyi, na pograniczu właściwego Kaukazu, pomiędzy Czerkiesami mirnymi, za uciętą głowę nieuległego bisurmana władze miejscowe wypłacały 10 rubli z kasy publicznej; rząd

zaś niepodległy czerkieski nie płacił nic za oberznięte ręce i uszy moskiewskie. Zaszczyt dokonanego czynu, pochodzącego z przekonania, był dostateczną nagrodą dla rębacza.

W Rosyi wbita na pal ogolona pałka muzulmanina, i wystawiona na widok powszechny, nie wiele czyniła wrażenia na ludności tatarskiej, wierzącej w fatalizm. Niejeden z przechodniów spojrzął na nią, pomruknął sobie: «tak chciało przeznaczenie!» i poszedł dalej, nie troszcząc się wcale o ową głowę z wytrzeszczonymi oczyma i wysuniętym językiem.

Ale owe dłonie i uszy przejmowały dreszczem żołdatów! ...

Dodać tu należy, że jeniec zanim został nieboszczykiem i ofiarował swe członki na trofea zwyciężkie, zmuszony był najczęściej uczynić przechadzkę w góry, przytroczony do końskiego ogona, lub też chłodną kąpiel, przepływając wraz z koniem rzekę. Spacer taki, czy to po suchej czy po mokrej drodze, musi być za pospieszny i nie bardzo przyjemny. Nikt go zapewne nie pozazdrości.

Lecz wróćmy do obozu.

Szamył rozdzielił nasz hufiec, wzmocniony nowemi posiłkami, na trzy części. Jedna część, pod komendą Opaczyńskiego, udała się ku północy, w kierunku Inguszu. Dwie zaś pozostałe złączone razem, gdzie i ja się znajdowałem, maszerowały z Szamyłem na czele w stronę Pszanu.

Po kilkodniowym kłusie, podczas którego rzucaliśmy często burki na oczy koniom, aby się nie ulękły przepaści i bezdroży niedostępnych, po których, że tak powiem, staczać się musiały; okrążyliśmy nareszcie oddział moskiewski, niewiedzący o nas, a ścigający za Opaczyńskim, w skutek fałszywego doniesienia, że Szamył z nim się znajduje.

Pochód nasz zaczął się zwalniać, gdy rekonesanse zręcznie wykonywane uprzedziły o legowisku, gdzie Moskale mieli nocować. Była to piechota złożona z batalionu strzelców i artylerji.

Nieprzyjaciel nie przewidział zasadzki. Ciemna noc i deszcz ulewny wielce nam dopomogły do wyrządzenia mu niespodzianki. Tylko obznajomieni doskonale z miejscowością Czerkiesi mogli przedsiębrać obroty wojenne po omacku.

Co do jazdy nieprzyjacielskiej, nie znajdowała się ona z pie-

chożą, lecz wyruszyła naprzód przeciw Opaczyńskiemu w zamiarze atakowania i zatrzymania go, lub po zaczepce cofaniem się i zwodniczym odwrotem naprowadzenia na piechotę i na działa.

Szamył poznał się na farbowanych lisach.

W największej tedy cichości podsunąć się kazał ku dolinie, gdzie obozowała roztasowana na nocne leże piechota. Ochotnicy nasi rozebrani do koszuli, czołgając się jak węże na brzuchach, podpełzali między krzakami pod łańcuch pikiet na około rozstawionych. Każdy czychał z kindziałem na swego żołdata i oczekiwał tylko hasła do rzezi.

Druga część ochotników, ukryta w okolicznych wąwozach, strzałami niepokoiła obóz. Moskale sądząc, że to są stare sztuki, jakimi Czerkiesi w małej liczbie zebrani mają zwyczaj ich alarmować, nie zwracali prawie na nie uwagi.

Upłynęło parę godzin w beczynności.

Nagle, na komendę Szamyla, rozłożone nasze hufce na raz z krzykiem jak wściekle rzuciły się na namioty obozu; a w tejże samej chwili pikiety padły od ciosów pilnujących je ochotników. Wskoczyliśmy bez żadnej przeszkody do środka żołdackiej rzeszy.

Trudno by opisać fantastyczną i okropną scenę, jaka się odbywała. Żołnierze nie zdołali ani się sformować, ani z dział kartaczami nas przywitać. W popłochu ogólnym, zamieszaniu i nieładzie, przy dogorywających ogniskach, wyglądali jak przerażeni potępieńcy w przedsionku piekła. Napróżno oficerowie usiłowali wzniecić upadłe ich męstwo. Miotani trwogą, padali od ostrego żelaza. Ci co się bronili rozpaczliwie, czynili to nadaremnie. Ani jeden nie uszedł. Całą załogę śmierć objęła w zimne pizczzele.

Pierwszy raz wśród strug krwawej posoki byłem świadkiem klęsk wojny, straszliwej poezyi zniszczenia.

Z naszej strony, nie licząc rannych, kilkudziesięciu poległo.

Strata ta, chociaż stosunkowo nader mała, doprowadziła do takiej zemsty, że nawet konie przy lawetach i jaszczkach uległy zagładzie. Proch i kasę oszczędzono; wszystkie zaś inne przedmioty, bagaże, broń nawet, złożono na stos i podpalono, jako

rzeczy nieczyste, które machometanom do użytku służyć nie, mogą.

Po tej operacji, hufce nasze puściły się śladem za jazdą moskiewską, wyslaną przeciw Opaczyńskiemu. Zaczęło świtać, ranek był mglisty, zwolniliśmy klusa, gdyż zmyślność czerkieska podobna do wężu psa gończego co tropi zwierzynę, odkryła lasek, w którym spodziewano się zastać na pewne poszukiwany oddział konnicy. Przyłożono na zwiady uszy do ziemi i poznano, że w rzeczy samej w niewielkiej odległości widety robiło swe objazdy.

Dalej więc do dzieła! Zbliżyliśmy się do nich; one w nogi! my w galop za nimi; one chronią się do obozu, my nacieramy na obóz. Jednocześnie hufiec Opaczyńskiego, na odgłos rzęsiстых strzałów, opuścił zasadzkę i zjawił się z przeciwnej strony.

Hura na wroga! Moskale zostali wzięci we dwa ognie. Prążyliśmy ich nielitościwie, pomimo tego krzepki dawali odpór — mianowicie kozacy czarnomorscy, których liczba była znacznie przemagającą.

Opaczyński ze swoimi cofać się zaczął. Szamyl zrozumiał odrazu o co chodziło, i również nakazał odwrót. Po wykonaniu więc napadu, zniknęliśmy wśród mgły i krzewów.

Wtedy to Moskwa, zyskawszy czas do uszykowania się, ruszyła w stronę za Opaczyńskim. Tego nam było trzeba! Stało się dla niej nieuniknionem przejście pomiędzy dwoma parowami, przecinającemi drogę. Pierwszy przebyli szczęśliwie. Ufni w powodzenie stępem wchodzili w drugi, gdy w tem na przestrzeni równiny, rozciągniętej między ową kaukazką Scyllą i Harybdą, z ostatecznych krańców ukazuje się znowu Szamyl i Opaczyński. Uderzają w największym pędzie z boków na zdumiałego wroga. Pod dragonami moskiewskimi przypartymi do przepaści, poderwany most się zawala, a przepaść chłonie ludzi, konie, i psuje szyki pozostałym.

Nigdy dzielność, fantazyja i śmiałość naszych jeźdźców bar dziej się nie rozwinęła jak w owym dniu pamiętnym.

Szamyl w boju pędząc jak Mars przed frontem na dziarskim biegunie, widocznie starał się spotkać z pułkownikiem moskie-

wskim. Ten zoczywszy groźną postawę hetmana Kaukazu, przychylił się do siodła, szukając w ucieczce ratunku. Ale Szamyl dopędza go, od cięcia jatagań herkulesową dłonią odskoczyła głowa pułkownika, a tułów strojny w szlify, uniósł koń jak na urągowisko.

Niedobitki czarnomorskich kozaków rozproszywszy się z początku, gdyby stado spłoszonych szpaków, zdążyli sformować się na przyległej dolinie. Ścigani przez nas, nie widząc innego sposobu ratunku, zeskoczyli z koni i otoczyli się niemi.

Wówczas Czerkiesi, aby ukończyć jak najprędzej potyczkę, nie zabijali już zwierząt, ale położywszy się na ziemi, palili do nieprzyjaciół. Kule przelatowały pod brzuchami końskimi i raniły w łytki Moskali.

Garstka strwożonych dragonów schowała się do wydrążonej w skale grotu. Na nieszczęście ich wiatr dął w tamtą stronę. Czerkiesi rozłożyli ze smolnych szczyt ognisko, którego gęsty dym dusił uciekinierów w podziemnych tartarach, co się stały ich grobowcem. Surmy i cytry bisurmańskie przygrywały kornającym. Ci zaś, których wykurzono, zostali w pień wyrznięci. Zginęli bez wieści.

Pomiędzy poległymi, twarze Czerkiesów były pokryte śmiertelną bladością, oblicza zaś żołdatów sine i powykrzywiane.

I dla czegoż ta uderzająca różnica w trupach człowieczych?

Znajdziemy rozwiązanie tajemnicy, skoro zajrzemy do manierek żołdackich napełnionych spirytusem.

Machometanin nie używając trunku, umiera z twarzą białą i spokojną.

Opity żołdat zmienia się wkrótce po zgonie do niepoznania.

Jenerałowie moskiewscy ogromny popełniają błąd, nadto oszukują siebie samych, bydłując lud wódką. Pijany rzuca się z razu w szale sztucznego uniesienia, ale doznawszy oporu w pierwszym zapędzie, wytrzeźwiwszy się nieco, staje się grubą warstwą bezwładnego cielska, nieczulego i ogłupiałego.

Owa masa zbydlęcona, sławiona z posłuszeństwa biernego, idzie wprawdzie na ogień i ginie; po niej następuje druga, trzecia, itd. Ale jakżeż to znaczną liczbę potrzebuje Car skazać na

śmierć dla pokonania gromadki górali, ożywionych wyobraźnią i uczuciem płomienistym?...

Otóż to jest jeden z tysiącznych faktów dziejowych Kaukazu, które nikną w cieniach zapomnienia — gdyż Rosya nie widzi sławy ani korzyści dla siebie w rozgłaszaniu takowych. Gazety i dzienniki zagraniczne nie miały korespondentów w naszym obozie; a sami, oddzieleni od świata nie dbaliśmy, co o nas powiedzą. Nic dbaliśmy o cześć głośność trwającą nie dłużej niż dym pobojuwiska. Spragnieni wolności walczyliśmy dla niej samej.

Wyczerpywały się znoszone przez Szamyla szwadrony i rotы wojsk rosyjskich. Atoli biedna nasza Polska była głównym źródłem dostarczającym corocznie nowego rekruta, haraczu dla śmierci. Często też tego, który przestał uwielbiać carat, zsyłano za pokutę na przelew krwi bratniej, lub zbratnionej wspólną dążnością.

Trudno mieć zupełne wyobrażenie o bitwach kaukaskich tym, co ich nie dzielili. Wojny z Beduinami w Algierze mniej były niebezpieczne i utrudzające. Kto podróżował po Szwajcaryi, niech sobie przypomni przejście przez górę ś. Bernarda, którego się zląkł Hanibal, które z mozołem przebywał Napoleon I, a poweźmie słaby zarys wypraw kaukaskich. Drogi szwajcarskie można nazwać gościńcami w porównaniu krętych ścieżek lezgińskich.

Dziwna rzecz, że pomimo takich miejscowych trudności, Polacy walczyli tam dzielnie, tak z jednej jak i drugiej strony. Czerkiesi znali dobrze ów przymiot naszego męstwa. Rzeczywiście, Kaukaz jest jeszcze przybytkiem natchnienia do czynów bohaterskich.

Lecz niestety, brak między bohaterami jedności i spójni! ...

Zapytywałem, dla czego Sadyk-Basza nie nadejdzie nam w pomoc z kozaczną? Smutnie na to potrząsnął głową Opaczynski, mówiąc, że polityka go wstrzymuje.

Ta nieszczęsna polityka każe oglądać się na przyszłe gruszki na wierzbie, gdy czas pograża bezczynnych co raz to głębiej i głębiej w tonię zagłady...

Powróciliśmy do Keremzaulu.

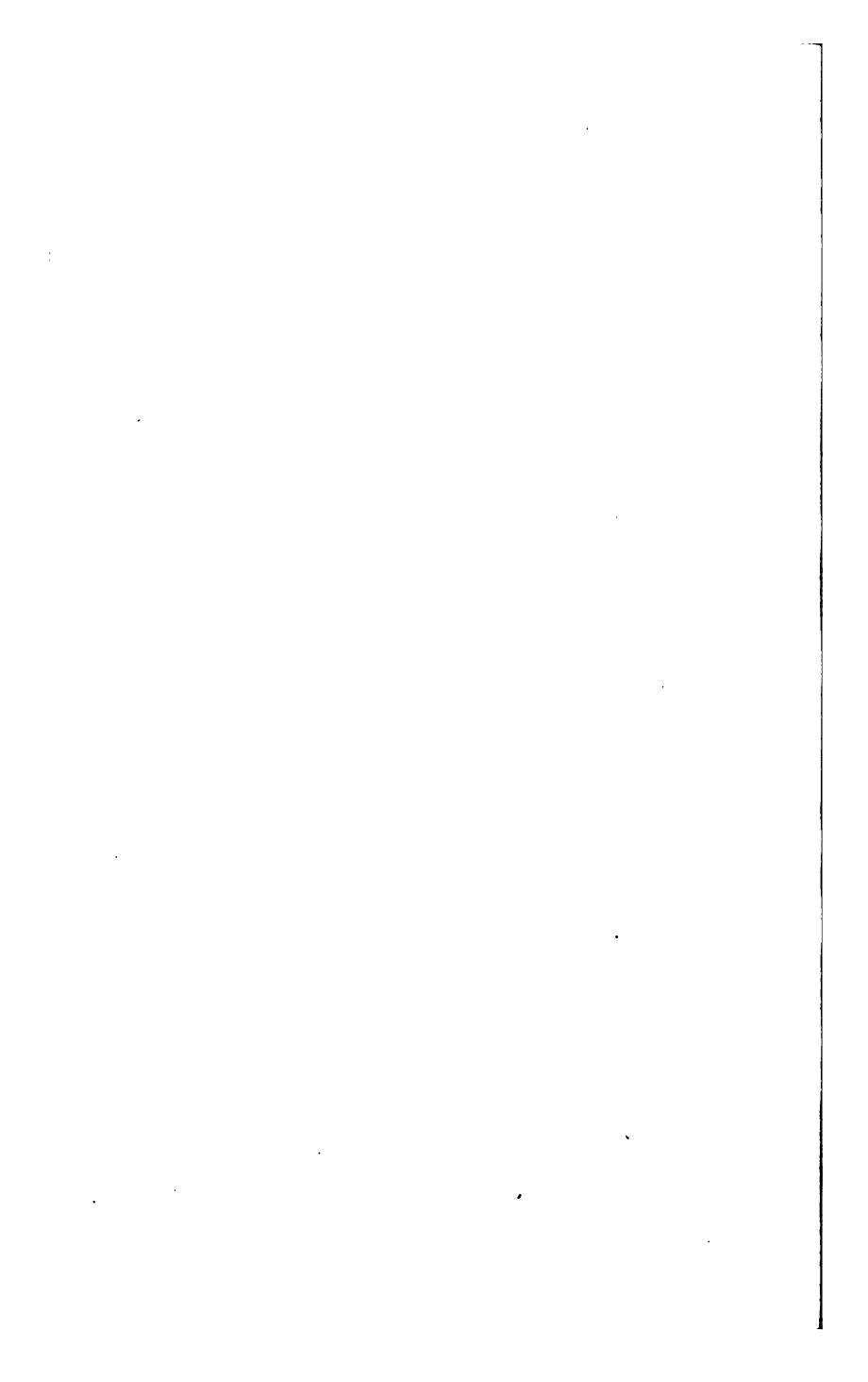
Czy myślicie, że wjazd nasz odbył się na rydwanach, wśród huku salw, wiewatów, lamp weneckich błysku i ugierlandowanych dziewic postrojonych w bieli?

Nic podobnego nie było.

Przybyliśmy jakeśmy wyszli. Każdy uściskał rękę kolegi na dobranoc i poszedł do chaty z myślą, że mu jeszcze wiele do roboty pozostało.

X.

CZATY O GŁODZIE. PASTERZ ASTROLOG.



X.

Minęło kilka tygodni, kiedy nowa wyprawa pod dowództwem Daniel-baszy, wywiodła nas w pole. Na ten raz nie było celem naszym stoczenie bitwy, stanowiliśmy bowiem oddziałek mały, złożony z sześćdziesięciu ludzi. Zdaje się, że zadaniem Daniel-Baszy było tylko zrobienie rekonesansu w okolicy Gerze-aułu.

Prowadziliśmy żywot czysto gerylasowski, nocując pod gołem niebem, zaopatrując się tam i owdzie w żywność, krążąc w rozmaitych kierunkach, bez nadstawienia wszakże czoła tropiącemu nas nieprzyjacielowi.

Pewnego razu ujrzeliśmy się nawet w potrzebie wykonania pochodu zajęczym gzygzakiem, w największym galopie, wśród częstego wracania się na też same ślady. Czyniliśmy ten manewr dla rzucenia blichtru Moskwie, jako też oczom wyjątkowych plemion tatarskich, nie obudzających zaufania, które najczęściej dostarczały szpiegów przeciw własnemu krajowi.

Po zręcznym obrocie, stanęliśmy u stóp wysokiej i stromej góry, Baszumkuch zwanej. Wznosiła się ona dumnie, samotna, oddzielona od swych równiennic, okryta gąszczem krzaków i drobnych strumyków podobnych do srebrnych prążek wijących się na zielonym aksamicie. Wierzchołek miała spłaszczony.

Tajemnicza ścieżka, znana zaledwie dzikim kozom, śmiało pasterzowi, tudzież Daniel-Baszy, kręciła się wężykiem pośród krzewów, kolczystych zarośli i chwastów. Udaliśmy się po niej jeden za drugim; każdy prowadził za cugle swego nieod-

stępnego przyjaciela — rumaka. Mój kiulek sam za mną postępował i po nogach mnie lizał. .

Góra na szczycie była zakłętą, pokryta bujną trawą. Schronienie na niej zdawało się być wyborne. Rozstawiliśmy więc strażę w sposób niewidzialny dla nieprzyjaciół, i puściwszy na paszę spętanych towarzyszy, używaliśmy wywczasu ukryci bezpiecznie. Ognia tylko zabroniono nam niecić i nakazano spokojność zupełną.

Pierwszy dzień i noc zeszy jako-tako.

Nazajutrz, kiedy niektórzy z nas nieogledni zużyli zapasiki żywności, Basza, przewidując, że dłużej może jeszcze wypadnie pozostać na miejscu, założył komunistyczny magazyn z zebranych razem wiktuałów; a postawiwszy przy nim wartę, stósownemi nas porcyami obdzielał. Tak upłynął dzień drugi.

Luzując się na czatach, dostrześliśmy przeciągającą Moskwę, lecz w siłach znacznych. Niepodobna było przedsiębrać wy-cieczki.

Trzeciej doby brakło nam pokarmu, a nawet i pragnienie dokuczać zaczęło, gdyż do źródła znajdującego się niżej, nie mogliśmy ani koni prowadzić, ani sami się spuszczać bez zwrócenia czujności wroga.

Czwarta i piąta doba stały się nie na żarty rozpaczliwe. Potęga atoli moralna Daniel-Baszy tyle wpływała na oddział, że nikt nie považył się szemrać. Zresztą surowa kara za krnąbrność, zwłaszcza w tak ciężkich okolicznościach, byłaby spełnioną natychmiast. Na pochwałę jednak mych kolegów, wiara i zaufanie w męża, co, dzieląc znoje wspólne, brał ciężar odpowiedzialności na własne sumienie, wlały ślepe poddanie się jego rozkazom.

Szczaw i korzonki rosnące na górze, były ostatecznym naszym chlebem powszednim. Zacność Lezginów godna jest uwielbienia, iż żaden nie chciał się ratować złamaniem przykazania Alkoranu, przez zabicie konia i pożywanie surowego mięsa.

Wiemy atoli, że Tatarzy i Kirgizi pod tym względem wprost przeciwnie postępują.

Siły moje coraz bardziej wątlały, a nocne zimno po dziennych upałach febryczny dresszcz we mnie rodziło. Powziąłem

przekonanie, że pierwszy padnę ofiarą głodowej śmierci. Cierpiąc wszakże duchowo, znosząc bóle cielesne, nie chcąc przemienić się w renegata, nie mogąc powrócić do ojczyzny, ani nie umiejac zginąć na wojnie, z obojętnością oczekiwałem, rychło śmierć przetnie szarą, długą, nudną pszędę mego istnienia.

We śnie gorączkowym widziałem Libię pocieszającą mnie tklivym acz smętnym uśmiechem. Fatyma niosła w dłoni palmę, a na głowie kosz winogron i moreli. Lecz skoro wyciągnąłem rękę po nie, aby zaspokoić okropne cierpienie głodu i pragnienia, zgrzyt zębów rozbudził mnie, znikła uluda, a ja, trzymając kamień, cisnąłem go konwulsyjnie do rozkrwawionej piersi.

Opatrzność jednak nie dopuściła, abym zgasł na Kaukazie. Syna Polski przeznaczeniem było życie doczesne dla niej poświęcić.

Nadeszła chwila, że wszyscy powstałiśmy, ocuceni nadzieją ocalenia. Moskale ustąpili z okolicy. Wycieńczeni, zstępowałiśmy więc z góry, podobni do skieletów wiodących wychudłe szkapy za sobą. Człowiek pojedynczy nie przeniósłby może tak trudnej próby; lecz w towarzystwie szli wszyscy z równą wytrwałością, zachęcając się i wspierając wzajemnie.

Po częstych odpoczynkach, dowlekiłiśmy się nareszcie do najbliższego aulu.

Pokrzepiwszy się tam i wypocząwszy trochę, wiadomość o nadchodzącej znowu Moskwie popchnęła nas dalej. Krążyłiśmy długo, zbliżając się czasami do brzegów Kaspijskiego morza, aż w końcu zabłądziliłiśmy do Dagestanu.

Wszędzie w kraj niepodległy Moskwa wkraczała olbrzymim krokiem, jak niezwalczony fatalizm. Na miejscu najazdu wznosiła twierdzę, której forty wysuwały się naprzód, z fortów występowały posterunki naprzód, z posterunków odwachy, a z odwachów maszerujący szyldwach na przodzie kordegardy!...

Nastręcza się tu myśl, że ten, kto nagłym skokiem wystrzełiwa naprzód, musi od razu się i cofnąć; — że kto zbyt wielonaraz obejmuje, ten słabo ściska; — kto za dużo pożera, umiera na niestrawność.

Rossya jest takim samym elementem zniszczenia, jakim byli Scytowie i Hunny. Rasa jasnowłosa powszystkie czasy była

rasą zwycięzką. Zdobycze rycerzy czarnobrewych były zawsze krótkotrwałe.

Ale niepodobna przypuścić, aby cesarstwo pokrywające obecnie siódmą część globu, mogło być zawsze sterowane ręką jednego samowładcy.

Jeśli ręka ta będzie twarda, to się skruszy od zbytniego ciężaru; jeśli giętka, to się roztworzy. W każdym razie, wcześniej czy później musi ona wypuścić łup co tak zawzięcie dotąd trzyma.

Daniel-Basza z rozmaitych punktów posyłał raporta do Szamyla. Zostawiwszy przy sobie trzydziestu konnych, resztę nas wydził, po kilku, do różnych aułów z poleceniem oczekiwania tam na dalsze rozkazy i zachowania przyjacielskich stosunków z mieszkańcami.

W skutek tego, kilka dni spędziłem u pewnej rodziny czerkieskiej. Mój wierny kiulek przyszedł do sił i uczuliśmy się zdolni obadwa do nowych zawodów.

Dowiedziawszy się, iż nieprzewidzianym losem znajduję się blisko Lezgitanu; odbywając z dnia na dzień podróże od wsi do wsi, z propagandą szamyłowską, przypadkowo ujrzałem się w dobrze mi znajomej okolicy. Dziesięć tylko godzin drogi oddzielało mnie od domu Abbasa. Tysiące wspomnień cisnęło się do duszy.

Widzieć przed sobą to czego się tak pragnie, ale widzieć z daleka, oczyma jeno wyobraźni, jest męczarnią. Urzeczywistnienie zaś gorących życzeń serca oddaliłoby mnie było za bardzo od strony, gdzie powinien byłem zostawać. Poczucie obowiązku nie dozwalało przestąpienia prawa, którebym głową okupić był musiał.

Zatrzymałem się w domu jednego z krewnych Abbasa, a ztamtąd przez starą kobietę udającą się w sąsiedztwo mego dawnego opiekuna, doniosłem Libii o sobie.

Oczekiwanie odpowiedzi tak pożądanej, której otrzymanie podlegało wielu trudnościom, wprawilo mnie w stan zamyslenia. Wałęsałem się samotnie po górach; wywoływałem jej imię; wśluchiwałem się, jak echo coraz ciszej, roznosiło je po skałach. Staruszka nie powracała, a niepewność i mnóstwo złowróżbnych przypuszczeń niepokoiły mnie.

Zstępując raz z wyżyny, z oczyma zwróconemi na porywające, choć nieobce mi obrazy, cudownie pięknej natury, z myślą o przedmiocie mych uczuć, zapuściłem się w las, siedłem nim długo bez celu, dopóki się nie zabłąkałem. Melancholia jesieni, te listki opadające z wolna ... wszystko usposobiało do marzeń.

Znając położenie kraju, umiejąc jak rodowity Lezgin ze kształtu i kory drzew rozeznawać, gdzie jest północ a gdzie południe, w nocy zaś kierować się po gwiazdach, zdawało mi się, że nie potrzebowałem rozpatrywać się podczas przechadzki. Lecz czyja myśl błądzi w krainie bujnej wyobraźni młodzieńczej, temu wszystko jest na przekór dzieje, i żadna wiedza ani drogokazy nie są dla niego dostateczną skazówką.

Gdyby nie spotkanie starego poczciwego czopana, byłbym i głodny, byłym był może i nie zupełnie bezpieczny w miejscach, gdzie o dzikie zwierzęta i jadowite gady nie trudno.

Zasiadłem przy jego ognisku, a staruszek nie tylko nie przyjął zapłaty za baranka, któregośmy w części spożyli, lecz nadto uprzyjemniał mi chwile oryginalnymi swemi gawędami.

«Znałem ja dużo derwiszów — rzeczce — byłem raz w życiu w mieście, nasłuchiłem się wielu opowiadań i odkryłem wiele prawd mądrości ludzkiej.

«Przywykły do samotności, nie znam nudy ani tęsknoty. W dzień pasąc trzody, chodując je, mam dosyć zajęcia; zbieranie zaś ziół, z których własnościami obznajmiło mnie wieloletnie doświadczenie, jest najprzyjemniejszą mą rozrywką.

«Derwisze nawidzają mnie czasem. Dostarczam im lekarstw, w które sam wtajemniczony nie zdołałbym bezpośrednio stać się nimi użytecznym ludzkości.

«Chwytając niedołęzną ale żądłem śmiertelnem opatrzoną giurs-zę, zwinną elbę, i inne rodzaje illanów, nie obawiam się ich złości, umiejąc zabezpieczać się od niej.

«Psy moje w nocy strzegąc gromady od napaści wilków, wyrażają mnie, zostawiając czas do słodkich dumań.

«Jakaż to wielka i majestatyczna owa księga niebieska, która w chwili spoczynku i obojętności robaczków ziemskich, roztwiera się szeroko nad czołem badającego czopana!?

«Mirymyady brylantowych głosek rozsiane na wspaniałych jej

kartach, uczą mnie głębokich prawd dostępnych jeno geniuszom.

«Przelatujące światła, są to znaki jestestw tych, które dopełniają zakresu przeznaczonego im przez Boga. Patrz! czy widzisz tam, na północy, te pięć gwiazd, co się nigdy nie ruszają? Podług nich rozpoznaję zmieniające się położenia innych gwiazdeczek. Znaki niebiańskie, płomienie już to jaskrawsze już bladziej ostrzegają o wypadkach, o których Wszechmocny uprzedza człowieka; trzeba wszakże znać język tych słonecznych hieroglifów, ażeby w nim czytać.

«O! przyroda wynagradza szczodrze życiem swobodnem tego, co ją umiłował. Rzadko mam do czynienia z ludźmi, i dla tego wolny jestem od licznych trosk, od których społeczność uchronić się nie potrafi. Oddycham zawsze jednym usposobieniem miłości Twórcy i zachwycam się nad jego dziełami.

«Nie psuję pracy mrówkom, nie wylupuję zasobów uzbieranych słodczy skrzętnym pszczołkom, każdy owadek zostawiam w pokoju, jeżeli nie zagraża mi lub bliźniemu wyrządzeniem złego. Poglądam z uciechą na rozwijające się latorośle, z których nie jedno doszły już za mej pamięci do znacznych rozmiarów — i szcziepię drzewka w nadziei, że mnie przeżyją.

«Czyż, jak balsamiczny zapach ziół wonnych i puszystych kwiatów, luby świegot ptastwa ze zbudzeniem się błogosławionej jutrzeńki — czyż pytam, znajdę te uroczyste skarby w suchych, cuchnących murach miasta?» ...

Staruszek przerwał gawędę, dorzucił drewek na ogień, a zwróciwszy się ku mnie, rzekł:

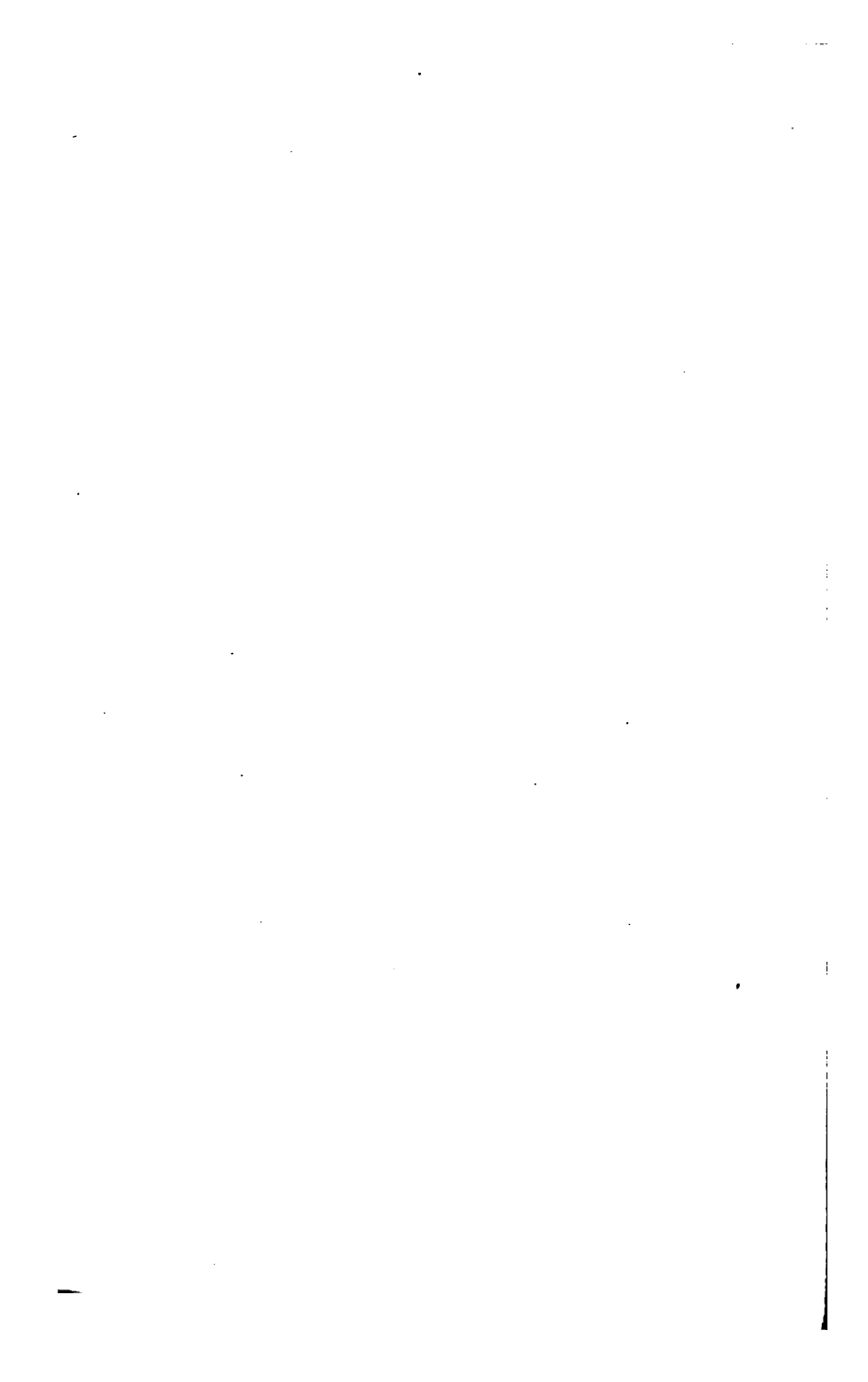
«Widzę, bracie Lezginie, że mnie pojmujesz; lecz jak na rycerza smutno mi coś wyglądasz. Odgaduję powód twego cierpienia, nie chcę draśnięciem rany przyczyniać ci boleści — lecz, jeżeli pozwolisz, za pomocą pewnego zieleń, sprawię ci choć ulgę, gdyż choroby moralnej nie łatwo wyleczyć. Zresztą, mój kochany, na tym dziwnym świecie częstokroć przedmiot, którym zwyczajny śmiertelnik zdaje się być na pozór zmęczony, stanowi całe jego szczęście. Sam to najlepiej poznasz...»

Tutaj mój czopan, otrzymawszy ode mnie westchnienie zamiast odpowiedzi, ujął mnie za ramię, kazał powstać i obrócić się twarzą ku wschodowi. W tej postawie polecił być niewzru-

szenie i natężyć myśl jedynie w przedmiot, co mnie najwięcej zajmował.

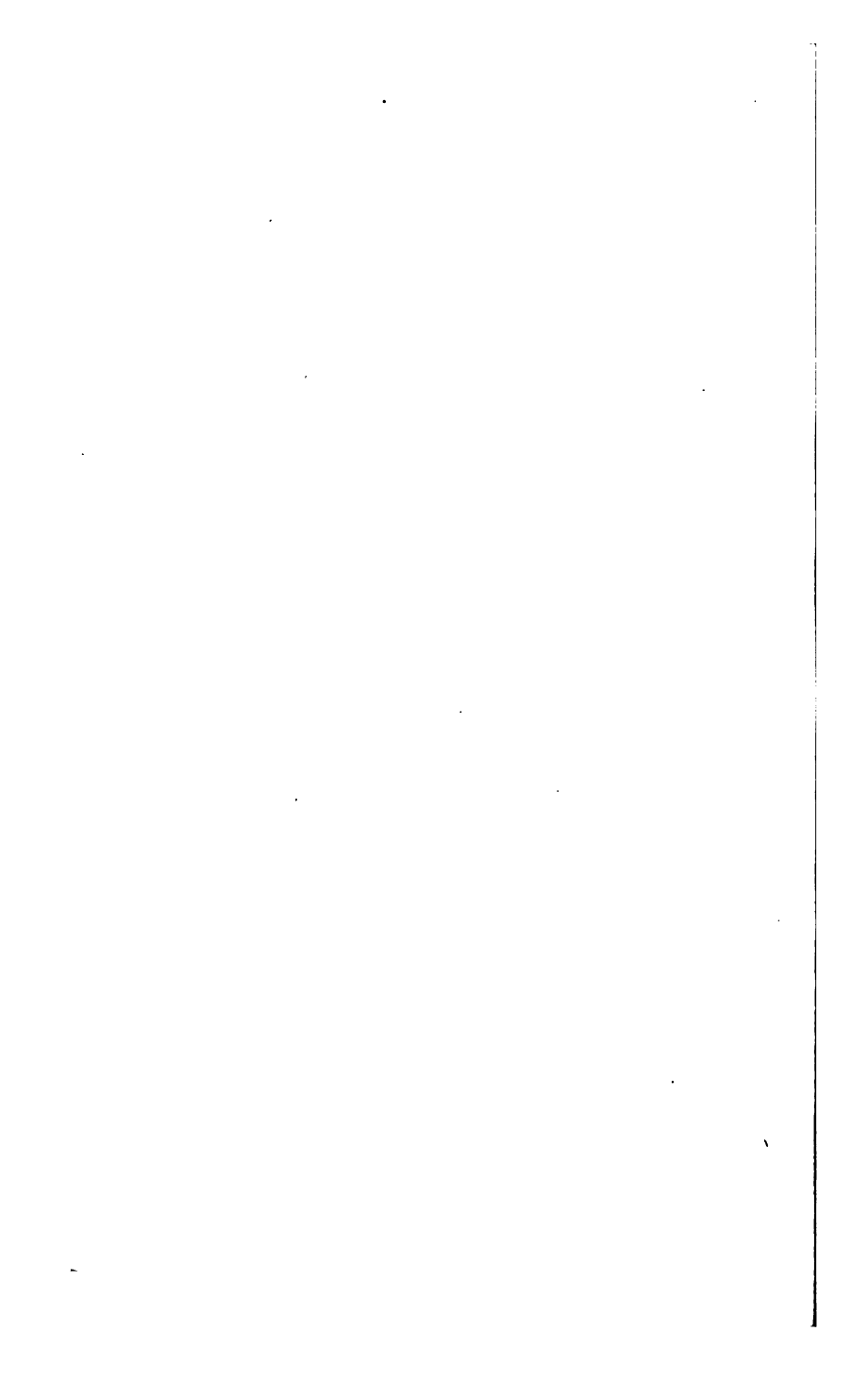
Potem zerwał się pod wpływem szczególnego natchnienia, począł zataczać pastuszym kijem łuki, koła, i jakieś figury kabalistyczne. Następnie wyszukawszy znanego sobie zasuszonego liścia, zemlił je między dwoma kamieniami na proszek, natarł mi nim skronia i dłonie, a skutek się objawił.

Uczulem lekkie wstrząśnienie w całym organizmie, powoli traciłem przytomność i zasnąłem.



XI.

**SEN MAGNETYCZNY. NA RAZ DWIE
KOCHANKI. WALKA SIŁACZY.**



XI.

O jakże błogo marzyłem! ...

Ubiegłe przygody życia topiły się na tle najfantastyczniejszej dekoracji. Zdało mi się, że jasnowiedzenie było na jawie, że na pół senny pragnąłem nie ocknąć się na zawsze.

Parła mnie niewidzialna siła; szybkie poloty unosiły gdzieś nad poziomem — leciałem w przestrzeń, na której słońce i gwiazdy gasły — a chmury żeglowały za mną, jak smutki za tułaczem.

To znowu z wysokości spadałem ku ziemi, i czułem, że skoro się nią skalam, skończy się marzenie, — martwe me zwłoki włożą do trumny, w którą Libia i Fatyma pochylone wpatrywać się będą.

Wtedy wstrząsnąłem się sprężystością, i w inny leciałem przestwór, z taką lekkością, z tak miłą swobodą, jakby duch mój wyzwolił się całkiem z doczesnej skorupy.

Pędząc nad pieczarami, przepaściami, szczytami gór niebotycznych, zwyciężając żywioły i przeszkody, ujrzałem się nagle w komnacie przybranych siostr moich.

Nic się tam na pozór nie zmieniło. Siostry spoczywały tylko na jednym łożu pogrążone we śnie. Też same co i dawniej bluszcze rozpiwały się na ścianach. Zefir uchylił okienko, wionął firanką, wpadł do komnaty, dmuchnął, zaszeleścił liściem, i pieścił się zalotnie rozplotami warkoczy dziewiczych.

Zimny jego pocałunek, ziębiąc łono Fatymy, ocucił ją z uspienia. Usiadłszy na łóżku, prześlicznymi rączkami odgar-

niała włosy co jej na twarz spadały. Zadrżała nieboga od chłodu, oczyma w pół zmrzużonemi spojrziała na Libię, otuliła ją kotarą, i zstąpiła bosemi nóżkami z pościeli, aby wygonić Zefira.

Tylko matka piękności, estetyczna fantazyja, w niedokończonych zarysach może stworzyć podobieństwo uroczego obrazu, na który patrzyłem.

Skrzypnęło okienko, — natrętny Zefir zmuszony był lecieć do swych zwiedłych kwiatków i trawek; — kołysał je chwilę, nareście rozgniewany zmarszczył zwierciadlaną płaszczyznę wody i utopił się w rozpacz.

Fatyma powróciła na łożo, głucho westchnęła, sięgnęła pod poduszkę, dobyła krzyżyk i medalik z Częstochowy. Ścisnęła łkając tę drogą pamiątkę daną Libii. «O biedna, kochana siostrze! — szeptała — śpij słodko, słodko spoczywaj; o! nie domyślaj się mych uczuć dla Jusufa, o których on sam nie wie. Czyż do twoich bólów brakuje nadmiaru zazdrości? Boże! czemuż ja nie mogę umrzeć?» ...

Piersi jej śnieżne wzdęły się gwałtownie, spieczona usta wydawały gorące tchnienie. Głowa ujęta w dłonie dopełniała posągu rozpacz upadającego pod ciężarem nieszczęścia, walki tajemnej, miłości tłumionej, której ciągle z tryumfem anielskiej cierpliwości znosić nie była w stanie. Te oczy wyraziste, wielkie, jak szafiry, ocienione ciemną rzęsą, wylewając łez strumienie, czyniły jej postać stokroć piękniejszą niż wszystkie podparte Magdaleny.

Pląkała jeszcze czas jakiś, coraz to ciszej, słabiej, wolniej, aż rączęta obwisły, osunęła się głowa pod brzemieniem tęsknych mrzonek i utonęła w miękkiej pościeli.

Taką była owa obojętna niegdyś dla mnie Fatyma!

Libia zaś spała snem tkliwego dziecięcia, co zmęczone kwileniem zapomina o troskach w czasie lubego spoczynku.

Nastąpiła zmiana w mojem widzeniu.

Ta sama moc niewidzialna, co mnie zanosła na drogę niespodziewanego odkrycia, porwała mnie na nowo. Usiłowałem się jej wydrzeć, ale niepodobna było! Pędziłem po lodowatych skałach, tarzałem się we wrzącym piasku gdzieś — na pustyni; wdrapywałem się na obeliski na cmentarzu Egipcyan; krążyłem

w wilgotnych obłokach, pioruny krzyżowały się nade mną. To znowu szumiąc wśród zeschniętej trzciny, pobiegłem czarodziej-skim cugiem nad rozchukany Ocean. Widziałem dziwolągi i ptaki morskie, co na pryskających i spienionych bałwanach chwytaly ukazujące się ryby i ze zdobyczą ulatały.

Nagle uniesiony po nad dziewicze lasy Ameryki, wtajemniczałem się w dzieje i prawa natury, w miejscach, gdzie ręka człowieka władzy swej jeszcze nie rozpostarła. Rozglądałem walki zwierząt, przemoc panującą nad słabością, chytrą i podstęp nad nieudolnością, rozum nad brakiem zmyślności. Tak nikczemny robak połknawszy dopiero jakieś żyjątko mikroskopowe, z kolei zostaje ściśnięty strasznym dziobem nocnego korwina, który pada pod szponami drapieżnego puhacza.

Zaledwie noc się skończyła, inne następowały sceny, a każda była napiętnowana dwiema ostatecznościami: śmierci i odrodzenia.

Jaki ma zakres dziedzin ducha w przyrodzie, nie mogłem zbadać. Poznałem tylko, że ze wszystkim, co istnieje i czuje, zostaje w bliższym lub dalszym powinowactwie.

Zrozumiałość ludzka myli się, twierdząc, że świat organiczny wyłącznie jest obdarzony własnością życia. Przymioty kruszców nawet przeświadczały nas, iż musiały i one mieć początek, wzrost i rozwój, choć są pierwiastkami zwane, i przekonują o ich życiu i czułości.

Z połączonych skutków walk ustawicznych doskonalą się dzieła stworzenia.

— A cóż? czy dobrze spałeś? — zapytał mnie magnetyzer kaukazki — Jeżeli wcieliłem cię do pewnych tajemnic, uczyniłem to z miłości bliźniego. Miłuj naturę, a ukochasz Boga i nauczysz się wyrozumiałości.

Powróciwszy na kwaterę, znalazłem odpowiedź na mój list. Mustafa uprzedził mnie o swem mającem nastąpić przybyciu wraz z ciotką i dwiema siostrami, Fatymą i Libią.

Lezginki odbywają wycieczki nie w powozach jak nasze damy, którym podróżne dormeuzy są niezbędne. Góralki podszłego wieku jeżdżą na osiełkach, a młodsze konno.

Ilekróć tedy razy tuman kurzawy w oddaleniu zwiastował podróżną kalwakatę, serce mi biło w oczekiwaniu drogich osób. Nie przybywały atoli, a różne sprzeczne domysły wstrząsały mną na przemiany. Człowiek, wyglądając ziszczenia nadziei, zasmuca się i cieszy jak dziecko, jakieś domysły i kombinacje roi, jak gdyby one mogły przyspieszyć spełnienie jego żądań.

Atoli pewnego poranku oczy mnie nie zawiodły — ujrzałem upragnionych gości.

Z razu poskoczyłem na ich spotkanie — lecz nie! — jakiś dziwny głos wewnętrzny nakazywał mi uciekać ztamtąd, schronić się w najgłębsze ustronie, nie widzieć ich nigdy...

Przekłeta chwila nieszczęsnego żywota! — krzyknąłem mimowolnie — co mi każe walkę popędu serca z przeznaczeniem powołania, z poczuciem obowiązku staczać...

Nie miałem komu się zwierzyć, chaos myśli uginał mnie, trapił, tłoczył ku ziemi, na której uglądałem otchłani — lecz i ta mi nie wystarczała.

Czyż ohydna śmierć moja mogła stać się tem koniecznym dopełnieniem, któremu rozum poddać nie zdołał, nie umiejąc pogodzić przeciwności tak dziwacznych?

Libię kochałem nad życie; — Fatymie wszakże należała się jeszcze większa wzajemność, cześć, uwielbienie.

Obiedwie zajechały już w gościnę, gdy błdziłem po ogrodzie w stanie godnym politowania. Aliści nadbiega znany mi gońiec z poleceniem Daniel-Baszy, abym stawił się jak najrychlej w obec niego. Zdumieni goście mem nagłym zniknięciem, dopytują gdzie jestem? czynią w ogrodzie poszukiwania, słyszę wołające mnie po imieniu głosy, a z tych dwa, jak dwie iskry elektryczne, wpadły w słabe oh! tak słabe serce moje.

Trudno jest wyrazić owego drgnięcia, którem cię przeszywa dźwięk najmilszy, znajomy, magnetyczny, upragniony, a którego unikasz, lękasz się, nie możesz, nie powinieneś słuchać... który chcesz gwałtem wyrzucić sobie z duszy, zapomnieć!...

Stałem na koniec w roztargnieniu obok przybyłego gońca, towarzysza broni, w obec rodziny Abbasa. Fatyma była drżąca.

Libia zdawała mi się być zawsze taż sama. Obiedwie miały zasłony na licach. Nie tracąc czasu, posłuszny srogiemu rozkazowi, podziękowałem gospodarstwu za gościnność. Nie śmieli mnie zatrzymać, gdyż Czerkiesi znają, co to znaczy rozkaz? Przycisnąłem w objęciach po przyjacielsku Mustafę, skłoniłem się ze złożonymi na krzyż rękoma staruszcze ciotce, a otrzymawszy od niej błogosławieństwo, pożegnałem dziewicę wyrazem «do widzenia» bez nadziei zobaczenia ich kiedykolwiek.

I puściłem się w drogę jak strzała, nie uważając na nic co mnie otaczało, nie widząc nic, nie słysząc nic. Chaos był w mej głowie.

Pędziłem z powrotem a — kiulek mój, jak gdyby czuł piekło, co mnie parło, zżymał się, potrząsał grzywą i przyspieszał biegu. Sadziłem przez płoty, bryły, jak cień zakłętego rycerza na okulbaczonem lucyperze.

Bieg mi ten był jeszcze za powolny, wiatr nie dosyć przeciwny, droga nie dość kamienista, towarzysz nie dosyć gniewny, któremu, o przyczynę raptownego pędzenia draśnięty, ucińkowo, złośliwie, obrażająco odpowiadałem.

Wymyślałem niepojęte słowa, bluźniłem, złorzeczyłem wszystkiemu, byłem wściekły, byłem szalony.

Precz z żalem niemęzkim! Choć cierpień tyle tysięcy sypało fatum na mą duszę, na me ciało, ja wołałem: jeszcze więcej! jeszcze więcej! ...

Znowu mury Keremzeaułu, powitanie kolegów i nowa wyprawa z Szamylem.

— Wiesz co Jusufie? — mówili do mnie.

— Nic nie wiem ...

— Dziś będziemy mieli widowisko, walki pelwanów (siłaczy) — choź! zobaczymy, czy nasz dzielny Isa pokona sławnego przybylca z Teheranu?

Pelwani czy nie pelwani, szatani czy opętańcy, wszystko dla mnie jedno! Potrzebowałem roztargnienia, za jakąby nie było cenę; potrzebowałem zagłuszającej rozrywki; szedłem więc na igrzyska z szalem pewnego rodzaju rozpacz, którą siłem się przezwyciężyć.

Cziahyr (wódka lub wino) jest u Czerkiesów synonimem diabła. Ale ów asmodeusz był mi niezbędny, konieczny jak trucizna, odczynnik drugiej trucizny. Tak dusza, znękana szarpaniem wewnętrznym, serce ściśnięte, toczone ścierającami się ostatecznościami, co jak upiory je dręczę i krew z niego wysysają, upada наконец, szuka gorzkiej zabawy w kielichu, aby odurzyć się i usnąć choć na chwilę, nie mogąc na wieki.

Wychyliłem skórzaną torebkę cziahyru. Przyjaciół G... postrzegłszy mnie rozmarzonego, ujął pod ramię, pocieszał, i zawrócił na ustronie, gdzie sen wytrzeźwił mnie i przyniósł nieco ulgi. Zjadłszy kilka aromatycznych owoców, oswobodziłem się ze znaków pijaństwa i poczułem wstępną ku niemu. Głowa mi ciężyla, bolała, z tem wszystkim udałem się na widowisko, będące oryginalnością Wschodu.

Na placu broni wznosiło się podwyższenie z tarcic, z łóżami urządzonemi dla kobiet, ozdobionemi draperyą z perskich kobierców. W jednej z nich zasiadły żony Szamyla, w drugiej Opaczyńskiego.

Nasz pelwan, chluba okolicy, był wzrostu średniego. Pomimo uwydatnionych muskułów, przypominających Herkulesa, członki jego ciała odznaczały się szczególną proporcjonalnością; a gibkość, lekkość i zwinność dodawały powabu męskiej postaci.

Przeciwnik jego z Teheranu wystąpił groźny wzrostem i sławą nabytą. Na twarzy ostatniego malowała się zarozumiałość i duma w obec zapasnika, na którego zdawał się z politowaniem spoglądać.

Dwa stronnictwa za i przeciw natychmiast się utworzyły, i poczyniono zakłady na korzyść walczących.

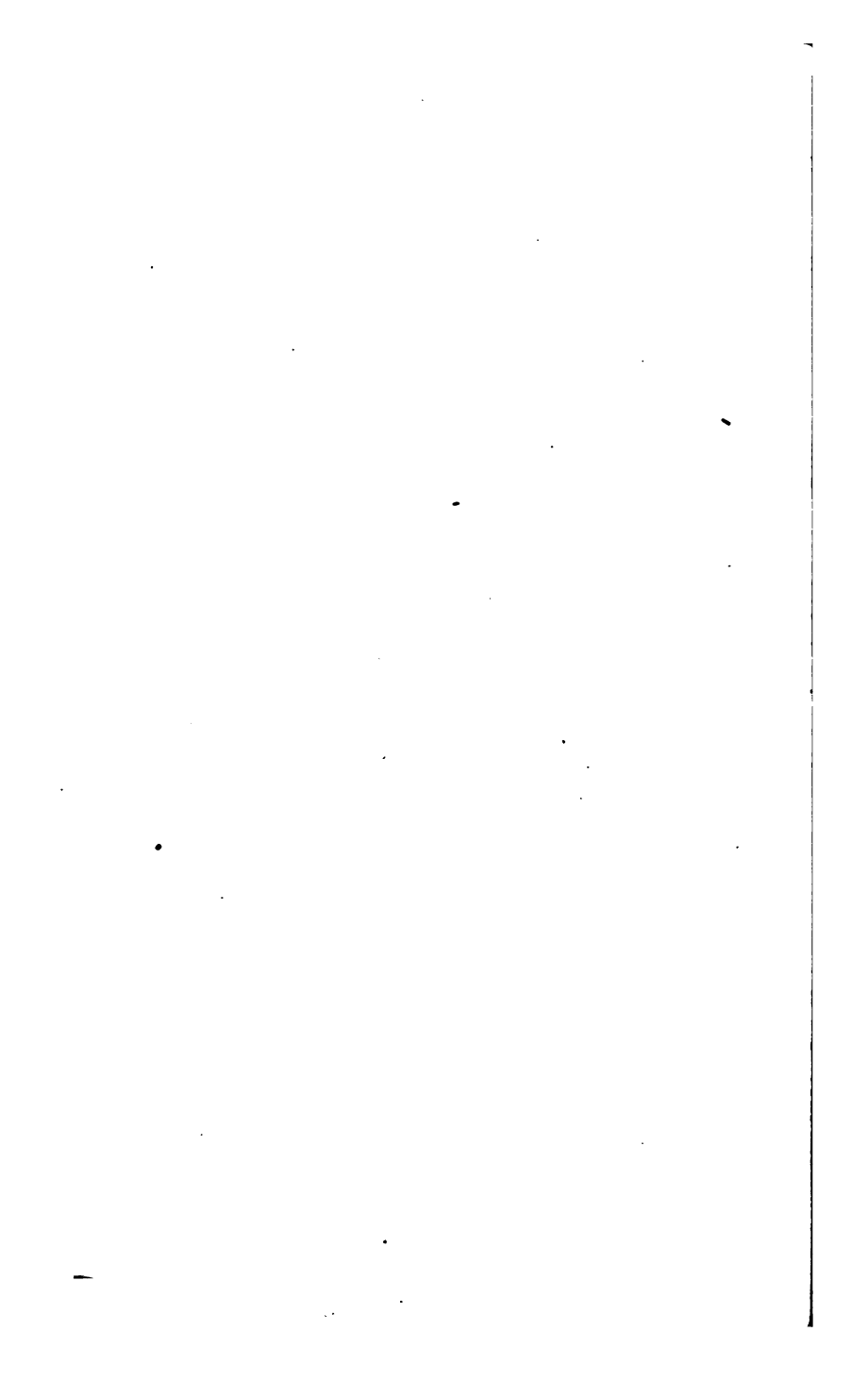
Potem na środku placu ukazał się siwy staruszek, pierwszy z przybocznych dworskich Szamyla, a obwoławszy widzom imiona pelwanów, dał hasło do zapasów.

Przeciwnicy powitawszy się wzajemnie, obnażeni jak gladiatorowie rzymscy, rzucili się zamasyżać na siebie. Siłacz z Teheranu kilkakrotnie uniósł w powietrze Isę, lecz napróżno usiłował powalić go na ziemię. Isa, jak kot spychany z wysokości, padał zawsze na nogi. Powodzenie obydwóch długo było niepewne. Różnie różni wróżyli. Nareszcie Isa, odetchnawszy

trochę, upatrzawszy sposobność, zachwiał i powalił z taką mocą pysznego atletę, że krew gębą i nosem mu pociekła. Isę ma się rozumieć ogłoszono zwycięzcą.

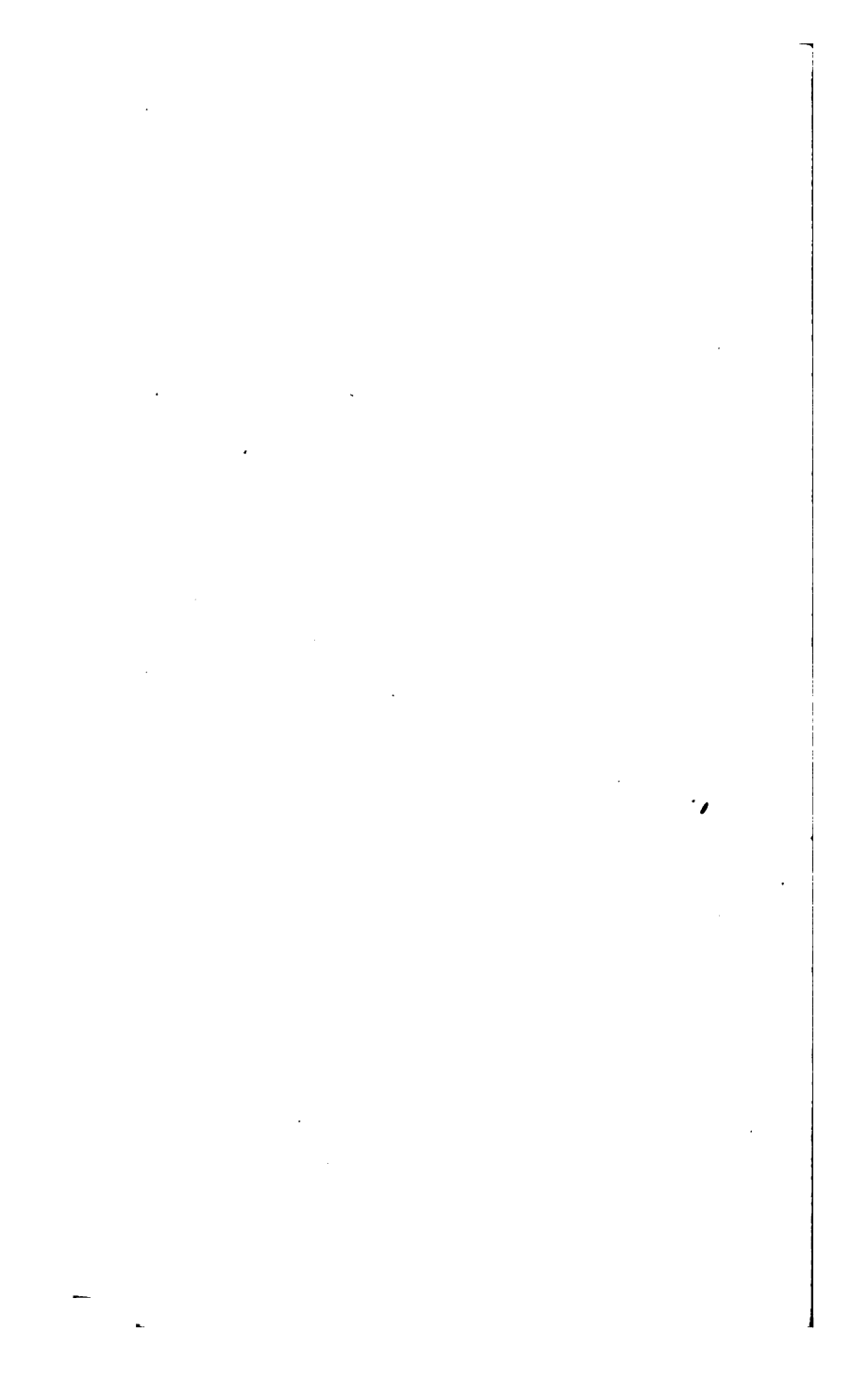
Pelwani mają swoje oddzielne prawa i przywileje. Sława pelwana uzacnia stanowisko rodziny, do której należy. Pobity utracą one przywileje w miejscu, gdzie go upokorzenie dosięgło, i zwykle takich feralnych miejsc na przyszłość unika.

Celem moralnym i politycznym Czerkiesów jest podnosić do stopnia zasługi i zaszczytu ludzi celujących w szermierce, a młodź z zapalem ćwiczy się u nich w gimnastyce.



XII.

DERWISZE. MOJE ODZNACZENIE SIĘ.



XII.

Oto druga strona tej powieści wschodniej.

Po walce pelwanów wystąpili w długie przyodziani szaty, z poważnemi brodami, bladzi derwisze.

Obniesiono publiczności miedzianą miseczkę, każdy w nią rzucił brzęczącą monetę.

Derwisze pojedynczo podróżujący, skutkiem opowiadania ciekawości, zyskują poważanie i korzyści pieniężne u narodów wschodnich. Lecz zdarza się, że dwóch derwiszów z różnych stron przybyłych się spotyka i następuje pomiędzy nimi spór nader pocieszny. Sąd wydaje opinia publiczna. Na czyją stronę zapada wyrok pierwszeństwa, ten otrzymuje nagrodę obok pochwał i pochlebnych okrzyków.

Pokonany derwisz musi spiesznie uchodzić z miejsca, unikając śmieszności, złościwości, a często i niebezpieczeństwa bycia poszturchanym.

«Ja jestem derwisz z derwiszów!» — wołał pierwszy — «Ród mój w starożytności był odroślą królewskiego tronu, zgłębiłem wszystkie nauki — zwiedziłem zamorskie kraje, zyskałem szacunek i uwielbienie nietylko bogaczy, możnych, książąt i duchownych, lecz nadto monarchowie przypuszczają mnie do swego towarzystwa i zaufania.

«Dawne szczątki znakomitości mego rodu, jeden z moich podniósł świeżo do nowej sławy przez zaślubienie księżniczki arabskiej...

«Słuchajcie mnie obecni tu w ogóle i każdy po szczególe!

«Głos mój jest oparty na sławie, wielkości, rozumie. Kto mi nie wierzy, jest złym muzułmaninem — kto mi zaprzeczy lub nie uszanuje wieczystych słów moich, będzie brutalem i głupim. Ci, co mnie usłuchają, dowiedzą się wielkich rzeczy, o których mało kto miał wyobrażenie, ci zaś, co dorzucą jeszcze coś do tej miseczki, zjedną sobie imię porządnym ludzi!...

«Wędrowałem ja wiele po szerokim świecie — byłem nawet między wielkoludami! — wszędzie mam zwolenników — widziałem Paryż, Rzym, Stambuł i inne stolice — zbadałem obyczaje różnych ludów; — a co tylko mądrość moja za stosowne uzna, to wam do wiadomości podam... dla dobra waszego!

«Zapiszcie sobie dzień dzisiejszy jako szczęśliwy dla was, że tu przypadkowo jestem, i nie traćcie z uwagi tego, co wam dalej powiem:

«Rozmaici są mocarze ziemscy, za górami i wodami.

«W jednym kraju rezyduje Sułtanka, która ma wielu doradców i wezyrów. Z tych naczelnicy bardzo wiele lat żyje i chociaż tak stary, rozumem nikomu wyprzedzić się nie da; a z żydem, co ogromne skarby posiada, oszukują wszystkich.

«On to mi mówił, żeby wam oznajmić, iż o was wie, pamięta i usługi wam wyświadczy, skoro tylko mnie usłuchacie, i rozumie się, dobrze wynagrodzicie.

«Inny jest pogański Paddi-szach, przed którym drżą królowie. Wystawcie sobie, on berła rozdaje; o co się jeden z obdarzonych ze swoim bratem pobił.

«Ten wielki mocarz zowie mnie przyjacielem swoim, powiernikiem, u niego najwięcej doznałem względów i protekcji. On na moje żądanie wojska wystawi i wojnę będzie prowadził. Zanotujcie sobie me wyrazy. Tylko poczekajcie, a przekonacie się — cierpliwości, trochę cierpliwości!... Dla czego nie poczekać, kiedy kto dobrze radzi?...

«Jest jeszcze jeden, który się złączył z innymi i chcą świat zawojować. Chociaż to są rabusie, ale mają tak obszerne państwa i posiadłości, że wobec nich najlepiej jest cicho się sprawać, bo ci panowie nie lubią hardości. Owszem, trzeba im oddać hołd i posłuszeństwo. U nich kto tylko nie jest dziwakiem, uprzedzonym i ograniczonym na umyśle, może znaczny majątek zrobić i żyć jako tako. Ludy, co przeciw nim same powstają,

upadają i marnie giną. Oni tych, co im wiernie służą, sownie nagradzają. Przeciwno nim nie radzę teraz wojować, a korzystniej zdać się na łaskę; kto pierwszy będzie, ten lepszy, i więcej zarobi...»

«Łżesz najszkaradniej!» — przerwał drugi derwisz — a zmierzwszy wzrokiem przeciwnika, obrócił się do zgromadzenia i zaczął namiętnie deklamować:

«Coś ty mi za derwisz? co prawisz o krajach zgangrenowanych i do zdrady namawiasz!

«Wiem dobrze, kto był twój ojciec. Nie żaden książę, jak głosisz, lecz syn nieprawy Urusa!

«Podbudzasz współbraci moich, aby biegli poddawać się obcym mocarzom; każesz rachować na pomoc jakiegoś sułtana, którego to dał sprzymierzeńcowi, co wydarł bliźniemu, a czego dla siebie bez strachu zatrzymać nie mógł. Śliczna mi hojność! ... Wynosisz się sam nad drugich, ale ciebie chrząszczyku dziś nikt nie wyniesie. Upadniesz, jak ów pieniądz z fałszywym dźwiękiem, którym ludzie poczciwi gardzą i nikt z przechodniów po niego się nie schyli...»

«Ja zwiastuję wam rodacy ważniejsze rzeczy. Posłuchajcie:

«Widziałem mędrca i proroka.

«Ten mnie do was przysła, aby wam objawić, że człowiek, którego tu przed sobą widzicie, który do was teraz przemawiał, co się wieszczęm, derwiszem zowie, jest podstępny szalbierzem.

«Mędrzec i prorok kazał wam objawić, że będą obfite urodzaje, choć nastąpi trzęsienie ziemi; — że powietrze złe nas nie porazi; — a w końcu, że Kaukaz od krańca do krańca wolnym i swobodnym będzie!

«Lecz pamiętajcie wszyscy napisać do przyjaciół i znajomych zachęcając ich, aby pracowali, nie nadstawiali ucha zgubnym podszeptom i wróżbom; aby chodzili do meczetów, cierpliwie czekali przyszłości w imię Ałłaha, i byli zawsze w pogotowiu na rozkazy Szamyla.»

Nazajutrz, skoro zabłysła ranna zorza, Szamyl znowu prowadził nas na wojnę. Tą razą kilka tysięcy rycerzy wyległo w pole.

Jakie były plany i zamiary naczelnego wodza, trudno było przeniknąć. Oddziały rozeszły się w rozlicznych kierunkach. Po kilku dniach koczowania stanąłem z jazdą dowodzoną przez Szamylą pośród Czecczenii, gdzie wydarzył się następujący wypadek:

Zaledwie zaczęliśmy popasać, znaki wedet naszych ostrzegły o nadchodzącej Moskwie. Dano znać, że siły jej były za nadto przeważne, abyśmy mogli ostać się na placu. Opuściliśmy więc niebezpieczne stanowisko.

Pośpiech w odwrocie był nagły, nie wszyscy zdążyli zabrać nawet swoje manatki.

Ubiegłszy ze trzy wiorsty, zdołaliśmy sformować się w szyk bojowy, zawsze jednak cofając się w porządku.

W tem Szamyl zapytał przybocznego oficera o papiery sztabowe, i dopiero postrzeżono z przerażeniem, że zapomniano je w domu, gdzie wódz kwaterował.

— Na ochotnika! — zawołano.

Wyskoczyłem najpierwszy.

Objaśniony, gdzie się znajdują owe ważne dokumenta, pędem udałem się do obleżonego aulu, uszczęśliwiony ze zdarzonej sposobności...

Wpadłem tam jak szalony, jednocześnie z kozakami czarnomorskimi, którzy już rozbiegli się po domach, szukając nas.

Ze zwyczaju, czy z potrzeby, stałem się obojętnym na śmierć, której w początkach mego przybycia na Kaukaz tak się obawiałem!...

Zatrzymawszy się przed eks-rezydencją Szamyla, ubrany podobnie do kozaków, w zamieszaniu zdołałem przesunąć się między nimi, wpaść do mieszkania, pochwycić ze stołu blaszaną puszkę z papierami, wybiedz z nią do bramy i wskoczyć na kiuleka.

W pierwszej chwili Moskale nie poznali mnie i może osądziły za miejscowego lub do nich należącego; gdy jednak zaczął się wymykać jak zając z pomiędzy chartów, kilka strzałów padło za mną i kilku konnych puściło się w pogoń.

Źle ze mną, myślę sobie; lecz gdy się ujrzałem na drodze, jako poczułem, że mi nic nie zrobią. W rzeczy samej, kozacy na swych szkapach straciwszy nadzieję dognania mnie, zawrócili się nazad.

Atoli jeden z nich uparty, na wronym rumaku, nie zaprzestał ścigania. Zauważyłem, że musi mieć ręczego bieguna turkomańskiego, bo coraz bardziej ku mnie się zbliżał. Nie tracąc przytomności, popychałem naprzód kiuleka za pomocą bodźców umieszczonych przy strzemionach.

Gdy obejrzałem się, kozak tuż za mną! już celował z pistoletu... Migiem przewinałem się pod siodło, dwie kulki świsnęły.

Teraz — pomyślałem — jeszcze nie zginałem. Zaczem wróg zdąży włożyć naboje, zawrócę raptem i zmierzę się z nim na pałasze... Któż mnie jednak zaręczy, że siła dojrzałego mężczyzny nie łączy i zręczności wyrównywającej mojej? Trzeba jeszcze uciekać...

Draśnięciem w szyję skaleczywszy zmordowanego kiuleka co już bokami robił, resztki sił wydobyłem z niego. Uniósł mnie jak z procy na wzgórze, z którego wypadło się spuszczać po nadzwyczaj przykrej spadzistości.

Wygrałem!

Koń czerkieski na takiej tylko drodze jest niepokonany. Więc przysiadłszy mu krzyżów, zsunąłem się z nim na dół. Ktoby z cudzoziemców to był widział, wziąłby mnie był za widziadło fantasmagoryczne.

Nie tracąc drogiego czasu, zeskokczyłem z chwiejącego się już kiuleka, schowałem go w krzakach, sam zaś przykleknąłem, odwiodłem gwintówkę i sparłszy ją na pieńku, czyhałem na kozunia.

Nie długo dał na się czekać. Niebawem ukazał się na szczycie góry, wspięty na strzemionach upatrując, gdzie mógłem mu się podziąć? Dopuszciliem go na sto dwadzieścia kroków, i wypaliłem!

Drgnięcie jego gwałtowne okazało, że go kulka dosięgła. Wypuścił cugle i wsparł się rękoma na grywie. Zwierz nie czując hamulca uczynił skok, wtedy trup stracił równowagę i stoczył się na ziemię.

Przywiązany czworonogi zatrzymał się obok swego pana i opuściwszy łeb wachał martwe jego członki.

Podbiegłem, zobaczyłem ranę, kozak ugodzony został w serce, ani ziewnął.

Zabrałem pistolety, ładownicę, szlify i kindżał — jeden z tych kindżałów, co mają pochwy z jaszczuru w srebrne arabeski, rękojeść ze słoniowej kości wysadzana turkusami, a których wartość szacują na Kaukazie: cztery konie i dwie niewolnice.

Trupa nie zabrałem, ani też trzosu, co miał na sobie. Zostałem pieniądze na pogrzeb, który zapewne koledzy później mu wyprawili.

Siadłem na zdobytego żrebca, dałem mu piętą pobudkę; poznał, z kim ma do czynienia, był zmuszony opuścić nieboszczyka i zaciągnąć się do nowej służby.

Lecz inny kłopot! Mój pocziwy kiulek biegnący luzem rzucił się na nieznanego i zaczęły się wspinać i kąsać między sobą. Zaledwie byłem w stanie dać sobie z nimi radę przy pomocy kańczuga.

Dopiero w nocy szczęśliwym trafem dopędziłem oddział Szamyla.

Stałem przed wodzem — wręczyłem mu papiery. Kiwnął tylko głową, ja zaś udałem się na właściwe stanowisko.

Jeden z Baszów przystąpił do mnie, złożyłem mu szlify z zabitego oficera i pistolety także. Konia zaś z całym rzędem i siodłem byłbym zatrzymał dla siebie, lecz znacznie roślejszy od mego, nie był mi dogodny — zresztą kiulek nieprzeżyłby tego, gdyby mnie był obaczył jeżdżącego na tamtym.

Pomimo utrudzenia spać na przystanku nie mogłem. Wyznając, że przykrą mi się wydała obojętność ze strony Szamyla za tak wielkie me poświęcenie. Stłumiłem żal w sobie i nie wspominałem o nim nikomu.

Nazajutrz nastąpiła rozprawa ze szpiegami. Trzeba wiedzieć, że mieliśmy naszych szpiegów w obozach Moskali, jak zarówno oni mieli swoich pomiędzy nami. Szpieg nieprzyjacielski ujęty przez jedną lub drugą stronę podlegał niezawodnej karze śmierci.

Pomiędzy Czerkiesami mirnymi zamieszkałymi po większej części na równinach pod panowaniem Rosyi, a przybywającymi

na jarmarki do miast rosyjskich ze swojemi towarami, pojawiają się często i przybysze z gór, Czerkiesi, niepoddani. Rozpoznają się oni między sobą z łatwością, ale się nie zdradzają w obec rządu najezdniczego, wtedy nawet, gdy niepodlegli górale rozpoczną rzeź w mieście.

Szpiegi o których mowa, co ich na drodze pojmałiśmy, byli wyrodni machometanie, znani z wielu zbrodni. Stawiono ich przed baszą. Ten przyjął ich w milczeniu, roztworzył księgę koranu i kazał odczytać artykuł, gdzie powiedziano jest: że każdy muzułmanin walczący przeciwko muzułmaninowi, podpadnie karze śmierci. Potem przyzwał wykonawców sprawiedliwości z toporami i oddał im złoczyńców dla spełnienia wyroku.

Po zgonie szpiegów spotkała mnie nader miła niespodzianka, jakby dla zatarcia cierpkiego wrażenia.

Byliśmy na polu rozwinięci w szeregi, Szamyl czynił przegląd. Przejeżdżając koło mnie, osadził wierzchowca i zawołał:

«Jusuf Polak przed front!»

Wystąpiłem.

Tu dopiero basza dworu, dobywszy pargamin opatrzonego gołdami Kaukazu, podpisem własnoręcznym i pieczęcią Szamyla, mianował mnie chorążym; a wódz zdjąwszy z palca srebrny ze stalową emalią pierścień, obdarzył mnie nim na znak zaszczytu. Nadto trzydzieści dukatów tureckich wyliczono mi za zdobytego konia, który będąc poprawnej rasy, przeznaczony został do stajni wodza.

Takie były wawrzyny moich trudów wojennych, lecz w skutek pasowania mnie na rycerza doznałem później więcej przykrości niż szczęścia.

Umieszczonemu w świecie Szamyla zazdrość niektórych kolegów niejednokrotnie mi dokuczyła; a co więcej, oddaliła od stosunków poufałości, jakimi się poprzednio cieszyłem. Starszy od nich stopniem, choć młodszy wiekiem, postawiony zostałem w konieczności zachowywania pewnej powagi, która, będąc przeciwną nie tylko wiekowi ale nawet czasem i usposobieniu mojemu, ciążyła mi, krępując błogą dawną swobodę.

Mnóstwo bitew, wypraw i utarczek zaszło w następności. Niektóre z nich wryły się żelaznemi głoskami na skarbnicy

nych wspomnień. Opis ich atoli przeszedłby zakres niniejszego pisma...

Opaczyński wnosił na walnych radach wojennych o potrzebie urządzenia piechoty, lecz doznał na tym punkcie silnego oporu ze strony muzułmanów.

Szamył osądził, że działania ważniejsze nie mogą się obyć bez artylerii. Postanowił zatem porozumieć się z Turcją w celu dostania dział. Wysłano posłów do Stambułu z prośbą do Paddi-szacha o odstąpienie takowych.

Smutna była odpowiedź. Sułtan żądał córek Czerkiesów do haremów w zamian za działa.

Wiedział dobrze Szamył, że Lezginie nie przystaliby na frymarkę własnymi dziećmi, choćby w celu zbawienia ojczyzny. Dla pokonania jednak trudności, część cudownie pięknych dziewcząt została nabytą u innych kaukaskich pokoleń, część wykradzono, i wszystkie razem, strojne w drogie materye i klejnoty, wysłano jako towar do stolicy tureckiej.

W zamian za dziewice przybyły armaty, lecz ileż niedogodności przytem!...

Były to armaty po większej części ogromnego kalibru, których windowanie ze skały na skałę przedstawiało nadzwyczajne wysilenia. Tylko poświęcenie się bez granic biednych Czerkiesów, owa mocna wola wspierana wiarą w pomyślny skutek, mogły wydołać nadludzkiemu przedsięwzięciu.

Z drugiej strony, brakowało uzdatnionych kanonierów; a powierzenie dział Czerkiesom, którzy nie mieli dostatecznego pojęcia o sztuce artyleryjskiej, usunięcie dla jakiejś wschodniej podejrzliwości od tego Polaków, pomiędzy którymi byłiby się prędzej znaleźli tacy, co służąc w wojsku rosyjskiem, obeznali się z tym rodzajem broni; wszystko to sprawiło, że szturm z bombardowaniem miasta Baki przez Szamyła spełznął na niczem, osłabił zaufanie w narodzie, a wywołał zwątpienie.

Pewnego razu, kiedy po całodziennym ogniu, granaty nasze nie dość skutkowały do zdobycia tej fortecy, pozostawiono w nocy działa na szczycie góry z garstką ludzi przeznaczonych do ich pilnowania, gdy hufce nasze zaległy przestrzeń na dolinie.

Noc była nieznośnie zimna i tak ciemna, że z trudnością przychodziło rozeznawać najbliższe przedmioty.

Kanonierzy czerkiescy, ludzie bez doświadczenia i znajomości podstępów artyleryjskich, odstąpili od dział i jaszczyków o kilkadziesiąt kroków i rozłożyli ognisko, nie przewidując następstw.

Zdawało im się, że dosyć jest zachować ostrożności od pożaru, bo dział nikt nie wprowadzi...

Na raz słyszą kilkakrotne uderzenie młotkiem, stuk powtarza się, zdumieni biegną do dział, lecz już było za późno — zagwożdżone zostały.

Rozszarpali na miejscu moskiewskich ochotników, którzy zrobili tak zwaną wyłazku, z wyjątkiem jednego, co, choć raniony, zdołał im się wymknąć.

Smutno pomyśleć, że był nim Polak, Chmieliński, oddany za przestępstwa polityczne w żołdacy na Kaukaz, któremu generał przyrzekł awans, powrót do praw szlacheckich, chresty i łaski, jeżeli wyłazku dobrze poprowadzi.

Zagwożdżenie dział naszych było stanowczym wypadkiem. Zdobycie Baki sami Moskale uważali za możebne dla Szamyla. Gdyby się było udało, tedy przystań morska powrócona Czerkiesom, tudzież starożytna warownia ważna położeniem strategicznym, nadto zamek Sunguli-hana ostatniego tamecznego władcy, ten relikwiarz pamiątek dla Czerkiesów; wszystko to okryłoby było nową sławą oręż Szamyla, ogarnęło świeżym porywem patryotycznym ludy kaukazkie i przyciągnęło do jego osoby. Moskwa utraciłaby była podstawę dzieła stuletnich zabiegów.

Niestety! Chmieliński nie przewidział skutków, a tęsknota za krajem i życie w ciężkiej niedoli dla człowieka z uczuciem, rzuciły go na drogę bohaterstwa tak opłakanego.

Dowiedzieliśmy się później, że krzyż Śgo Jerzego, gratyfikacja, policzenie lat wysłużonych za dostateczną wysługę, obdarowanie sprzączką i droższa nad nią dymisya, były nagrodą niepowetowanego ciosu, jaki nam zadał.

Odwrót nasz zpod Baki skończył się klęską.

Żelazna atoli siła niezłomnego charakteru Szamyla uczyniła go jeszcze niezupełnie pokonanym. Uzbroiwszy się w wytrwa-

łość, użył ostatniego środka — sfanatyzowania rodaków i pobratymczych plemion.

Kto zna historią Kaukazu, ową zajmującą z wielu względów mozaikę, musi odgadywać, ile napotykał zawał do urzeczywistnienia swych zamiarów. Nadzieje te były jak odbłyски zwoźniczego słońca pośród chmur nagromadzonych nad jego głową. Zdawało się, że szczęście wypowiedziało posłuszeństwo swemu wybrańcowi.

Oddziaływując propagandą muridyżmu, udało mu się wprawdzie zjednać sobie wielu zwolenników, nawet pomiędzy mirnymi Czerkiesami, którzy go do końca podtrzymywali; lecz dla innych, mianowicie dla zepsutych Gruzynów, Ormian, Adygów itd. oddziaływania były w rezultacie zbyt słabe, aby mogły wywołać pospolite ruszenie, na które najwięcej rachował.

Emiu Basza użyty głównie do propagandy, nie zdołał w kraju niejednolitym, wśród nieprzyjaznych okoliczności, ustalić władzy i powagi imama Szamyla.

Chrześcijańskie, a raczej chrześcijańsko - machometkańskie plemiona Kaukazu okazały się zdradzieckimi w chwilach upadku ojczyzny.

Potrzebaby uchylić zasłonę archiwum petersburskiego, aby mózł zgłębić rozległe plany zręcznej polityki caratu dotyczącej Kaukazu.

Nie podpada wątpliwości, że ksiązę Woronców, namiestnik ówczesny, był najwięcej wcielony do owych planów.

Mając on na celu wyłącznie Kaukaz, obchodził się przynajmniej dobrze z Polakami, jakby chciał przez to pokazać Paskiewiczowi, że w Azji są oni lepiej traktowani, aniżeli w Warszawie.

XIII.

**POCHWYCENIE KSIĘŻNICZEK ORBELIANI I
CZAWCZAWADZE.**



XIII.

Gdy kto obsypany darami fortuny, a do tego nosi szumny tytuł księcia, barona lub markiza, niechno mu się wydarzy jakie nieszczęście, jaki przypadek, wówczas rozgłos idzie daleko i współczucie łatwo się zdobywa.

Wówczas dzienniki szeroko się rozpisują, współbracia kasty noszą żalobę, filantropi się rozkwilają, gładkie panie w czarnej krepie jawnych łez nie szczędzą.

Wówczas ofiarę rozpowszechniają w ilustracjach, fotografiach, w statuetkach; widzisz ją na ekranach, na kominkach, na świecznikach, wszędzie, gdzie się obrócisz. Słowem, o mało jej za życia nie kanonizują.

Lecz czy się kto zapyta, co to są za karawany biedaków pędzone przy żelaznym drągu w strony podbiegunowe? A ileż to w owych ponurych procesjach bez końca znajduje się nieznanych a rzeczywistych wielkości, których imiona winny być wyryte na pomnikach dla pamięci świata? ...

Jeden powie, że imiona te nie miały przydomków, brakowało im mitry, i dla tego o nich nie słychać; — drugi rzecze, że osoby co je nosiły nie miały pieniędzy dla dania o sobie rozgłosu; — trzeci zanuci zwrotkę:

Ani cię rozum zaleci,
Ani cię cnoty wzbogacą,
Kto niema pierza, nie wzleci
Gdys goły, zawsześ ladaco! ...

Intryga zazwyczaj odmawia biedakom nie tylko gałązki wawrzynu, ale i palmy męczeńskiej.

Biedak musi połykać w cichości lzy swoje.

Żadna sława ziemską go nie nagrodzi, żadna trąba czynów jego nie rozgłosi. Pokryty chmurą niewidzialności, istnieje i ginie bez śladu na bezbrzeżnym stepie, jak kwiat co rozkwitł i woniał samemu tylko Bogu!

Świat wie o porwaniu przez Czerkiesów dwóch księżniczek moskiewskich: Orbeliani i Czawczawadze; choć cała ich zasługa (jeśli to można nazwać zasługą) mieściła się w tem, że krążyły po Kaukazie dla nabrania wrażeń.

A czy też wiedzą obce narody np. o wieszczce naszej Deotymie?

Zaprawdę, oddalony aul tatarski Kazańskiej gubernii, opuszczona w nim chata o oknach z pęcherzy końskich, gdzie znakomita wygnanka, schylona nad kotliną, nieci ogień dla ogrzania krzepnącej krwi ojca swojego, — obrazek to stokroć wznioślejszy od ofiary Eneasza!

Ileż to podobnych mamy obrazów męczeństwa? ... Nie potrzebujemy porwania księżniczek brać za materiał do naszego dramatu...

Tyle już o nich pisano, że dalszą wzmiankę uważałbym tu za zbyteczną, gdybym ich nie był widział przy Szamyłu.

Smutno pomyśleć, iż Aleksander Dumas, klejąc z ich przygody romans cały, wystawił Lezginów jako rabusiów, ludożerców, chociaż ich z bliska nie widział.

Prawda, że Dumas zwiedził tylko część Kaukazu podbitą przez Moskwę — zwiedził ją kosztem rosyjskim; — wszędzie był girlandowany po drodze — odbierał cenne pamiątki od generałów tak greckiego jako i machometkańskiego wyznania. — Nie znając języków miejscowych, posługiwał się tłumaczem rodowitym Moskałem i pożyczal od niego okularów — a wszystko to mogło wpłynąć na jego giętkie pióro, maczane w kałamarzu nie jednego gubernatora.

Nie przeczę...

Ale wystawiać lud pierwotny, niepodległy, jako bandę zbójców i złodziei; a spodłone niewolą plemiona kaukazkie za wzór cnót publicznych i domowych — to za zbyt czelnie na autora

powieści historycznych! — tem więcej, gdy autor nie schodzi do źródła złego i obok przypisywanych błędów, nie wykazuje przymiotów narodu, przeciw któremu się uprzedził albo go uprzedzono.

Oto słowa francuskiego pisarza:

«Vous savez ce que c'est que ces hommes, ces bêtes, ces hyènes, ces tigres, ces coupeurs des mains qu'on appelle les «Lesguiens.»

Bez wątpienia, dla wypieszczonych magnatek na salonach petersburskich cierpką była konna przejażdżka w objęciach kawalerzystów czerkieskich. Doświadczały one smutnego losu starożytnych niewolnic opiewanych przez Homera.

Atoli na pochwałę górali, panie Orbeliani i Czawczawadze powróciły całe. Nic tak dalece im się nie stało, aby tytułem nieszcześliwej podróży z musu mogły sobie okupić niesmiertelność na kartach literatury dziejowej. Byłoby to za tanie pieniądze wniść do królestwa sławy.

Dotąd podziwiają w Homburgu przy rulecie drobne nóżki jednej z tych jesiennej piękności księżniczek, już nie pomnę której.

Wprawdzie książęta tatarscy porywają niekiedy kobiety z pewną gwałtownością; lecz jest to u nich w zwyczaju. Mniemają oni, że czynią przez to zaszczyt swym namiętnościom rycerskim. Namiętność taka jest owym diabłem Wolterowskim, który wedle zdania filozofa z Ferney ma stanowić wartość mężczyzny...

Co gorsza, że obudza ją czasem chęć zysku. Łatwiejszy targ o haracz, gdy się trzyma zdobycz!

Łatwiejszy układ o posag z tatuniem, gdy się ma jego córeczkę. To smutno, ale tak jest!

Czerkiesi, którzy nie są w tym względzie Serafinami, pozwalają sobie tych wybryków, nawet między sobą. I na słońcu są plamy...

Lecz czyż w Europie podobnie się nie dzieje, tylko na inny sposób?

Dziki Czerkies jeśli chwyta piękność, chwyta ją całkowicie; gdy tymczasem Europejczykowi zależy na zgrabnem wykradzeniu serca pańienki cichaczem, za nim przystąpi do interczy...

Co kraj to obyczaj! ...

Lecz wróćmy do księżniczek:

Daniel-Basza w czasie swej wyprawy złożonej z kilkunastu tysięcy górali, głównie z Lezginów, odniósł świetne zwycięstwo, przywiódł wiele zdobyczy, łupów i mnóstwo jeńców nieprzyjacielskich. Pomiedzy innymi, dwie siostry, dystygowane białogłowy, księżna Orbeliani i Czawczawadze, uwiezione zostały ze swego pałacu na Kaukazie, gdzie czasowo przebywały wraz z dziećmi, rodziną i służbą.

Za przybyciem do rezydencji Szamyla, były ogromnie strudzone, blade i przestraszone, spodziewając się w królu kaukazkim ujrzeć herzta rozbójników, straszniejszego jeszcze, niż go w salonach carskiego grodu przedstawiano.

Intendent wprowadził je do seraju hańskiego.

Podano im pług i inne przysmaki krajowe, tudzież placek nie osolony, ser, herbatę i wodę.

Przy tej skromnej uczcie czyniły honory trzy żony Szamyla.

Kazał on przeprosić uprzejmie gości, że, będąc sam ubogim i naczelnikiem kraju biednego, nie jest w stanie przyjąć ich wytworniejszym posiłkiem.

Po obiedzie uproszono panie do przywdziania przygotowanego dla nich ubioru wschodniego, włożenia czerwonych safianowych mesztów i zarzucenia zasłon na twarze.

Prorok nie mógł oglądać ich inaczej.

Po dopełnieniu tej formalności wyszedł on uroczyście z dworem całym na ich spotkanie. Jeden z giermków trzymał rozpostarty parasol z frandzlą nad jego głową.

Czarna chorągiew, sztandar Kaukazu, powiewała przed oknami domu.

Szamył zwrócił się do księżnej Orbeliani z na pół przymrużonemi oczyma i w te ozwał się słowa:

«Barbaro! Mąż twój był zaciętym wrogiem moim. Pojmałem go, wtrąciłem do więzienia i skazałem na śmierć. Śmierci tej on się nie uląkł; ja zaś oceniłem w wnim prawość i niezachwiane męstwo, pokochałem go, darowałem mu życie i odesłałem na rodzinną ziemię.

«Wiadomo ci Barbaro, że sułtan rosyjski zabrał mi najstarszego syna. Rodzicielka jego umarła z boleści.

«Żądam, aby mi oddano syna mojego!

«Wszak jesteś wnuczką byłego sułtana gruzyjskiego — Mikołaj cię więc usłucha... Wolność twa od ciebie samej zależy... lecz głowa za głowę! Napisz, wraz z siostrą, do Mikołaja, aby mi oddał dziecko moje, a ja za to was wszystkich powrócę na łono krewnych waszych.»

Po tych słowach prorok oddalił się z powagą i godnością.

Dżemmal-Eddin, o którym poprzednio wspominaliśmy, co dostał się w dwunastej wiosnie życia do niewoli moskiewskiej podczas oblężenia Akulgo w 1839 r., był właśnie owym opłakany od wielu lat synem, o którego dopominał się stroskany ojciec.

Chłopiec zawieszony do miasta nad Nową, wychowywał się pod okiem Cara.

Pobierał on edukacją w korpusie paziów.

Gdy wyrósł, Car mianował młodego Kaukazczyka półkownikiem i adjutantem przy sobie.

Car został wielce strapiiony, gdy się dowiedział, że potrzeba oddać pазia-półkownika-adjutanta w zamian za księżne zabrane w jasyr. Duma carska bardzo na tem cierpiała, ale wypadało zrobić ustępstwo przez wzgląd na wysokie usługi, jakie mężowie brankę wyświadczyli różnemi czasy tronowi.

Pułkownik-adjutant odesłany więc został.

Tymczasem księżne gościły u nas.

Widywałem je często rozmawiające w ogrodzie z Szamylem. Lubiąc namiętnie dziatwę, kazał on sobie przynosić ich synków i córeczki, pieścił ich, przepędzał długie chwile na zabawkach i figlach z nimi, i odchodząc zawsze im coś podarował.

Dzieciaki, przyzwyczajwszy się do Szamyla, płakały potem przy rozstaniu.

Sam także niekiedy towarzyszyłem niewolnicom wśród przechadzki.

Z początku były zamyśłone, melancholiczne, narzekały, że zbywa im na książkach i gazetach. Zbywało im też na zbytowych wygodach, do których przywykły od powicia. Nadto, nie mogły przyzwyczać się do nowego ubioru, którego nigdy da-

wniej nie nosiły. Przeszedłszy nagle z krynoliny do szerbkich szarawarków, nie umiejąc w nich stąpać, niecierpliwili się, chód ich nieco śmiesznym się być wydawał.

Powoli jednak zaczęły przywykać do swego stanu i godzić się z losem.

Wiadomość o zbliżeniu się syna Szamyłowego napełniła wszystkich niewypowiedzianą radością.

Szamył nie posiadał się z uciechy, chociaż starał się tego nie okazywać.

Muridzi przygotowywali biesiady i turnieje na przyjęcie Dżemmal-Eddina po tylu latach niewoli.

Nasza sotka polska była nader ciekawą ujrzeć jak najprędzej wychowanka korpusu paziów, na którego rachunek różne szeptki krążyły między memi koleżkami.

Ale otóż i goniec przypędził z depezą!

Depeza zwiastowała, że Dżemmal przybył do stóp gór ojczyzny swojej, w towarzystwie księcia Czawczawadze, męża jednej z branek i licznej świty.

Porozumiano się i zgodzono obustronnie na wybór miejsca, gdzie zamiana miała nastąpić, 11 marca 1855 r.

Z gór kaukaskich zstępowały księżniczki rosyjskie z paradą, dążąc na oznaczony punkt zborny, otoczone hufcem Czerkiesów, któremu przewodniczył na białym rumaku Hadzi-Mohamed, młodszy syn Szamyła, żywy portret ojca.

Uchodził on za najurodziwszego mężczyznę na Kaukazie. Postać jego przypominała błędnego rycerza z czasów feudalnych.

Jednocześnie, od strony Rosji maszerował na dolinie konwój moskiewski, równy siłą hufcowi czerkieskiemu. Orszak ten pod dowództwem księcia Czawczawadze wiódł na punkt zborny najstarszego syna Szamyła, Dżemmal-Eddina.

Dwaj bracia ujrawszy się zeskoczyli z siodła i uścisnęli społem. Nastąpiły wzajemne komplementy między zgromadzonemi. Potem poczwórna kareta z forsyjami na przodzie potoczyła się z księżniczkami drogą do Tyflisu, — gdy kawalerya czerkieska powracała do siebie, wraz z dwoma oficerami, którzy wedle umowy winni byli wręczyć Dżemmal-Eddina ojcu.

Jednym z tych oficerów był baron Frederiks, dzisiejszy generał-major, oberpolicmajster Warszawy.

Nie szczędzono po drodze okrzyków w imię Allaha, na przyjęcie następcy tronu kaukazkiego; nie szczędzono prochu na salwy i ognie sztuczne, chociaż pomimo rękodzielni prochowej założonej w górach, nigdy nie mieliśmy ładunków zbywających.

Szamył nie mógł wyjść na przyjęcie następcy swego. Duma wschodnia i powaga religijna nie pozwalały mu na to, pomimo najgorętszych chęci.

Z pozornym pokojem w duchu siedząc w milczeniu w gronie muridów pokrytych szronem lat podeszłych, nieszczęśliwy ojciec oczekiwał z niecierpliwością na przybycie syna. Tak był wówczas patryarchalnie piękny i w prostocie swojej wspaniały, że posły moskiewskie za wnijsciem stanęli jak wryci z podziwienia i uszanowania.

Na widok syna Szamył nie mógł oprzeć się wzruszeniu, objął go w swe ramiona i przycisnął do serca. W myśli jednak pohamowania pierwszego uczucia oddalił się do swego pokoju, aby w samotności obetrzeć łzy spływające mu po licu.

Ale jakąż to zniewaga dla starego ojca!... Upagniony Dżemmal przedstawił się spięty w mundurze moskiewskim, obrzucony jak arlekin aksebantami, z czubem na głowie, gdyby kogut rozniewany.

Widząc to Opaczyński, przeniknął myśl starca, a korzystając z jego wyjścia, zaprowadził ex-adjutanta do swego mieszkania, przebrał go w czerkieskę, kazał mu ogolić głowę i nakrył ją turbanem.

Opaczyński przyjmował Frederiksa w swych komnatach — ukazał mu zbiór rzadkich starożytności kaukazkich, indyjskich i chińskich, które posiadał.

Do odprowadzenia Frederiksa wraz z jego towarzyszem, jakoteż pozostałych jeszcze osób należących do rodziny i świty księżniczek, naznaczono jak gdyby umyślnie eskortę wybraną z sotni polskiej.

Siedliśmy więc na nasze wierzchowce zdobne w czapraki z szalów tureckich i w galowe azyatyckie rżędy, brzęczące od srebrnych blaszek, i puściliśmy się z jeńcami w podróż aż do granicy rosyjskiej.

Przyznaję, że nie wybieraliśmy najkrótszej drogi, bo nas ba-
wiło ich towarzystwo.

Pan Frederiks, adjutant cesarski (urodzony z Górowskiej),
przejęty duchem północnej siedziby carskiej, był pyszny, udawał
odwagę, choć wcale nie potrzebował jej udawać...

Obeszło nas, ludzi wolnych, jego postępowanie i ów ton roz-
kazująco-chełpliwej mowy, który dziwnie nieprzyjemnie brzmiał
nam w uszach.

Z drugiej strony, cywilizacya nakazywała mu galanterią dla
dam, w której, o ile się zdawało, chciał się szczególnie odzna-
czyć.

Na przestanku, pragnąc im wyświadczyć niektóre grzeczno-
ści, zżymał się, że nikt z nas nie stał przed nim na usługi, wy-
ciągnięty jak struna po żołdaku.

— Co to za nieporządek — rzecze z przekąsem — że nikogo
nie mam na usługi?

Jednocześnie, odwróciwszy się do kobiet, dodał:

— Mesdames, je Vous demande pardon pour ces barbares!

— Kto najstarszy między wami? zawołał.

— Wszyscy jesteśmy młodzi! odpowiedziano.

— Kto między wami dowodzący?

— Jesteśmy równi.

— Kto tu oficerem u czarta?

— Wszyscy.

— A więc kto żołnierzem?

— Tylko oficer pokojowy, co nie walczył, nie może nazywać
się żołnierzem.

— Czy panowie (grzeczniej) nie chcecie mieć względu na
prawa gościnności i pozostać barbarzyńcami w mojem przeko-
naniu?

— Pułkowniku! — odezwał się mój przyjaciel G... czystą
francuzczyzną — Gościnność nakazuje wiele względem gości,
lecz niegrzeczność pozbawia prawa żądania od nas ze strony
pańskiej tego, co niewolnik jeno z przestachu pałek na skinie-
nie wykonywuje. Pod tem niebem, które widziało może rozwi-
jającą się kolebkę rodu ludzkiego, jesteśmy wszyscy braćmi —
jesteśmy równi — jesteśmy wolni!

Baron zmienił nagle pojęcie swoje o dzikich Czerkiesach i

zaczął obchodzić się z nami po koleżeńsku; my zaś odtąd uprzezdaliśmy się w usługach dla dam i dla niego.

Nastąpiła nie tylko zgoda ale i różne pogadanki tak z baronem jako i z paniami.

Zapytaliśmy, czy pozwolą uprzyjemnić sobie śpiewem pochód wśród posępnych wąwozów?

Uprzejmie o to proszono.

Tedy cały chór naszych zuchów zanucił kilka tęsknych śpiewek tatarskich, a na przysmak ucieliśmy:

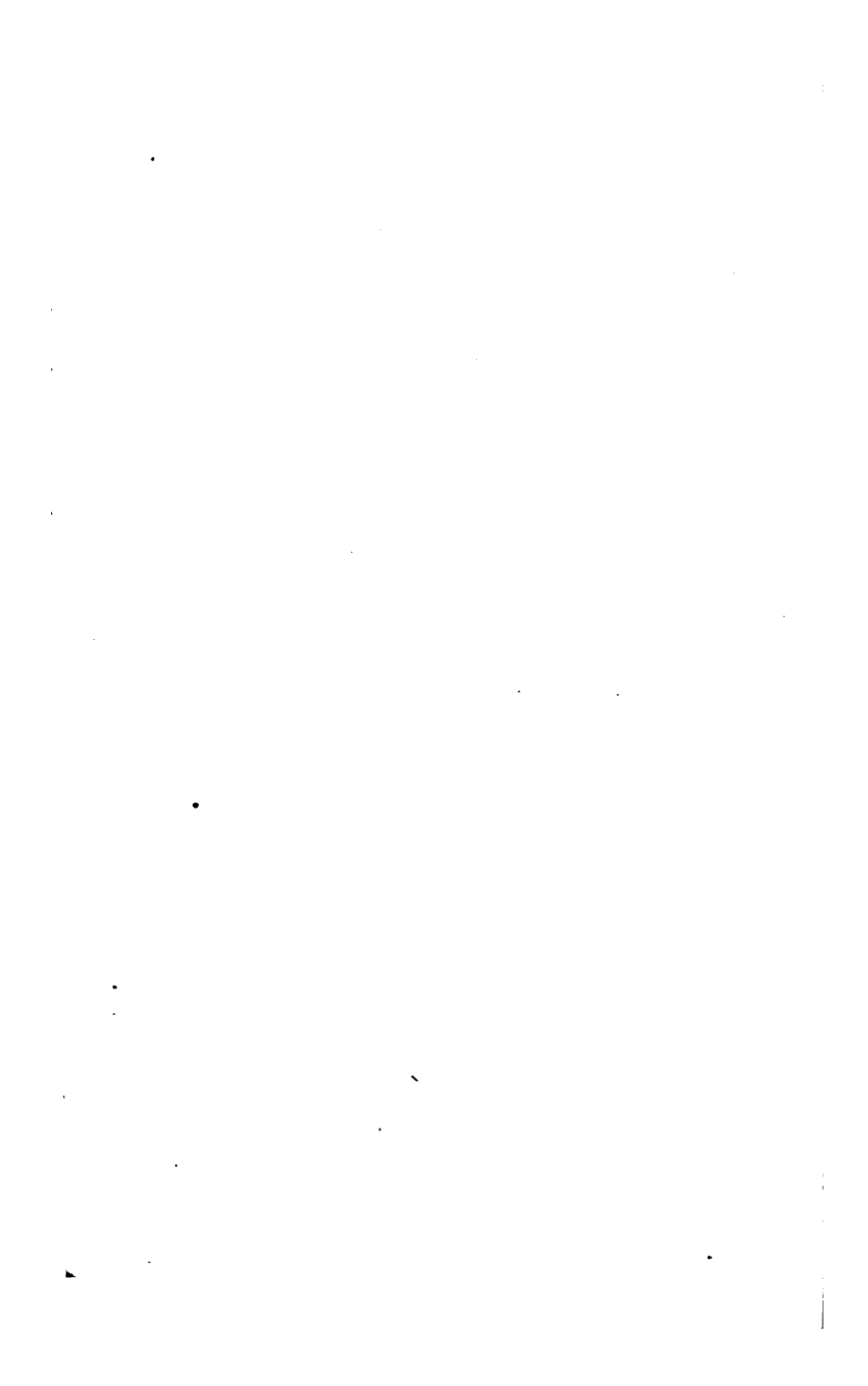
«Jeszcze Polska nie zginęła!» ...

Pustynia wtórowała nam wdzięcznie, jak gdyby nawet martwe żywiły kaukazkie poczuły rozrzewnienie wygnańców, i przyjmując w niem udział, protestowały przeciw Kainom rozćwiertowanej Polski.

— Jakaż to śliczna melodya! — rzekł wzruszony poseł do pań swoich.

«I Frederiks słuchał... coś się bardzo zdumiał,

«I chociaż Niemiec, głos prawdy zrozumiał.»



XIV.

UPADEK SZAMYLA. UDUSZENIE JEGO
SYNA.



XIV.

Młody Szamyl otrzymał wychowanie, jak mówiliśmy, w korpusie paziów w Petersburgu.

Kto zna ten zakład naukowy, przyzna, że nie ma on na celu głębokiej nauki, lecz powierzchowną ogładę i wszczepienie w młodzież zasad mających stworzyć wyborczego niewolnika.

Jeżeli gdzieindziej kuratorzy i wizytatorowie szkół moskiewskich powtarzają bezustannie: «Car nie potrzebuje mądrych lecz wiernych» — to tutaj słowa te nie zostały czczemi słowami, lecz jako zasada w czyn wprowadzona przelewały i przelewają po wszystkie czasy w wychowanców tego zakładu próżność, zarozumiałość i pychę przy poniżającej zależności w widokach osobistej kariery.

Gdy młodzian przyuczył się żyć w dostatku, opływać w rozrywki, wywyższać się nad jednych a uniażać przed drugimi, mówić po francuzku i po niemiecku, zgrabnie stąpać po ślizgich posadzkach; gdy przerobiono go na maszynę, na istotę bierną, bez zapachu, koloru i smaku; gdy mu w miejsce mózgu włożono gąbkę i nakładzono w nią ćwieków — edukacja jego jest skończoną.

Wydalają go wtedy z szlacheckiego zakładu i oddają w sterujące czynniki.

Wychowanie takie miało stępić wrodzone skłonności Dżemal-Eddina i wystrychnąć go na dworaka.

Niecne to było przedsięwzięcie i mozolna praca. W chłopcu drgała często żyłka góralska. Potrzeba było powoli tłumić

w nim zarody wyssane z mlekiem macierzyńskim. Lecz ponieważ najwyższy rozkaz wydany z góry orzekał: syn Szamyla ma się stać salonowym adjutantem, syn Szamyla stał się więc adjutantem.

Upewniają jednak, że, za otrzymaniem tej godności tracił jeszcze czas jakiś dziczyzną, dopóki frejliny i damy dworskie nie wzięły go pomiędzy siebie dla okrzesańia.

Upewniają, że gdy rozmawiał z którą z owych pięknych freilin i przesywał przenikliwym wzrokiem jej gorset, czuć o sobie dawał człowieka z lasu i mimowolnie nasuwał myśl o rękach i uszach oberżniętych przez Czerkiesów lub o rozbitej poczie na gościńcu.

Dżemmal dla uzupełnienia edukacji przeznaczony został do wojska.

Wcielono go do pułku ułanów.

Koczując z miejsca na miejsce, jak to czynią zwykle wojskowi, był z pułkiem swoim i w Królestwie Polskiem, stał kwaterą w miasteczku Łęczycy, grał w karty, pił, korki od szampanskawo pukały; słowem, niszczył zdrowie na hulaszczycich zabawach kawalera przy ostrogach.

I z czemże wrócił do ojczyzny po świetnem wychowaniu, które wspaniałomyślny monarcha w szczodroblowości swojej mu udzielił, jako wziętemu do niewoli, synowi swego przeciwnika w obronie własnego kraju?

Rząd każdego innego narodu byłby się bez wątpienia godniej wywiązał z podobnie delikatnego zadania — a przynajmniej nie zastosowałby był swego postępowania do systematycznego wynarodowienia i zepsucia przyszłego wodza Kaukazu.

Moskwa nie przewidziała, że, pomimo wszelkich jej zabiegów, pomimo moralnego zabójstwa Dżemmala, Szamyl nie zedzie bezpotomnie z powierzchni globu ziemskiego; bo każdy wielki mąż znajdzie swoich naśladowców, duchem bliżej z nim spowinowaconych, niżeli syn rodzony ale zmarnowany.

Syn ów nie mogąc dostać w aule rozpalających napitków, nie mogąc także znaleźć Prozerpiny, Wenery i Bachusów do urządzenia biesiad wedle swego gustu, ani też towarzysza do sztosu lub faraona, doświadczał trawiającej tęsknoty za ohydniemi nałogami życia.

Skromne, rycerskie, a sarowe obyczaje, poważne rozmowy z naibami i achuntami, nudziły nieboraka. Był obojętny i niezadowolony ze wszystkiego. Wzdychał, zwracając oblicze ku Rosyi, zamiast do księżycy. Uśmiechnął się na widok obrzędów religijnych i nazywał gwałami i przesadami to, do czego krewni jego i współobywatele cześć przywiązywali.

Nie dostawało tylko, aby odszczepieniec wszedł był do świątyni pańskiej i wobec ludu pobożnego zdeptał przykazania prawodawcy-proroka i urągał się z bóstwa! ...

Stary Szamyl widocznie był zmieniony i jakieś złowrózbe przecucie malowało się wyrazem głębokiego cierpienia na jego zżółklej twarzy o zawiedzionych policzkach.

Uczyniono jeszcze wyprawę, która choć dosyć pomyślnym uwieńczona skutkiem, prowadzoną wszakże już była z wysiłkiem trudnym do zatajenia.

Na domiar niepowodzenia stracił wódz w pierwszej potyczce swego ulubionego konia. Stratę tę uczuliśmy wszyscy, cośmy od tyłu lat przywykli widywać pogromcę, ukochanego naczelnika zwyciężającego na nim. Był on tak ścigły, że żaden inny mu nie wyrównał. Jeden tylko murzyn potrafił chodzić około niego, pielęgnował go też z całą troskliwością.

Do owego konia przywiązana była pewna przepowiednia.

Osmutniał nasz aul; Szamyl, oddany nabożeństwu i pokucie, więcej się nie pokazywał, a osłabiony duch męztwa i poświęcenia między Czerkiesami dogorywać zaczął.

Pewnego feralnego wieczora jeszcze muezyn stojący na krążganku minaretu nie skończył wezwania na modlitwę swoim głośnym, tęsknym, przeciągłym, płaczącym «Hillalli hałłała!», a słońce zaledwie schylające się na spoczynek rzucało krwawe promienie, gdy głucha pogłoska rozeszła się szybko między nami, iż coś straszego zaszło w pałacu Szamyla.

Noc przepędziliśmy w niepewności i oczekiwaniu.

Nazajtrz dopiero dowiedzieliśmy się, że wódz odkrywszy zamiary zdradzieckie w synie, który zniósł się tajemnie z Moskwą, zmuszony został ukarać śmiercią wyrodne dziecko.

Jakie było ostatnie momenta zająć pomiędzy nimi — nie wiadomo. Lecz to pewna, że uduszonego kazał związać w worek i rzucić do podziemnego lochu na wieczną niepamięć, 1858 r.

Ze drżeniem słuchaliśmy tych okropnych nowin.

Od tego też czasu niczyje usta nie ośmieliły się wymówić imienia Dżemmal-Eddina; tak, jak gdyby go nigdy na świecie nie było.

Dżuwani i pasterze nie przechodzili więcej ścieżką około lochu — pokryły ją manowce, zarośla i chrapy. Każdy uchodził ztamtąd, jak od zapowietrzonego miejsca.

I na tem miejscu pojawiły się strachy.

I stało się smutniej i puściej w naszym aule. Jakaś złowroga cisza okryła go żalobą.

Jednego razu, jeszcze na twardem posłaniu leżeli rycerze, gdy strażę dały ognia i krzyk «Giaury! giaury! giaury!» rozległ się po koszarach.

Każdy z nas chwycił za oręż i wypadł na dziedziniec; a wtedy, nie dowierając z początku własnym oczom, ujrzeliśmy z przerażeniem najoczywistszą zdradę.

Pobliskie wzgórze, po którem wijąca się dróżka prowadziła do ukrytej bramy aulu, błyszczało od bagnatów moskiewskich, w bramie zaś nieprzyjaciel już w bębny uderzył.

Nie było czasu do stracenia.

Opaczyński walki nie zwlekał. «Jeżeli zwyciężą — wołał — hańba nas czeka; uderzmy razem na wroga!»

Tu nastąpiła rozpaczliwa utarczka.

Trzask kruszących się pocisków, huk bębnow, wycia i wrzaski, posoka i pył pobojowiska wśród pożaru, przedstawiały szermierkę piekielną; a szczegóły zapasów prawie niepodobne do opisanja.

Opaczyński wpada do Szamyla i zastaje go zgarbionego, zimnego, ponurego — z oczyma w jeden punkt utkwionemi. Było to jakieś śmiertelne zamyślenie się.

Opaczyński błaga go i zaklina, żeby siadł na koń co prędzej i wyruszył z nami. Nie pozostawało nic innego jak przerznąć się przez bagnety żołdackie.

Lecz o dziwy!... Szamyl powstawszy, aby uściskać wiernego towarzysza broni, podziękował mu za dowody wieloletniej przyjaźni, a ostatnie wyrazy jego oznajmiły rozkaz pozostawienia go samego na śmierć lub niewolę, wszystkim innym ratowania się ucieczką.

Opaczyński zdumiał. Nie dowierzając temu, co usłyszał z ust proroka, błagał go jeszcze wszelkimi sposobami, aby pozostał za zbawienną radą, lecz próżne były przedstawienia.

Szamył ponowił swój rozkaz.

Tymczasem w podwrocu odbywała się rzeź zapamiętała.

Już pierzchnęli Czerkiesi, gdy nasza sotnia nie mogąc znieść podobnego zgorzsenia, nie mogąc opuścić naczelnego wodza w chwili najwyższego niebezpieczeństwa, znagliła Opaczyńskiego do udania się jeszcze raz, pod gradem kul, do Szamyła z zapewnieniem, że i z pośród tych larw piekielnych wydobyć go jest gotowa, byle tylko na to dozwolił: że zginiemy wszyscy lub szczęśliwie żywcem go uprowadzimy.

Opaczyński tą razą zastał proroka klęczącego, jak posąg brązowy, na środku jednego z dziedzińców, z rękoma na piersiach złożonemi, zatopionego w uroczystem rozpamiętywaniu, z twarzą ku Mekce obróconą.

Na kilkukrotne nalegania nie otrzymał żadnej odpowiedzi, prócz stanowczo polecającego znaku ręką, aby się oddalił i nie przeszkadzał modlitwie.

Opaczyński przybiegłszy do nas zadyszany zwiastował niezszczęsną wieść i dał hasło do boju.

Rzuciliśmy się tedy jak lwy rozjuzzone na szeregi moskiewskie. Kindzały nasze i jatagany świszcząc ścinały bagnety jak szparagi. Siekąc wrogów na prawo i na lewo torowaliśmy sobie między nimi przesmyk. Padały łby wkute w mosiężne kołpaki, o pierś naszą roztrącała się zajadłość dziczy.

Przerznawszy się przez pierwszą linię, świeże przed sobą napotkaliśmy zastępy.

Jak piorun, co prując chmury, uderza nareście w miejsce oznaczone, z taką gwałtownością wyskakując okopceni dymem z jednych plutonów wpadaliśmy na drugie.

Waleczni nasi Ukraińcy zginęli najpierwsi po dokonanych cudach odwagi.

Oprócz tej straty i kilkunastu poległych z nas koroniarzy, pozostały hufiec wyrwał się na wolność wśród ogólnego popłochu.

Oswobodziliśmy też z sobą kilka Lezginiek, dzielnych amazonek, które umiały dosiedzieć na bystrych biegunach.

Owa brązowa, oniemiała, nieruchoma postać króla Kaukazu, składającego w ostatniej godzinie dziękczynną ofiarę Najwyższemu za długoletnie błogosławieństwo — owa korna, bolejąca postać najnieszcześniejszego ojca godnego lepszego losu, ojca dzieciobójcy, dotąd tkwi mi w wyobraźni.

Wkorzeniona wiara w mieszkańcach Wschodu w przeznaczenie zwichnęła ostatecznie, złamała tę olbrzymią postać.

Kibitka do Kaługi i niewola, wraz z pozostałym synem, były wynikiem poddania się bez szemrania obrońcy niepodległych górali (1859).

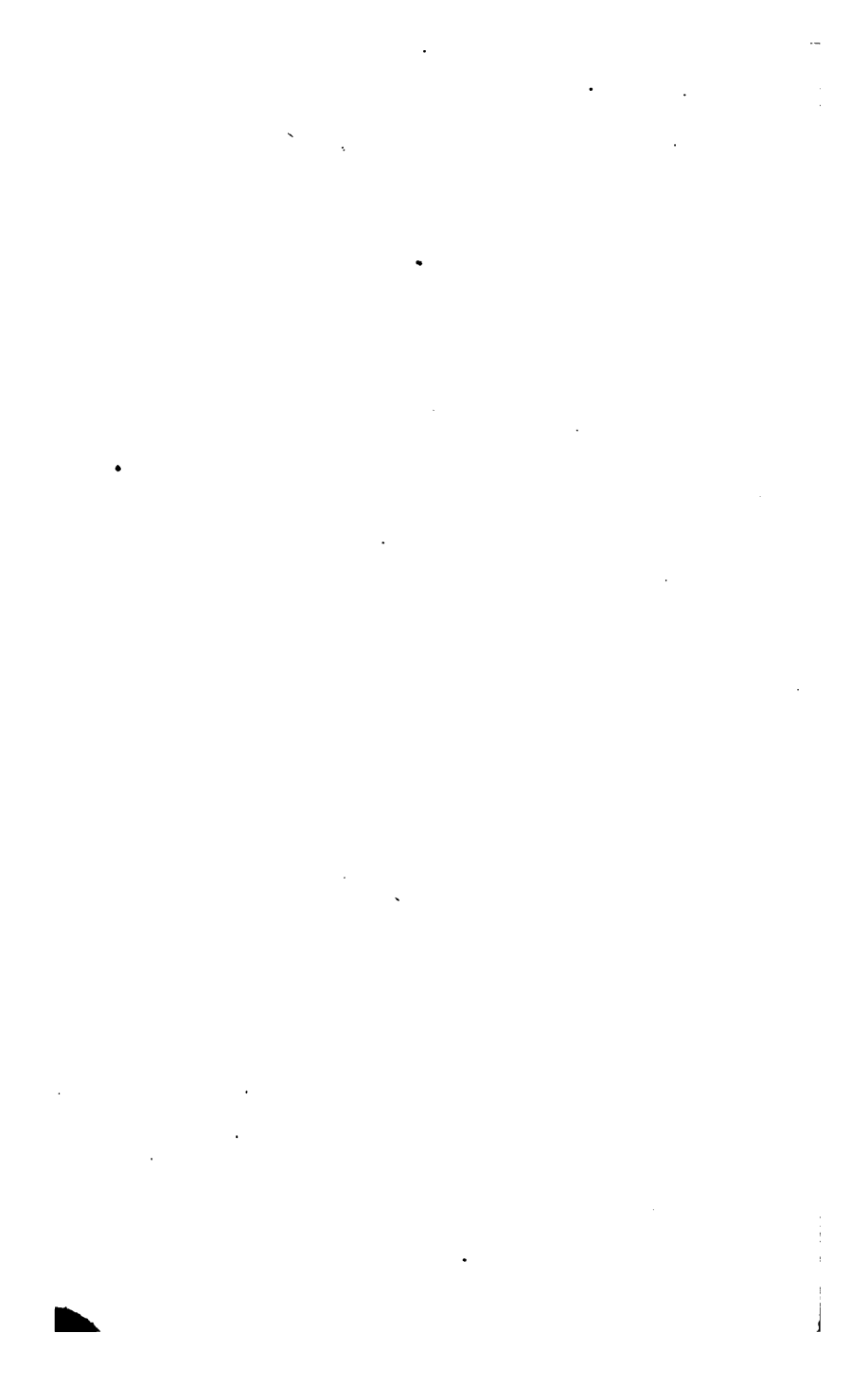
W dniach upadku swojego za zbyt wiele on cierpiał, za zbyt dotkliwe były rany serca jego, aby nie miał być wyrzec z rezygnacją: Niech się dzieje wola Boża!

Pomimo to, miecz rycerza-patryarchy przekazany został następcom.

Z prochów jego powstaną kiedyś mściciele!

XV.

NA TUŁACTWIE. CZCICIELE OGNIĄ.



XV.

— Ty śpisz Jusufie? ...

— Jażbym miał spać? — nie do snu nam, mój bracie... choć miałem zamrużone oczy, różne układałem plany.

— I cóż postanowiłeś? ... Gdzie się teraz udać? zgubiliśmy drogę, zabłąkaliśmy się zupełnie, noc żadnego nie ma względu na nas... w którą stronę się obrócić? ...

— Ku Polsce, mój przyjacielu! ku Polsce!

— Droga daleka i śliska.

— Prawda, do tego nieszczęścia chłoszczą nas na wszystkie strony, zostaliśmy sami, jak opuszczone pieńki na pustyni; z tem wszystkim, naprzód! w imię Opatrzności na los szczęścia! ... Ostatnie schronienie zawistne losy nam wydarły, nie mamy więc już nic do stracenia, a wszystko do zyskania...

Taką prowadziłem rozmowę z moim najlepszym przyjacielem G... wyrwawszy się z nim razem z kleszczy nieprzyjaciół.

Tymczasem szumiał wiatr gwałtowny nad grzbietami wyniosłych gór, kołysał stuletnie dęby i miotał słabym płomykiem ognia, około którego spoczywaliśmy zmęczeni wraz z naszymi czworonogimi towarzyszami.

Wpatrując się w mego pocziwego kiuleka kłęzącego przy mnie, zdało mi się dostrzedz łzę w jego oku. Był nieco draśnięty bagnetem w szyję, zdjąłem chustkę i obwiązałem mu bliźnę.

O! życie ludzkie — jakżeś ty utkańe? co w tobie dziwów,

co cudów jest w tobie? Bóg nas jeszcze raz wybawił od widocznej śmierci.

Rzeczywiście, ocalenie nasze przypisać można chyba cudowi. Jak rozproszone stado ptaków, które pod gradem z ołowiu rozlatują się w różne strony, tak nasza sotnia polska zmuszoną była, chroniąc się przed ściganiem i naciskiem wrogów, rozstawionych na licznych punktach, rozproszyć się na tułactwie.

Ptaki przynajmniej uleciawszy pod inne niebo, znajdują tam swobodę; zwabiwszy się zaś głosem opiekuńczej natury, znowu żyją spółem na nieznanach niwach, a czyste krynice zaspokajają ich pragnienie.

My zaś, ludzie, ileż to napotykamy zawał, jakże długo stać musimy po cierniach i głogach, zanim zbliżymy się do świętego źródła pragnień naszych?! Częstokroć, po pielgrzymce niemal całego żywota, przed zawarciem powiek, zdrój ten widzimy jeszcze zdala przed sobą jakby mamidło, zjawisko majaka. Ostatnie natężamy siły, by dojść do niego, lecz w miarę zbliżania się naszego ucieka przed nami!

Polacy rozproszeni na Kaukazie przez jakieś ciężkie na nich losów zagniewanie; ciż sami, którzy tak długo walczyli na drodze dobrowolnego ofiarstwa, pozazdrościli w końcu mężnym ziomkom, którzy usnęli na wieki w mogiłach.

— Uchodźmy bracie z tych miejsc nieszczęsnych, uchodźmy co prędzej! — rzekłem do przyjaciela — gdyby można dostać się do Baki, tam znaleźlibyśmy zapewne punkt oparcia i chwilowy przytułek.

Po kilku dobach niebezpiecznej wędrówki, acz o mało nie byliśmy nie raz pochwyconymi, udało nam się przecież przybyć bez przypadku pod mury tego miasta.

Jedną z ciasnych uliczek wjechaliśmy do niego.

Nastąpiła zmiana dekoracyi.

Oko me zachwycone zostało wspaniałym gmachem dawnego zamku Sunguli-hana, ostatniego bohatera i niezależnego władcy tego kraju. Zamek panuje dumnie nad całą okolicą, choć część jego spoczywa już w rumowiskach.

Ale jakże przykrego podróży za zbliżeniem się tam doznaje wrażenia!

Przez różnoszybne okna wyglądały ostrzyżone, wąsate głowy

z ponsowemi kołnierzami — pałac hański zamieniony został na koszary żołdackie, arsenał i składy wojenne. Znikła czystość, świetność i powaga niegdyś szczęśliwego przybytku.

Plugastwo nasuwało się przed oczy na wstępie i woń dziegciu uderzała powonienie.

Zamek ten można przyrównać do postaci głośnego imienia potomka, cuchnącego zepsuciem poniżającego despotyzmu.

Jakkolwiek mogliśmy uchodzić w mieście za Czerkiesów mirnych, których mnóstwo napotykaliliśmy na placach, atoli z obawy, aby rana kiuleka nie wzbudziła podejrzania policyi, zostawiliśmy go wraz z pobratymcem jego rasy w zajezdnym tatarskim domu na przedmieściu Baki, a sami pieszo udaliśmy się w głąb miasta.

Mówiąc płynnie językiem perskim, podstąpiłem śmiało do stających gromadką kilku mieszczan muzułmaninów i zapytałem na chybił trafił, czyliby nam nie wskazali domu od wielu lat zamieszkałego w tem mieście Abduł-Bega?

Uczynili to chętnie.

Proszę sobie wystawić mą radość, gdy dowiedziałem się, że istotnie były rotmistrz czerkieski, stający niegdyś główną kwaterą w Polsce, pozostał w swej rodzinnej Bace od czasu przybycia mego z nim na Kaukaz.

Koilem w sobie wzruszenie, żeby w obec nieznanych mieszkańców nie rzucić się koledze na szyję, aby mu zwiastować, iż jeszcześmy nie utonęli w zamęcie wypadków, bo nam pozostała kotwica w osobie dawnego znajomego z Sochaczewa.

Doprowadzono nas do schludnej willi z płaskim dachem o zielonych okienicach. Krzaki wyszukanych kwiatów wyrastających z wazonów balkonu spadały w spłotach aż do ziemi; ogródek otoczony sztachetami z frontu mieścił szpaler z jaśminów, mirtów i cyprysów; fontanna lubieżnie szemrała; dwa kotki igrały przed furtą.

Wszedłszy do sieni, dostrzegłem w tylnym podworcu kobietę w tatarskiej oponczy siedzącą na ławie opartej o gołębnik z dwójgiem dzieci, z których starsze miało minę podlotka.

Domyślając się, że musi to być gospodyni domu, dawna moja przyjaciółka, Andzia Szymańska, z którą zapoznałem czytelnika w pierwszym rozdziale tego opowiadania, zwróciłem się

do niej z powitaniem; lecz jakież było me zdziwienie, gdy niewiasta zasłoniła się woalem?

Miałaby to być inna, co zastąpiła po śmierci Andzi jej miejsce? ...

Nagle okrzyk wydobywający się z pod zasłony wywiódł mnie z błędu. Poznałem głos Andzi, będąc przez nią poznany. Zbliżyłem się, chwyciła mnie z ukontentowaniem za rękę, przedstawiłem jej mego przyjaciela, mowa perska między nami przeszła na polską, po kilku grzecznościach Andzia wprowadziła nas do pokoju męża swego.

Abduła-Beg przyjął nas z całą serdecznością. Podstarzał się znacznie, ale nie przestał kochać Polaków. Przywiązanie jego do małżonki i do dzieci było widoczne. Jedna rzecz, która mi się nie spodobała, była owa nieszczęsna zasłona pokrywająca główkę blondynki Warszawianki przez cały czas naszej rozmowy.

Przypomniałem sobie z boleścią o Libii i Fatymie, a myśl o nich zatruwała mi przyjemność obcowania w nowem towarzystwie.

Abduła-Beg, jakkolwiek poddany rosyjski, uczuł klęskę, która dotknęła Kaukaz w osobie Szamyla. Wypytywał nas o najdrobniejsze szczegóły ostatniego oblężenia, a podczas opowiadania smutno potrząsał głową.

Widząc nas bez przytułku, nie tylko ofiarował gościnę w swoim domu, ale i rozciągnął nad nami opiekę zupełną.

Zauważyłem, że sumienie mu wyrzucało uwiezienie mnie podstępem z kraju rodzinnego.

Rozlokowaliśmy się po żołniersku, dni zaś całe i wieczory zaledwie nam wystarczały do zwierzania się z przygód wzajemnych.

Wśród częstych narad, co nam dalej robić wypada, głos doświadczonego ex-rotmistrza był przeważnym. Radził on, abyśmy nic nie przedsiębrali czas jakiś, dopóki rzeczy się nie wyjaśnią po ostatnich wypadkach; nadto, abyśmy nie zdradzali naszego charakteru i w obec obcych osób odgrywali rolę istnych mirnych Czerkiesów. Co też uczyniliśmy.

Towarzystwo i gawędy z kilkoma oficerami zamieszkałymi w Bace, którzy odbyli wraz z Abduł-Begiem kampanią wę-

gierską w r. 1849 i stali załogą w Warszawie, Sochaczewie, Gombinie, mile mi przypominały ojczyste strony, ponad które myśl moja teraz częściej niż kiedykolwiek ulatała.

Pomimo tego unikałem naszych gości, ilekroć razy zasiadali do preferansa lub też tręcali kieliszkami, czego Abduła-Beg, noszący godność duchowną mułły, gorszący dawał przykład.

W postępowaniu ich w ogóle przebijało, że tak powiem, zarwanie manieri europejskiej, w łączności z rozmaitemi wadami, które i Polacy, niestety! w różnych czasach pod różnemi wpływami, przejmowali od Zachodu.

Trafny tego obrazek skreślił nam Wojciech Potocki w wierszu pod tytułem: «Do grających w karty.» Nie jest to satyra, lecz jęk duszy, piastujący miłość ojczyzny w tej samej czystości, jaką młodzian był przejęty, gdy porwany z grona kochających go kolegów i uwieziony na Kaukaz, zmuszony w nim był zostawać aż do chwili dosłużenia się stopnia pułkownika i tytułu rządcy kraju Imertyńców.

W poezjach jego widać natchnienie, a więcej jeszcze głęboki sąd i znajomość ludzi nabyta wśród licznych zawodów życia i podczas długiego pustelnicstwa na Wschodzie.

Dla czegoż wielu innych cnotliwych i znakomitych mężów rozumu i serca, gdy możność im dozwoliła, nie powracali z obczyzny do kraju dla przyspieszenia w nim rozwoju postępowego na podstawie zdrowych zasad, dojrzałości politycznej, na której głównie nam zbywało?...

Byłż to z powodu zwątpienia w pomyślny skutek pod ciśnieniem berlem? Byłżeto brak zaufania w siebie samych?

Tymczasem zgnębione i zgnuśniałe umysły możnej braci szlachty zasypiały w dobrobycie i zmysłowości, zamiast stanąć jak namaszczeni posłannicy, jak wzór cnoty i oświaty dla narodu.

Niedołężne głowy postradały w ucisku głos i słuch razem. Głuche zostały na wołanie boże: «Czuwajcie! bo nie wiecie dnia ani godziny»... głuche na wszechstronne krzyki: Obudźcie się! pojednajcie się z ludem pracującym w pocie czoła, wychowujcie na zacnych obywateli dzieci wasze, dając im z siebie dobry przykład!

Pozostały szkółki włościańskie w zaniedbaniu, pozostało wszystko jak było...

Przygrywała balowa muzyka szczebiotaniu francuskiemu, kołysała drażnione zbytkiem namiętności. Zebrał się poczet sędziów z samolubów i pasożytów, i ochrzcił cierpiących współbraci pogardliwym mianem demagogów. Tymczasem nad areopagiem gromadziły się chmury...

Lecz wróćmy do Czerkiesów.

Zachowali oni szczególny stosunek polityczny względem nas. Marzą, że przyjdzie on czas, gdzie tylko wolny od Urusa Wschód wyzwoli lud nadwiślański.

Czyżby przepowiednia Wernyhory przeniknęła i serca kaukazkie?...

Nie wyprzedzajmy wyroków Opatrzności. Nie ma nic niepodobnego w czasie niemającym granic. Wszystko się jakoś dziwnie kojarzy na tym padole. Przyszłość tylko okaże prawdziwość czy mylność powyższego prorocstwa...!

Boże, daj nam cierpliwość!

Anna Szymańska zajmowała pierwsze miejsce w domu. Dwie drugie żony Abdul-Bega były nie jako zmuszone do podległości względem niej. Spokój ich jednak nie znamionował zazdrości. Przewyższała je rozumem, dowcipem i wdziękiem. Jednostajne ustępy domowego życia, które można przyrównać do długich, nudnych antraktów melodramy, umiała zapełnić przyjemną i zajmującą rozmową. Wszyscy ją kochali, co się zbliżyli do niej. Chód jej posuwisty i każdy ruch ciała, uwydatniający się pewnem niedającym się wyrazić zaokrągleniem, oznajmiały dobry gust, delikatność i jakąś słodką miękkość, czyniącą nader miłą jej postać.

Andzia (gdyż tak przywykłem ją nazywać) jako odaliska przyjęła nietylko strój wschodni, ale i zastosowała się do zwyczajów miejscowych.

Wiadomo, że była ona niegdyś dosyć emancypowaną damą; nakazany zaś tu przez religią zwyczaj zasłaniania twarzy podniósł jej wstydlivość niewieścią i powagę do tego stopnia, że daremne były moje żartobliwe nalegania, aby starym zwyczajem

pozwoiliła zajrzeć sobie w szafirowe oczęta. Udało mi się parę razy obaczyć znane oblicze Warszawianki i zdumiony zostałem pięknoscią, jaką jaśniała wśród dobroczyнного południowego klimatu.

Muszę też oddać sprawiedliwosc rodaczce, że uwiedziona miłością dla Abdul-Bega uległa wpływowi, jaki człowiek urodziwy i wykształcony może wyrzeć na słabej istocie, nie zapomniała jednak o wierze przodków swoich i przywiązaniu do rodzinnej ziemi. Modliła się nie raz ze mną w ojczystym języku, a synków, których w tajemnicy przed mężem z wody ochrciła, nauczyła pacierza po polsku.

Abdul-Beg był wielce dla niej wyrozumiały, nie chcąc w kobiecie niszczyć tego, czego w inny sposób odbudowaćby nie był w stanie. Filozofia jego tolerowała zasady katolicyzmu zaszczone nawet w jego potomków; gdyż niewątpliwie przenikliwością wrodzoną ludziom wschodu odgadł wszystko. Powierzchnych form zmuszony był pilnować, w czem pojęła go Andzia najzupełniej.

W krótkim przeciągu czasu porobiłem znajomości z najznakomitszymi właścicielami w mieście, należącymi do poufnego kółka mego gospodarza i dobrodzieja. Pod płaszczykiem tych znajomości pobyt mój w Bace stał się bezpieczniejszym; na policyjnych kruczków poglądałem z góry — czapkowali przedemną na ulicy.

Naczelnik powiatu Bakińskiego był także Polak i często nas nawiedzał. Zwrócił również moją uwagę pewien kupiec tatarzyn, który poprzestał na jednej małżonce, — a chociaż bezdzietny, tak wysoko ją miłował, że upatrywał w niej wszelkie doskonałości i, pomimo zabiegów starych swatek, nie chciał się więcej żenić. Nie jedna panna żałowała, że nie mogła zwabić w swe sieci bogatego papę.

Był on krotofilny w swych pociesznych gawędach. «Jeżeli przeznaczeniem jest — mawiał — wybierać jedno z dwojga złego, lepsze mniejsze złe niż większe, — lepsza jedna żona niżli dwie razem.»

Rozmaite projekta przychodziły do głowy Abdul-Begowi. Chciał mnie wraz z kolegą ożenić i przeistoczyć nas na obywa-

teli żywej prowincyi, gdzie zamieszkiwał, obfitą roślinnością podobnej do raju utraconego.

W przechadzkach codziennych z przyjacielem G... zwiedzaliśmy wszystko, co było ciekawe do widzenia w mieście i w okolicach.

Baka jest sławną źródłami oleju skalnego, będącego głównym artykułem jej handlu zewnętrznego. Olej ten jest czysty jak woda; świece wyrabiane z niego są przezroczyste, podobne do alabastru, przewyższające taniością, jasnością i pięknnością najlepszą stearynę.

Oglądaliśmy posiadłości mieszczkańskie. Wygodny dom murowany z sadem, ogrodem warzywnym i polem ryżowym, około trzech włok rozległym, nie kosztuje tam więcej nad 300 rubli srebrem.

Nadmorskie okolice Baki są bardzo malownicze i mieszczą w sobie różne szczególności. Najgodniejszą uwagi z wielu względów jest bez zaprzeczenia świątynia pogańska, zburzona do reszty ostatniemi czasy przez żołdatów moskiewskich. Należy ona nadto do rzędu najciekawszych przedmiotów Kaukazu.

Odwieczna ta budowa z granitu szanowaną była przez tysiące lat od starożytnych Medów, Persów i ich następców. Chronili oni pamiątkę, która w niczem im nie przeszkadzała, drogą dla nich była, jako świadek upłynionych wieków.

Świątynia stała spokojnie na miejscu wulkanicznym, wydającym bezprzerwany płomień ze stu kraterów.

Ogień ten, uważany za święty, miał swoich czcicieli od niepamiętnych czasów.

Byli nimi Indyanie zamieszkujący w świątyni, zupełnie odzieleni od świata, wiodący życie pustelnicze. Gdy jedni wymierali, przybywali ich zastąpić drudzy.

Dzisiejsi ich następcy, w liczbie trzech, nie mogąc już w zwaliskach znaleźć schronienia, pokutnicy, pod gołym niebem pełnią obowiązek swego powołania.

Język ich jest niezrozumiały, a z nikim obcym rozmawiać nie lubią.

Postacie tych mężkich Westalek obnażone, ogorzałe, opiekle, nieruchome, strzegące dzień i noc wiekuistego ognia, zaklętych duchów przedstawiają widok. Jak skielety obciążone w parga-

minową skórę, przerażają swoim mistycznym, niezgłębnym obrzędem.

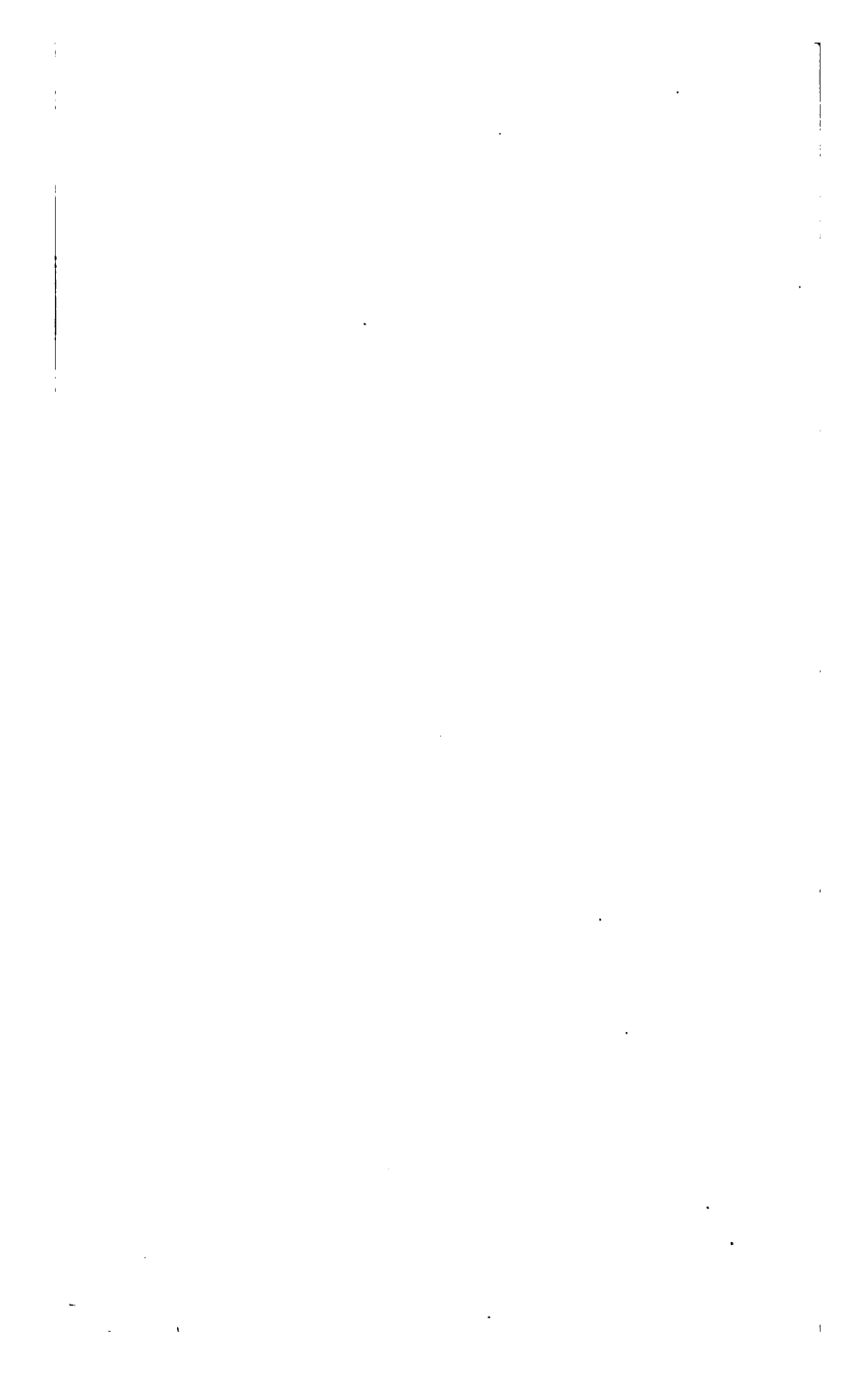
Pokarmem ich są zbierane zioła i jarzyny, odzież ciepłą żywność przez nich ubóstwioną, obroną i bogactwem milczenie.

Strzegąc biedaki owego wulkanicznego ognia (który i bez nichby nie zgasł) narazili się niejednokrotnie na napaść hord żołdackich plądrujących Kaukaz podczas najazdu.

Zdawało się zabobonnemu żołdactwu, że «staryki» niewątpliwie posiadają skarby ukryte w świątyni. Szukając ich, mury tego przybytku obrócili w gruzy, a nic nie znalazłszy, skrzywdzili niewinnych sekciarzy.

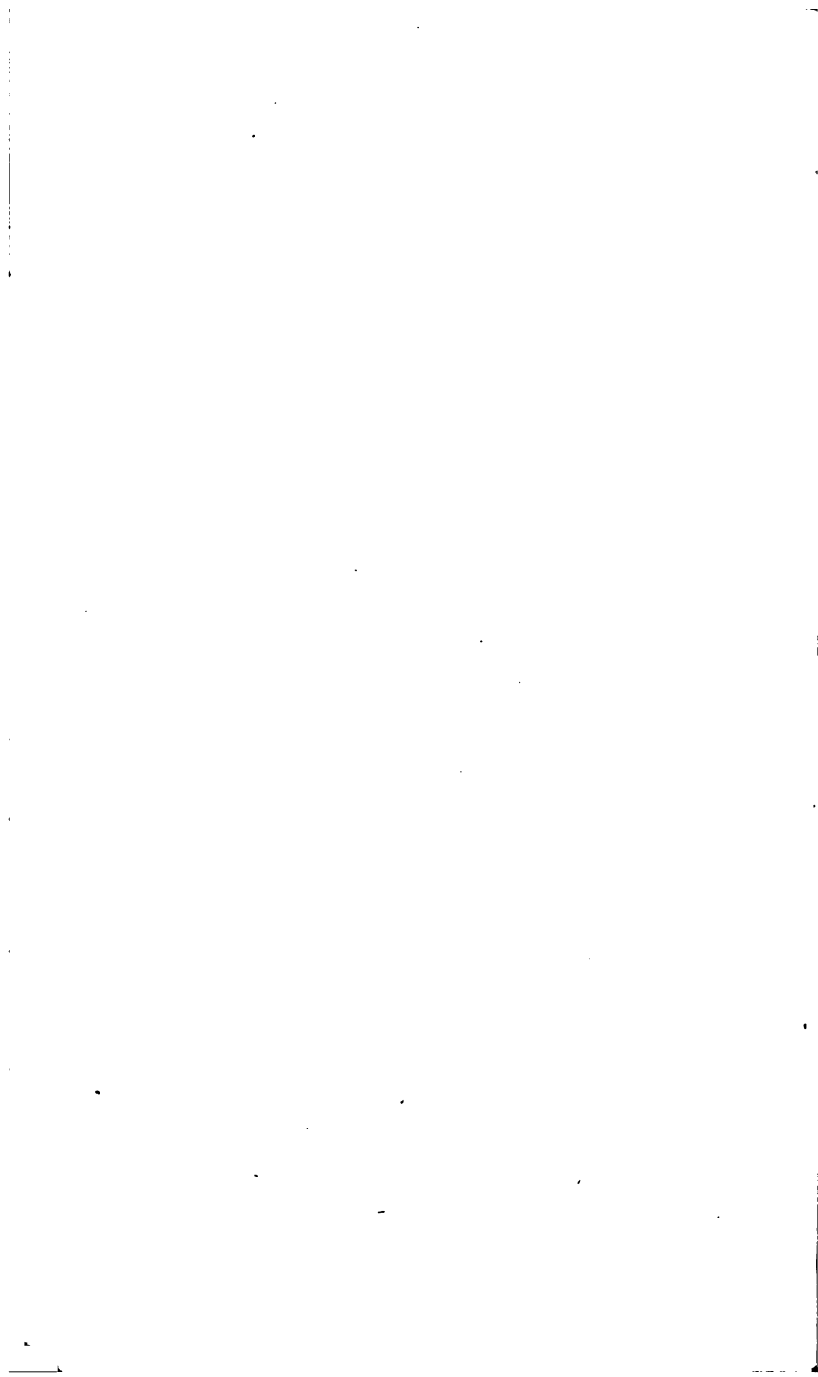
Upewniają, że owi dzisiejsi czciciele ognia są ostatnimi magami pozostałymi z sekty Zoroastra, którym się zdaje, że ogrzewają się przy tym samym dobroczynnym gazie, przy którym się niegdyś ich mistrz ogrzewał.

Wiadomo, że uczniowie Zoroastra, doznając w skutek reformy swego nauczyciela najokropniejszych prześladowań od starowierców braminów, a następnie i od machometan po zdobyciu Persyi przez Aleksandra W., schronili się w części ponad brzegi morza kaspijskiego, jako też do Bombay, gdzie byli przetegowani przez rząd angielski.



XVI.

POWIEŚĆ O SUGULI-HANIE. UWAGI NAD
POEZYĄ WSCHODNIĄ.



XVI.

Rzadko zdarzało mi się na Kaukazie słyszeć podanie, coby nosiło rzeczywisty charakter legendy. Powieść, którą przypadkowo usłyszałem w Bace, godniejszą jest pod tym względem uwagi, aniżeli wiele innych opowiadań czerkieskich.

Jestto tradycja o Sunguli-hanie.

Choć człowiek obarczony dolegliwościami, choć dusza jego cierpi, nie może przecież odwrócić ucha od wspomnień przeszłości: tyle one zwykle mają dla nas powabu!

Udawszy się z przyjacielem G... na przedmieście Baki, — ja, w celu odwiedzenia ranionego kiuleka, — on, aby obaczyć ulubioną klacz swoją zwaną bibisz — z wnijsciem do karczmy zjawił się przed nami derwisz, a powitawszy nas zwyczajnem «sellam allejkim!» zmusił do odpowiedzi «allejkim sellam!» a następnie do słuchania, co nam prawić zacznie.

Derwisz, ów koczujący piewca, postawił długi swój kij w kącie, wydobyl z płóciennej torby kilka owoców i częstował nas, mówiąc:

— Chcecie moi przyjaciele dowiedzieć się o tem, o czemście w życiu swoim nie słyszeli i o czem bardzo mało komu wiadomo? Złóżcie mi po srebrnym pieniążku, a odkryję wam tę wielką tajemnicę.

Wyznaję, że zrazu nieciekawym byłem słuchać owej wielkiej tajemnicy; myśl moja była zajęta czem innem; z resztą, nie miałem bynajmniej ochoty tracić pieniędzy na dowiedzenie się jakiej cudownej powiastki, odgrzewanej ze starych ksiązek

arabskich pozostałych po upadku Kalifów, lub też jakiego na prędce skomponowanego kłamstwa, w czem derwisze celują. Już wstawiałem, aby odejść, gdy brzęk dwuzłotówki rzucony hojną ręką mego przyjaciela na talerzyk podany przez derwisza, zatrzymał mnie w karczmie.

Derwisz skłoniwszy się, rozpoczął w te słowa :

«Była gwiazda, która jasno i uroczco świeciła, dopóki na czystym niebios sklepieniu spoczywała. Przeleciała drogi niebieskich obszarów i zachciała jaśnieć na ziemi, jak jaśniała na niebie.

«Lecz czy widzieliście kiedy spadające gwiazdy? Stają się one błędnymi ognikami, skoro dotkną bagnistej kałuży...

«Był człowiek urodziwy, rozumny i mężny, który zdradzał nadziemską wielkość swoją blaskiem dwóch gwiazd tryskających promienie mądrości, gdyby snopy słoneczne, z pod wyniosłego i szlachetnego czoła.

«Baka zawdzięcza mu ostatnie chwile niepodległości, a świat podziwia w nim postać, która okryła w dziejach wieńcem chwały bohaterów Kaukazu.

«Kiedy to miało miejsce? — nie potrzebuję wam mówić. Wielkie czyny i znakomite zdarzenia obejmują jak wieczność, chwile następujących po sobie pokoleń rodu ludzkiego.

«Posłuchajcie dalej bracia moi :

«Skwar słońca dopiekał na pustyni, osuszał zwiędłe latorośle, źródła i strumienie, podobnie jak boleść wysusza przed zgonem łzę konającej z zawiedzionej miłości dziewicy...

«Uragan, duszący i zabójczy wichrzyciel, rozpoczął swe harce. Toczyły się kłęby gorącego piasku za uciekającą karawaną, piętrzyła się sucha nawałnica piekielnej zawiei.

«Ile sił starczyło w koniach, wielbłądach i wędrowcach, wydobywali je z siebie dla wspólnego ratunku. Grzęźli po piaszczystym oceanie, krew przyskała z nozdrzy zwierzęcych, a z ust jeźdźców wydobywały się błagalne wzywania litości Allaha...

«Z rozdętym uraganem pędził na wyscigi rycerz zaklęty.

«Jego skrzydlaty rumak zdał się na wolę wiatrów. Niczem były dla niego wędzidła. Przebijał lotem parzącej kurzawy chmury, gryząc je wściekłymi zębami.

«Nieszczęśliwy rycerz, skazany na tułactwo, na próżno wzy-

wał śmierci. Rumak chrapał i mruczał: tobie potępieńcowi umrzeć nie wolno... nie zasłużyłeś na śmierć czynami żywota!

«Rycerz obejrzał się na przeszłość i zadrzał z przestrachu.

«Skrzydlaty koń nie folgował biegu.

«Część karawany pozostała w tyle, zziąjana jej reszta zdążyła jeszcze.

«Ale otóż omdlewająca białogłowa na wielbłądzie wypuszcza z wielkiego burnusa swoje niemowlę. Dziecię pada na ziemię, karawana rusza dalej. Allah wie, co się z nią stało. Znikła w odmętach tumanu.

«Zakłęty rycerz schyla się z wysileniem, chwytając za pieluszki porzucone dziecko, tuli je do łona i wyprzedza wszystkich.

«Wpina w szatańskie boki bieguna ostrokończaste żelaza, przebiega niezmiernie przestrzenie; — ale dziecina słabnie mu w objęciach, spieczone wargi jej zamieniają się w węgiel.

«Rycerz nie miał krwi, nie miał łzy, ażeby nią otrzeźwić niemowlę. Glucha bezbrzeżna puszcza roztaczała się do koła. Nie widać było żadnej istoty ludzkiej, coby mogła przyjść w pomoc małutkiemu — nie było krynicy, w którejby mógł go zanurzyć zrozpaczony rycerz.

«Boleść targała jego wnętrzności.

«Wtem straszliwe jak huk gromów, przeraźliwsze niż łomot walącego się sklepienia, rozlegały się w dali odgłosy rozburzonych żywiołów, które zdawały się gruchotać w posadach.

«Potem ustały nagle świsty i wycia zawieruchy, cisza nastąpiła zupełna — uragan się udobruchał i do snu ukołysał.

«Krwawą luną gorzał zachód na niebie, lecz ostatni promyk słońca, żegnającego to morze bezwodne, miał pożegnać dziecko na zawsze, potępieńca zostawić bez nadziei...

«Niespodzianie napotyka on żałośnie ryczącą lwicę. Nurzała ona paszczę w rozpalonym piasku obok uduszonych swych szczeniąt.

«Z zachodzącym słońcem przeznaczeniem potępieńca było zapaść się w nieznane otchłanie na męki i katusze. Zmuszony powierzyć pustyni ofiarę, którą napróżno usiłował jej wydrzeć, naciągnął majdan i napiętą strzałę zwrócił ku lwicy.

«Rycerz i drapieżny zwierz spojrzeli sobie oko w oko.

Wzrok ich był piorunujący, groźny, jaskrawszy od błyskawicy, ostrzejszy od sztyletów.

«Lwica uległa potędze czarodziejskich oczów, a zwiesiwszy łeb, leniwo rozciągnęła się na płaszczyźnie. Wezbrane, przepelnone wymiona przejęły boleścią osieroconą samicę. Ryknęła jeszcze tak okropnie, że ziemia zadrżała, jęk gdyby od grzmotu.

«Wejrzenie zakłętego jeźdźca nie ustępowało jej, chroniąc od pożarcia dogorywające dziecię. Lecz o cuda! wiedzione ono instynktem podpełzło do piersi przybranej macochy, i kiedy słońce tonęło już gdzieś za krańcami świata, malec karmił się wyssanem mlekiem, a straszna macocha nabrawszy dobrego humoru, pieścizotliwie go lizała.

«Wtedy jeździec wydał okrzyk radości, rozstał się na zawsze ze złym duchem, swoim szatańskim biegunem, po latach stu pokuty pierwszy raz zapłakał — i dosyć było szczęścia dla niego! Łzy jego tworzące się z pozostałego ciała rozplynęły się w miryady kropeł wieczornej rosy, gdy kości unosiły sępy o złoconych dziubach, żeby je złożyć w grobie hadżich w Mekce.

«Ubiegło lat wiele od tej epoki.

«Chłopiec chowając się w pustyni ze lwami wyrósł na młodzieńca, siłą i mężstwem stał się olbrzymem okolicy. Był on niepokonanym dopóty, dopóki zgon lwicy, na której jeździł, ściganą przez rzeszę strzelców, nie wtrącił go do niewoli Arabów.

«Stary władzca Beduinów zdumiony widokiem niezwykłego jeńca, którego pojmał na łowach, obdarzył go wiedzą mało komu znaną, nazwał Sunguli-hanem i mianował szejkiem plemienia.

«Plemię to rozrodziło się i wydało wojowników, którzy w Persyi bogatej, gdzieś nad brzegami rzeki, zgromadzili hufce i ruszyli razem walczyć przeciw zastępom Urusów.

«Sunguli-han, doświadczony szejek Baki, z wysokości baszty zamczyska poglądał na czyny młodych bohaterów, wydawał rozkazy, kierował wojną; następnie witał swych wychowañców powracających zwycięzcami.

«Ale niestety, zazdrość ludzka niszczy często krwawą pracę zebrane owoce.

«Tak się na ten raz stało.

«Allah odmówił błogosławieństwa powaśnionym i skazał ich na zatrąę.

«Ten sam hetman, co z ramienia głównie-dowodzącego Sunguli-hana wiódł zbrojne szyki do boju, po dokonanych cudach waleczności chciał spocząć na zdobytych wawrzynach przez wypowiedzenie posłuszeństwa prawemu zwierzchnikowi.

«W zgorszonych tym przykładem hufcach nastąpiło rozdwojenie. Rozsypały się one radząc, co czynić wypada, gdy tymczasem Urus korzystając z nieładu, zagarnął wszystkich.

«Czy widzicie tę basztę? ... W niej to marzył niegdyś niezwyciężony szejik o wyzwoleniu Kaukazu. Sterczy ona dziś samotnie, jak piramida na mogile, jak umarły sztandar hetmańskiej dumy!

«Zdradzony Sunguli-han powrócił między dzikie zwierzęta i zginął bez wieści.»

Poezya wschodnia, nie obfita w legendy, zdruzgotana przez smutną rzeczywistość, upadająca pod obuchem przemocy, tworzy zazwyczaj dziwne, nadprzyrodzone, czarodziejskie światy, lecz jakże świetne i wspaniałe! Jak szatan Milтона, co jednym skrzydłem dotyka piekiel a drugim niebiosów, tak owa poezya jednoczy na ziemi otchłań cierpień z rajem; wprowadza na widownię piękne i zadziwiające istoty, które, chociaż należące do krainy duchów, pojawiają się między ludźmi, obcierają się o nich, żyją z niemi, kochają ich i działają przez ludzi dla ludzkości.

Trudno jest człowiekowi zpod ołowianego nieba północy ocenić należycie poemata wschodnie; prostota w nich rozlana dochodzi do naiwności dziecięcej, zwyczajna miłość zamienia się w namiętną, nienawiść w zemstę — a w tych ostatecznościach widać wszędzie naturę potężną, pierwotną, dziewiczą.

Nie można się dziwić, że muza takiej poezyi zamyka podwoje swej świątyni przed czcicielami arytmetyki, nieloicznymi sekciarzami loiki, słowem, przed owymi pseudo-mędrkami, co to są ani zimni ani gorący, lecz ckliwo letni — dla których błędnym rycerzem, najznakomitszym rycerzem XIX wieku jest... żandarm!

Nie wątpię, że gdyby się znalazł między nami marzyciel, coby kreślił obrazy współczesne na sposób wschodni, uśmiechano by się słuchając go, możeby nawet powiedziano, że ma bzika.

Jestto skutkiem przytępienia smaku, uczucia piękności, który zwykle cechuje czas tranzycji, przejścia z jednej epoki do drugiej, w jakim właśnie jesteśmy.

W dzisiejszym przedświcie odśpiewaliśmy hymn pogrzebowy na gruzach przeszłości, nie mogąc jeszcze wznieść nowej budowy z nagromadzonego stosu odwiecznych materiałów leżących odłogiem. Zzymamy się, napotykając ku temu przeszkody, a skarłowaciała wyobraźnia nasza, niezdolna stworzyć brylantowego pałacu, usuwa cuda, krąży po nad zgliszczami i opiewa ruiny.

Zkądinąd nawykli do życia sztucznego, oddaliwszy się od macierzyńskiej przyrody, nie postrzegamy w niej z łatwością tego, co prawdziwie lubujący ją synowie na pierwszy rzut oka widzą.

Nauczyliśmy się przytem najpiękniejsze dzieła stworzenia ważyć niejako na szali, kłaść, że tak powiem, w chemiczny tygielek i uwielbiać je w nagich rozczynach. Rajska sukienka uludy mało ma dla nas powabu.

Trudne zaiste zadanie artysty, przedstawiciela wieku niemającego wydatnych zarysów, wśród ścierających się tysiącznych opinii!...

Zamiast on wzmacniać zdrowemi pokarmami siły nasze, orzeźwiać wyobraźnię, rozwijać stronę duchową, zmuszony jest przedewszystkiem cucić omdlałych od znoju, jak ów lekarz, któremu gdy nie wystarczają balsamiczne wonności, zastępuje je wezykatoryami lub rozpalonem żelazem.

Lecz kto raz oddalił się na chwilę od ogniska terażniejszej cywilizacji, czyja stopa zabłądziła do kaukazkiego łądu, ten doznał błęgiego pokoju ducha, ukochał prostotę i poczuł poezją wschodnią.

Widzieć pasterski lud potomków Dżengishana koczujący na rozległym stepie ponad morzem Kaspijskiem, pośród zburzonych karawanserajów; mierzyć okiem niebotyczne skały Dagestanu, kryjówkę walecznych górali; słyszeć tentent dzwonek poruszanych przez wielbłądów postępujących poważnie po spie-

kłej murawie; spoczywać swobodnie w namiocie na widnokregu przedstawiającym obraz nieskończoności, wszechświata, po nad którym orły zataczają koła — a wszystko ujęte w olbrzymie ramy malowniczych okolic, o! jestto majestatyczna panorama, która nasuwa się nam przed oczy za każdym ze snu przebudzeniem...

XVII.

WIADOMOŚĆ O LOSIE LIBII. HANDEL NIE-
WOLNIKAMI. BAZAR W BACE.



XVII.

Derwisz, co nas zapoznał bliżej z bohaterem Kaukazu, Sunguli-hanem, należał do liczby tych ludzi, którzy się nie zrażają przeciwnościami. W całej jego powierzchowności przebijała się silna wola i pogarda niebezpieczeństwa. Był on z urodzenia Lezginem, — i nawet po upadku Szamyla roznosił propagandę szamyłowską w krajach muzułmańskich podbitych przez Moskwę.

Włos długi, srebrny, na piersi mu spływał; na powiastki jego zbiegały się dzieci, gromadzili ich ojcowie, starce, i młódź, która porzuciła zabawy rada usłyszeć derwisza, co wieku pamiętał początek, co obszedł w życiu i morza i kraje, przyniósł w zamian naukę za lata, i składał pieśni z dawniejszych pamiątek.

Przybył on niedawno z gór i wkrótkim czasie zjednął sobie słuchaczy.

Nie obeszło się jednak, aby nie zwrócił na się uwagi i politycy, która zaczynała go tropić. Powziąwszy ja o tem wiadomość na wieczorze u Abdul-Bega, pobiegłem szukać czcigodnego piewę, przestrzegłem, aby się miał na ostrożności i zaprosiłem go do siebie.

Abdul-Beg był ciekawy ostatnich zdarzeń. Dowiedzieliśmy się z przerażeniem, że po uwiezieniu do Kaługi Szamyla, Moskwa, korzystając z chwili, napadła jednocześnie z wysileniem na mnogie austry, a ogniem i mieczem w perzynę je obróciła.

— Czy — zapytałem — nie słyszeliście przypadkiem zacny staruszkę o rodzinie Lezgina Abbasa?

— Abbas, Abbas, dawny druh! ... już kilka miesięcy minęło, jak anioł Gabryel unosił go na skrzydłach do siódmego nieba.

— A jego rodzina? ...

— Młody Mustafa zginął wraz z innymi w obronie swego aulu.

— A Libia, Fatyma, Assya? ... Przebóg! co się z niemi stało? ...

— O losie Assyi i Fatymy, to tylko wiadomo, że znikły z aulu wraz z wielu innymi niewiastami... Libia zaś wolała ciało swoje zagrzebać w przepaści, niżeli je oddać na pastwę żołdactwu. Około ogrodu Abbasa znajduje się wawóz, którego dna ludzkie nie dojrzy oko, a ucho słyszy tam tylko łoskot rozbijającego się w ciemności potoku. Po zdobyciu aulu kilku żołnierzy postrzegłszy dziewicę kryjącą się w ogrodzie pobiegło ku niej. Nieszczęsna chroniąc się od napaści...

— Przystań, przestań, derwiszu! ... zawołałem — i pomimo rezygnacyi, którą uzbroilem się od dawna na wszystkie ciosy zawistnego losu, opowiadanie jego na wskroś mnie przeszyło.

Gdyby nie otaczające mnie kółko pocziwych ludzi, gdyby nie wysokie współczucie i poświęcenie się przyjaciela G..., tudzież męskie perswazyje Abduł-Bega, tkliwe pocieszania Andzi, mądre rady derwisza, który pojął stan mój, możebym był upadł pod ciężarem boleści.

Później rezygnacya moja była większą niż zwykle, ale też i większa niż kiedykolwiek obejmowała mnie melancholia i nie-pohamowana, niemal chorobliwa, żądza powrotu do Polski.

Po zgonie Libii, po zniknięciu Fatymy i mych najdroższych opiekunów i przyjaciół, cóż mogło mnie wiązać z opanowanym przez wrogów, zamienionym w spustoszony cmentarz Kaukazem, oprócz wspomnienia? ...

Taż sama Libia, na którą gdy patrzyłem, wzrok jej ożywiał się niewinnym, świętym zapalem; gdy słuchała mowy mojej, dusza jej tkwiła na mych ustach; gdy przywoływała mnie po imieniu, twarz jej jaśniała radością — ta sama Libia zagrzebana życiem w skalistych szczybach Kaukazu, po którym pozostał cień w sercu mojem!

Tak straszny uragan powala młodociane drzewo, wyniosły jego wierzchołek zgina nielitościwym zębem, tarza po ziemi odrosła okryte pączkami i kwieciami!

Dobroczyzna dłoń stawia podporę, zwolna prostuje zgnębioną roślinę i kilkokrotnem węzłem ustala jej trwałość.

Płacze obwisłymi gałązkami drzewina, utraciwszy wśród zamieci pierwotne zawiązki. Jedne z nich sponiewierane, zeschnęły, odcięto od niej; inne porwane burzą z ułomkami gałązek zaniezione zostały gdzieś w otchłań i pograżone w odmętach, a jako ślad swego istnienia zostawiły w rdzeniu łodygi głębokie rany, które deszcz z gradem jątrzy i omywa.

Miotane nową zawieruchą szamota się nieszczęsne drzewko, w boleści i rozpaczycy usiłuje zerwać pęta powstrzymujące je od upadku, pragnie, aby mocniejszy uragan wyrwał je nakoniec z posady i wtrącił w tę samą przepaść, gdzie listki jego błogich nadziei zatracone zostały. Skrzypi, rzuca się, wstrząsa, przywiązane do podpory — wreszcie zmordowane, z uciszeniem burzy staje się bezwładnem, osłupiałem, żyjącem o tyle, o ile jeszcze cierpieć może.

Wtedy boska przyroda rozciąga nad niem swą opiekę. Opatrzność przyszedłszy w pomoc, kładzie balsam uzdrawiający na jego blizny; — i oto drzewo zaczyna się znowu rozwijać, podnosić do jaśniejszego błękitu niebios, zielenieć i uśmiechać wdziękiem świeżości, woni i niewinnego odrodzenia.

Wiara! gdy Twórca natchnie tobą człowiecze jestestwo, przyjaźń i poświęcenie braterskie uleczy upadającego bliźniego. Nie zginie on w przepaściach rozpaczycy, nic złamie się na bezdrożach przeciwności, powstanie duchem, bo znajdzie podporę drzewka...

Oby te słów kilka, przypisane koledze G... przyjęte przez niego zostały, jako wieniec mej wdzięczności niezwiądłej wielu latami czasu!...

Oczekując sposobności najprędszego powrotu do Polski na łono rodziców, przechadzki nadmorskie w Bace były dla mnie pożadaną rozrywką po otrzymanych wstrząśnieniach...

Port miejski różny od przedmieścia przedstawiał widok.

Ruch, zgiełk, kramy, przekupnie, las masztów wyglądających z przystani, wszystko znamionowało, że handlarze założyli tam swoją siedzibę.

Wychowany u Lezginów, gdzie głównym warunkiem bytu człowieka jest koń, zamiłowany w nim, z przyjemnością zwiedzałem targowisko końskie. Przedstawia ono nader ożywiony obraz. Tu Grek w białej tunice rozprawia z Turkiem w zawoju, dalej Tatarzyn z Kacapem, Czerkies z Gruzinem — widać tam i żydka berdyczowskiego, jak na maskaradzie. Patrząc na nich, zdawałoby się, że zbratali się ogniwem miłości i zgody — gdzie tam! to tylko pieniądź kojarzy ich na jarmarku w jedną sprzężę, a jutro znowu za łby się pobiorą.

Turkomańcy o wklęsłych, oliwkowych policzkach z wystającymi kośćcami pod oczyma, o spłaszczonych nosach, czarnych, malutkich, bezustannie ruchomych oczach, wyglądających z połyskującej skóry (czysty typ mongolski!), odgrywają ważną rolę na bazarze Baki, jako handlarze hurtowni tabunów koni, które z łatwością i korzystnie spieniężają.

Turkomańcy ci są to korsarze z powołania. Mieniać się kupcami, zdobyte prawem chytrzejszego zwierzęta aż do Baki sprowadzają. Są oni dalecy od oszustwa, ale jako zawołani rabusie stają się niebezpiecznymi sąsiadami dla Persów. Wojna między nimi nie ustaje nigdy — raz zaczepna, ta znowu w odporną przechodzi. — Turkomańcy umieją zawsze kosztem Persów osiągnąć materialne korzyści.

Kradzież koni w krajach stepowych nie poczytuje się za grzech. Ludy w nich osiadłe celują w tej kradzieży.

Koń turkomański (ardamak) zdaje mi się być szczytem ideału tego zwierzęcia. Rosły i wysmukły, przyzwyczajony do łoju baraniego za pożywienie, może wytrzymać w biegu odległość mil kilkudziesięciu. Przy tem jest nadzwyczaj zwrotny i zręczny. Kształty jego ciała są zgrabne, muszkuły rozwinięte, a żyłki powlekające ciało znamionują wytrwałność i siłę. Noga sucha kończy się gładkiem a drobnym kopytem, które rzadko opatrują podkwa. Maść złoto-gniada, szerść miękka i lśniąca, włos grzywy delikatny, łeb i uszy małe, oko wielkie, pełne ognia, charakter żywy lecz łagodny, skoki sporsze od czerkieskich a nawet arabskich koni, cechują szlachetny ród *ardamaka*.

Nie było wypadku, aby udało się uciekającego w stepie na nim Turkomana dopędzić na perskim lub innej rasy rumaku.

Dagestan, obfitujący w stada dzikich koni, nie jest zapewne kolebką ich rodu. Turkiestan tak pod względem klimatu jako i bujnej paszy na równinach, odpowiada lepiej warunkom dotychczasowym wychowania końskiego.

Frymarka atoli ludźmi dostarcza znaczniejszych zysków handlarzom aniżeli końmi. Sprzedaż niewolników w Bace odbywa się na rozległą stopę z wiedzą władzy moskiewskiej, która w pewnych formach zewnętrznych stosuje się do praw międzynarodowych.

Handel niewolnikami jest tam publiczny, lecz ograniczony o tyle, że ten, kto kupił mężczyznę lub kobietę (za cenę od 50 do 100 rubli), nigdzie w środkowej Rosyi sprzedawać mu ich nie wolno.

Niewolnicy ci w ogóle nie doznają złego obchodzenia, częstokroć nawet zebrawszy własnym trudem lub przemysłem kwotę pieniężną wykupują się na wolność od swych posiadaczy.

Byłem raz świadkiem zajścia między niewolnikiem Arabem i Czerkiesem:

Arab wyciągał najspokojniej ze studni kubał napełniony wodą. W tem nadbiega Czerkies i rozkazuje, aby tę wodę wlał do jego wiadra. Arab zrobił napastnikowi uwagę, że nie jest jego sługą. Rozgniewany tem Czerkies chwycił za kańczug z za pasa i chciał nim upokorzyć murzyna. Ten dotknięty do żywego tak krzyczącą niespawiedliwością, nie widząc naprędce innego środka obrony, porywa ogromny kamień, i podnosi w górę w zamiarze strzaskania czaszki zuchwałemu przeciwnikowi.

Nie przypuszczałem, aby taka siła fizyczna mieściła się w człowieku, gdyż później trzech ludzi nie było w stanie unieść tego kamienia. Stąd przyszło mi na myśl, że nadużycie niewolnictwa może zgotować w społeczeństwie nieprzewidziane wstrząśnienia i zetrzeć głowy ciemiężców, czego ów Arab karawanowy chciał dać przykład.

Nadbiegający Czerkiesi pociągnęli za sobą zagrożonego współziomka... Arab długo jeszcze trzymał wyciągniętą rękę uzbrogoną zabójczym głazem, żyły wystąpiły mu po czarnej

skórce, wzrok zaiskrzał oburzeniem, a z pomiędzy białych jak kość słoniowa zębów wypadły kłatwy i bluźnierstwa.

Ten sam jednak niewolnik, jak się później dowiedziałem, był zazwyczaj cichym, łagodnym i bardzo przywiązanym do swego pana, który się z nim dobrze obchodził.

Oprócz targowiska na konie i ludzi, wielki bazar Baki obejmuje rzędy sklepów po obu stronach ulic, jakoteż kramiki przenoszone z miejsca na miejsce przez tragarzy. Na pierwszy rzut oka postrzega się, że bazar ów należy do dziedziny azjatyckiej, zmoskwiczonej cokolwiek, lecz która nigdy nie stanie się europejską.

Przekupnie noszący na głowach donicę z lodami, baraniami pierożkami, szyszlikami, wodą rozmąconą z miodem, zachęcają tam przechodniów do pokosztowania tych łakoci. Biegające kupczyki, wrzeszczą zachwalając swe towary. Przypominają oni żydków warszawskich przesuwających się na ulicach Miodowej i Senatorskiej, którzy, zaledwie przewiną się koło przechodnia, muszą mu wypowiedzieć, że mają różne fanty, perły, fałszywe brylanty, lornetki, łańcuszki, pachnidła, mydła, angielskie muchy, szczyryki, szuwaks, szczoteczki, i jeszcze coś więcej...

Kwartalni i czastne przystawy o argusowych ślepiach krążą po bazarze jak bociany na żerowisku. Potrącają i są potrącani.

Arystokracja tylko kupiecka jest wolną od szturchańców. Panie kupcowe, półtoraczne jejmoście, siedząc za kramem przed kipiącym samowarem, piją spokojnie czaj ze spodków od filiżanek; spoglądają pysznie, każda za swej sklepowej ramy, na szanowną jarmarkową publikę, jak gdyby się nie troszczyły o sprzedaż.

— Oto towar, weź go, jeśli ci się podoba, zapłać i idź z Bogiem; w przeciwnym razie obejdę się bez ciebie! — Są to słowa dające się wyczytać na ich twarzach.

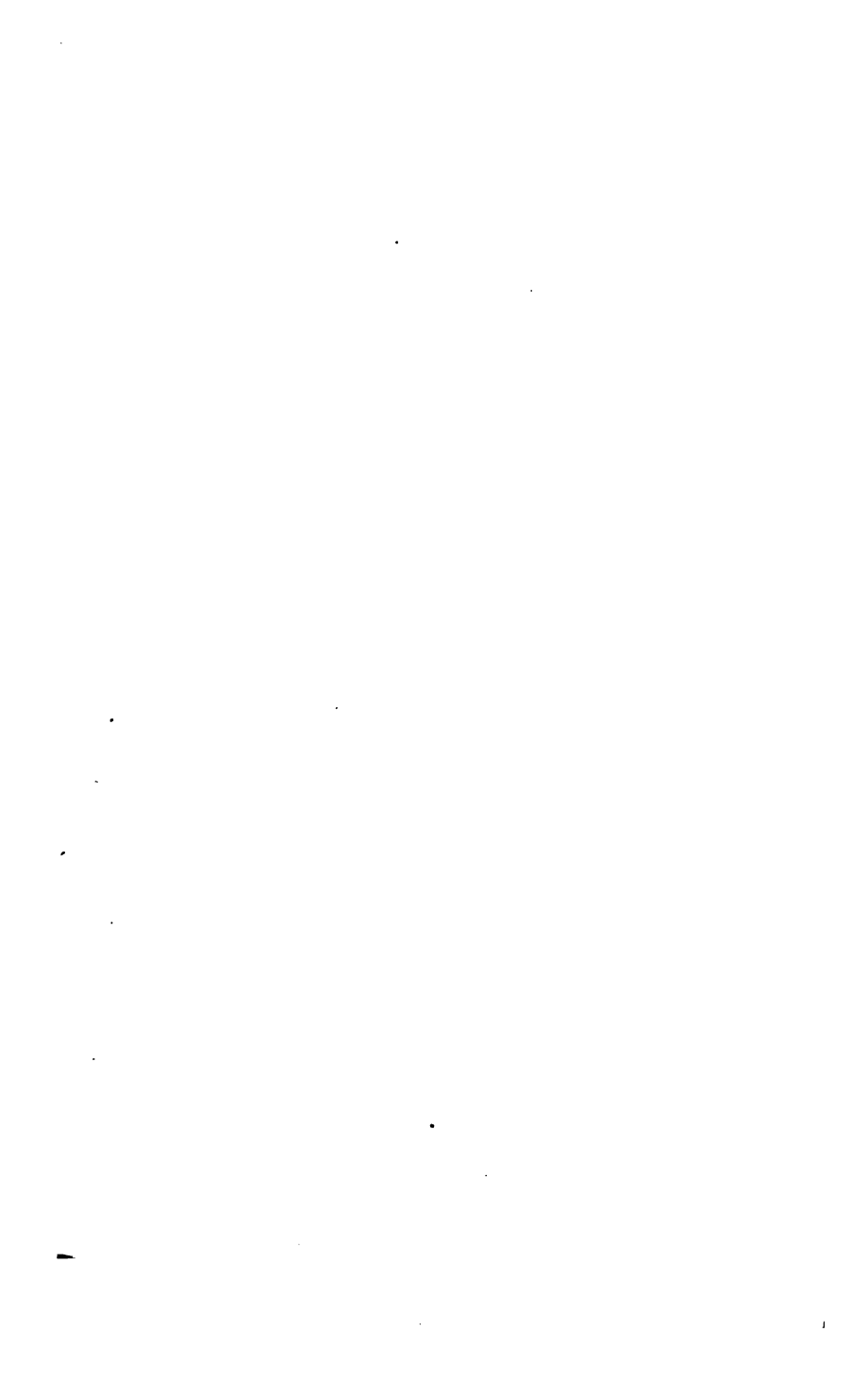
Szopy mieszczą w sobie wystawę kobierców perskich, kindżałów, siodeł, poduszek, lakierowanych kuferków, kudłatych czapek czerkieskich, lezgińskiego sukna, któregoby wilk nie przegryzł, pierścionków, bransoletek, naszyjników tatarskich złożonych z kilku sznurków nawleczonych srebrną monetą, itd.

Lecz cóż to za wrzawa odbywa się na środku bazaru? Ciżba

uliczników otoczyła czterech Czerkiesów przybyłych z gór na jarmark. Jeden z nich, chwyciwszy za uzdę konia jakiegoś jeźdźca, zatrzymał go na miejscu. Co chciał od niego? trudno było dosłyszeć. Nieznany jeździec straszliwemi zionął groźby; górale zagłuszyli go krzykiem. Napadnięty uderzył batogiem w głowę najbliższego przeciwnika, który omdlawszy od silnego razu, potoczył się na ziemię. Jeździec spiął rumaka ostrogą, rumak stanął dęba, ciekawi widzowie się rozpierchnęli, koń i jeździec puścili się cwałem ścigani przez Czerkiesów.

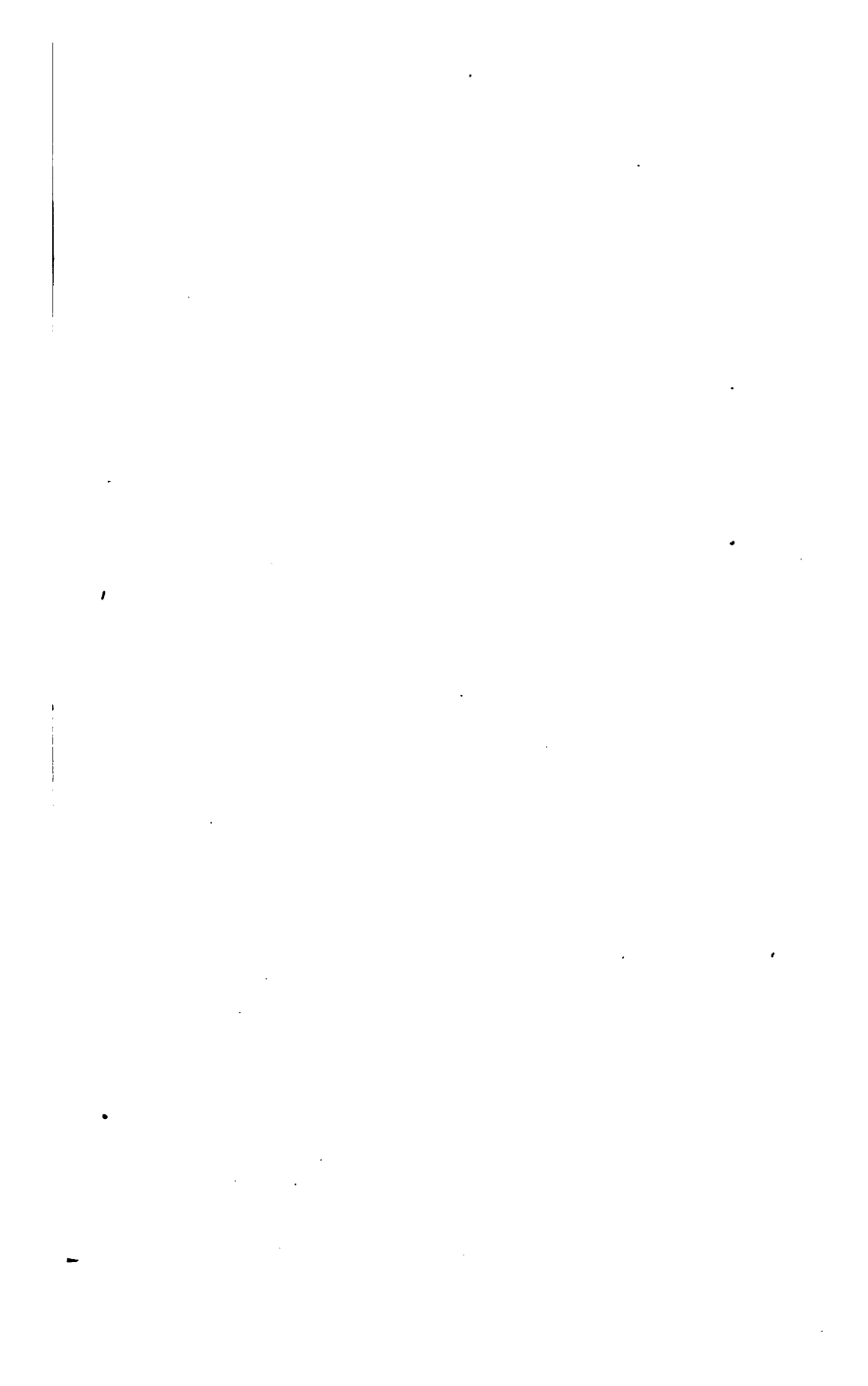
Co się z nimi stało? nikt się nie dowiadywał. Podobne gonitwy, bitwy i harce na batogi i noże są na Kaukazie tak powszechne, że nie tylko pospólstwo, ale i policja z obojętnością na nie patrzy.

Rzeczywiście, życie ludzkie na Kaukazie można nazwać mi-giem.



XVIII.

**POLACY W WĄWOZACH KREDOWYCH.
GÓRA ARARAT.**



XVIII.

Nowe wieści powzięte od Persów, zamieszkałych w Bace, zrzędziły mnie i memu przyjacielowi słodką nadzieję ujrzenia przed opuszczeniem Kaukazu kolegów naszych rozproszonych po ostatniej bitwie.

Dowiedzieliśmy się, że w okolicach okręgu Bakińskiego istniało od dawna towarzystwo Polaków, którzy z niedostępnych kryjówek niekiedy wychodzili na łowy, i że towarzystwo to właśnie po rozbiciu Szamyla powiększyło się i stało czynniejszym.

— Może też tam znajdziemy ojczulka Opaczyńskiego — rzekliśmy do siebie — i zamiar podróży w celu odszukania go postanowiliśmy niezwłocznie wprowadzić w wykonanie. Co się stało z Opaczyńskim, jego żonami, dziećmi i majątkiem, nie wiedzieliśmy na pewne, oprócz, że widziano go po przerżnięciu się naszej sotni z Keremzału wracającego napowrót w tamtą stronę. Niespokojni więc byliśmy, czy kulka moskiewskiego karabina nie skróciła dni naszego dowódcy, i daliśmy sobie słowo nie szczędzić wszelkich trudów w celu przekonania się stanowczo o jego losie.

Abduła-Beg udzielił nam przestróg niezbędnych do odbycia tej wycieczki; nadto kazał wyszukać swego dawnego sługę Alabendę (moją znajomość z Polski), który następnie będąc czas jakiś majtkiem na okręcie perskim, mógł nam wielce być użytecznym, jako obeznany doskonale z miejscowością i przesmykami kontrabandzistów.

Zjawił się Alabenda, przypomniał mnie sobie; — tak był zachwycony naszym projektem, iż obiecał, w razie gdyby się udało odkryć oddział polski w górach, zaciągnąć się chociaż nie młody, doń na ochotnika.

Alabenda udzielił nam bliższych szczegółów o owem stowarzyszeniu Polaków, a mianowicie: że jestto bractwo zbiegów z szeregów rosyjskich, że wszyscy należący do niego są bezżenni, żyją spólem dzieląc się równo łupami zdobytymi na Moskwie, na którą ciągle wyprawy czynią. Rząd moskiewski nazywał ich rozbójnikami, lecz Czerkiesi a nawet Persowie nie uważają ich za takich, albowiem zostają z miejscowymi w najlepszych stosunkach.

Opowiadał dalej, że jaskinie ich i kryjówki są w górach kredowych, że utrzymują branki moskiewskie, których na usługi swoje używają do czasu, lecz gdy zajądą one w stan poważny, wydalają je, dając pewien fundusz na drogę, do miast perskich, gdzie te wdowy następnie z pracy rąk dzieci swe wychowują. Wiedzą dobrze o miejscach pobytu tych dzieci, a skoro który z synów wzrośnie, stanie się zdolnym do jeżdżenia na koniu, porywają go podstępnie matce z niesłychaną zrucznością i wcielają do swego kółka.

Straszni to mają być dla Moskwy prześladowcy i mściciele. Dopuszczają się nawet barbarzyńskich okrucieństw, podobnie jak Czeczeńcy, na schwytanych popach, a zwłaszcza na kozakach, z których żadnemu życia nie darują. Stałe punkta ich oparcia pokryte są najgłębszą tajemnicą. Mieszkańcy sąsiednich okolic, jedni przez obawę, drudzy przez współczucie, nie śledzą ich i nie zdradzają.

Droga prowadząca do gór Kredowych, którąśmy przebywali, wydała nam się nader malowniczą.

Z jednej strony rozpościerał się łańcuch skał, których cienne wierzchołki zdawały się być wystrzyżone z papieru i przyklepione na tle błękitnem. Gdzieniedzie z pomiędzy tych skał wyglądały ruiny świątyń, fortyfikacyi i karawanserajów. Ze szczelin brunatnych murów wychylały się krzaki, krążyły jaskółki około gniazd przyklejonych do starożytnej płaskorzeźby.

Naprzeciwno, podobne do zwierciadła o niezmiernych rozmiarach, jaśniały spokojne wody Kaspijskiego jeziora. Wielkie

białe ptaki unosiły się ponad srebrzystą płaszczyznę, wróżąc niespokojnością lotu o nadchodzącej burzy. Statki rybackie o rozwiniętych na pół masztach zdążyły do brzegów.

Słońce dopiekało gwałtownie.

Lekki wietrzyk zaczął muskać liście i trawy na górach, marszczyć przezrocza toni morskich; wsunąwszy się między piaszczyste pagórki, podnosił słupy kurzawy i obracał nimi. Zasy pyłu niesionego z wysp pokryły nas wkrótce powłoką.

Z nadciągającymi cieniami wieczoru, chmury rozpostarły szary płaszcz na horyzoncie, wiatr się wzmacniał, wyjąc po pustych galeriach i sklepieniach zwaliak, uderzyły grzmoty, pionun narysował się ognistym gzygzakiem, lunęła nawałnica, staczały się z omszałych murów rumowiska i zdało się nam słyszeć szczęk oręża w podziemnych pieczarach, westchnienia duchów pokutujących w rozpadlinach, na które spienione fale od chwili do chwili rykiem odpowiadały.

Przypieszaliśmy biegu uchodząc przed nawałnicą, co nie chciała rozstać się z nami. Gwiazdy się pochowały na widnokręgu, z trudnością rozeznawaliśmy drogę, koniom było duszno, cokolwiek bądź, w pospiesznym pochodzie wyczerpywaliśmy z nich sił ostatki.

Z oddaleniem się od brzegu morskiego wjechawszy w szerokie wąwozy ciągnące się równoległe do rzeki Aras, podróż odbywaliśmy nieco wygodniej. Szczęściem, że ulewa nie długo trwała, bobyśmy w nich byli utonęli. Spady wód, śniegów i kamieni, są to znane trzy plagi Kaukazu.

Alabenda rozpatrzywszy się i zaciągnąwszy rady od przejeżdżającej karawany, zwrócił nasze kroki ku górze Ararat. Rzadko kiedy wstępowaliśmy do chat zamieszkałych, unikając podejrzania, na jakie zbytne wałęsanie się w tamtych stronach łatwo narazić nas mogło.

Przybyliśmy nakoniec do stóp owego historycznego Araratu; rozłożyliśmy się taborem, wypocząwszy zaś podczas noclegu, umyśliliśmy zrobić wycieczkę piechotą na wierzchołek.

Ararat nie należy do rzędu najwyższych gór Kaukazu — olbrzymem tam jest Elborus wysokości 17,000 stóp, odziany nigdy nietopniejącymi śnieżnicami i lodem, na którego szczycie nie pozostała jeszcze niczyja noga, oprócz bajecznych gryfów, przy

których orzeł wydaje się być tak mały jak koliber, i oprócz gołębia, co uleciawszy z arki Noego, złożył na nim gałązkę oliwną.

Przekazane nam zostało podanie o morzu bezbrzeżnym i o niezmiernym okręcie. Tem morzem był potop, tym okrętem arka. Na 2350 lat przed narodzeniem Chrystusa arka ta zatrzymała się na stałym lądzie Araratu — zawiązki przyszłego organicznego świata ocalone zostały.

Obecnie ludzie panują nad tym samym żywiołem, który niegdyś ród ich zniweczył.

Słyszając pogłoskę, jakoby na wierzchu Araratu znajdowały się szczątki nawy pozostawionej przez Noego, staraliśmy się koniecznie tam dostać, atoli pomimo wszystkich usiłowań nie osiągnęliśmy pożądanego skutku. Wyprawa na Ararat przedstawiła niepokonane trudności dla niezaopatrzonych w potrzebne ku temu przygotowania. Wierzchołka nawet dojrzeć nie mogliśmy, pokryty był kotarą gęstych chmur — pomimo tego, zdało mi się, zapewne złudzeniem wyobraźni, dostrzegać na nim coś, niby przedmiot wzbudzający tyle we mnie ciekawości.

Zszedłszy na dół, dostaliśmy się po długim kołowaniu do wąwozów kredowych, lecz nigdzie nie znaleźliśmy braci naszych. Podróż okazała się daremną, doznawaliśmy atoli wewnętrznego zadowolenia, uczyniwszy krok, który, jako prawi Polacy, winniśmy byli w tej okolicy uczynić.

Jako słaby ślad bytności naszej w górach kredowych i usiłowań zobaczenia się z rodakami, wyryłem na opoce w miejscach najwięcej widocznych napis: «Jusuf i G... szukali was!»

Po krótkiej naradzie postanowiliśmy udać się do Tyflisu, a ztamtąd do Polski. Nieprzewidziane przygody i niebezpieczeństwa dalekiej podróży nie zajmowały bynajmniej umysłu mego, gdyż lubo marzenie ujrzenia domowej strzechy przejmowało mnie słodką nadzieją...

Przybywszy szczęśliwie do stolicy Gruzji, Alabenda, któremu Tyflis był dobrze znanym, umieścił nas w części miasta osiedlonej wyłącznie przez Czerkiesów.

Nie posiadając żadnych zasobów, ogołoceni ze wszystkiego, ścigani losem, mając długą drogę przed sobą, zmuszeni zostaliśmy spieniężyć konie.

Rozstanie się moje z kiulekiem było tkliwe. Nic bole-

śniejszego nad ów moment, gdy uprowadzano go odemnie! Jak on się biedny prosił! ... To się spinał, kąsał, wierzgał, wydawał rżenia rozpaczy, tak mu żal było opuścić swego pana, z którym się razem wychował.

Już kiulek zniknął mi z oczu na zakręcie ulicy, obcą kierowany ręką, a jeszcze przypominał mi się odgłosem swych kopyt. Odgłos ten robił na mnie takie wrażenie, jakie czyni stuk bryły rzuconej na wieko od trumny grzebanego towarzysza broni.

Z Tyfisu umyśliliśmy udać się nad morze Czarne, do miasta Poti, następnie popłynąć do Odessy. Spotkaliśmy się z niektórymi rodakami, co podobnie jak my uchodzili od prześladowania Moskwy. Zasiągaliśmy u nich wiadomości o Opaczyńskim, lecz nic prawdopodobnego nie umieli o nim powiedzieć.

Widok ziomek, z którymi się dzieliło tyle trudów długoletniej wojaczki, wspomnienia różnych wypadków doświadczanych razem, oraz doznanych dowodów przyjaźni, złączyły nas w jedną spójnię.

Opuściliśmy gościnne domy Czerkiesów i przeszliśmy na kwaterę do współkolegów zajmujących okazały, najęty apartament pierwszego piętra przy jednej z głównych ulic Tyfisu.

Każdy Polak jest jaśnie wielmożnym Polakiem! ... Niechno mu się sposobność wydarzy poszumieć nieco, choćby za ostatnie grosiwo, niezawodnie jej niezaniecna. Koledzy nasi przeistoczywszy się, podobnie jaki i my, z kawalerzystów na piechurów, sprzedawszy swe konie, srebrne ozdoby rzędów i broni, zebrali dosyć znaczną sumę, i nuż hulać z bajaderkami! ...

Pocziwy Alabenda nie radził nam dzielić z nimi mieszkania, lecz uważając nas za mędrszych od siebie, dał sobą powodować i uwierzył, że to jest dla nas koniecznem; musiał jednak mieć jakieś złowróźbne przecucie, bo się bardzo zamyślił, a spod dwóch dzikich oczów stoczyły się dwie łzy zraszające ogorzale lića i utonęły w sumiastych wąsach, które naraz obiema rękami zakręcił.

Pożegnaliśmy się z nim w milczeniu pełnem wzruszenia.

W kilka godzin później zdybaliśmy go podchmielonego na frasunek. Siedział nieborak zaszępiony przed szynkiem na ła-

weczce, pijąc z kufelka wódkę zmieszaną z piwem. Każdy łyk zakąsał kiszonym ogórkiem. Potem, zwyczajem marynarzy zapalił fajkę na krótkim cybuszku, zaciągnął się dymem, i włożył prymkę do gęby.

Pijaństwo jest tak upowszechnione w Gruzji, że ten, kto najczęściej wychyla butelek i ma nos najczerwieńszy, zdobywa sobie przez to ува́żanie.

Gdy Car Mikołaj zwiedzał Tyflis, feldmarszałek Woroncow ukazał mu księcia Eristowa, mówiąc:

— Mam zaszczyt przedstawić Waszej Cesarskiej Mości najpierwszego pijaka w mieście!

Eristow skłonił się nisko zmrużywszy oczy ze skromności, uszczęśliwiony z rekomendacyi.

Skłonność do kieliszka, jakby epidemia jaka, zaraziła mych towarzyszy. Zmieniwszy suknie wojskowe czerkieskie na cywilne, zapuściwszy czuprynę na ogolonej głowie, uczęszczałem czasami z nimi do teatru i na inne zabawy, lecz nie mogłem nawiąknąć do wina krajowego.

Szczęście to dla mnie było wielkie, gdyż trunek osuszając piersi, wysuszał też powoli i ich kieszenie, popychał w dodatku na drogę rozpusty.

Nie dosyć na tem: byli między nami i tacy, którym się zdało, że skoro się jest podochoconym i ma się rubla do stracenia, wtedy wolno obić markiera kijem bilardowym i powybijać szyby.

Uchodziły czas jakiś bezkarnie te i tym podone awanturki, nareszcie zwróciły bacność policyi. Trzeba było porzucić cichaczem apartament pierwszego piętra i znowu ukrywać się w domach czerkieskich, aby nie być schwytanym; gdy zaś kryjówki nie zabezpieczały nas dostatecznie od przenikliwego węchu policyantów, wypadło uciekać z Tyflisu.

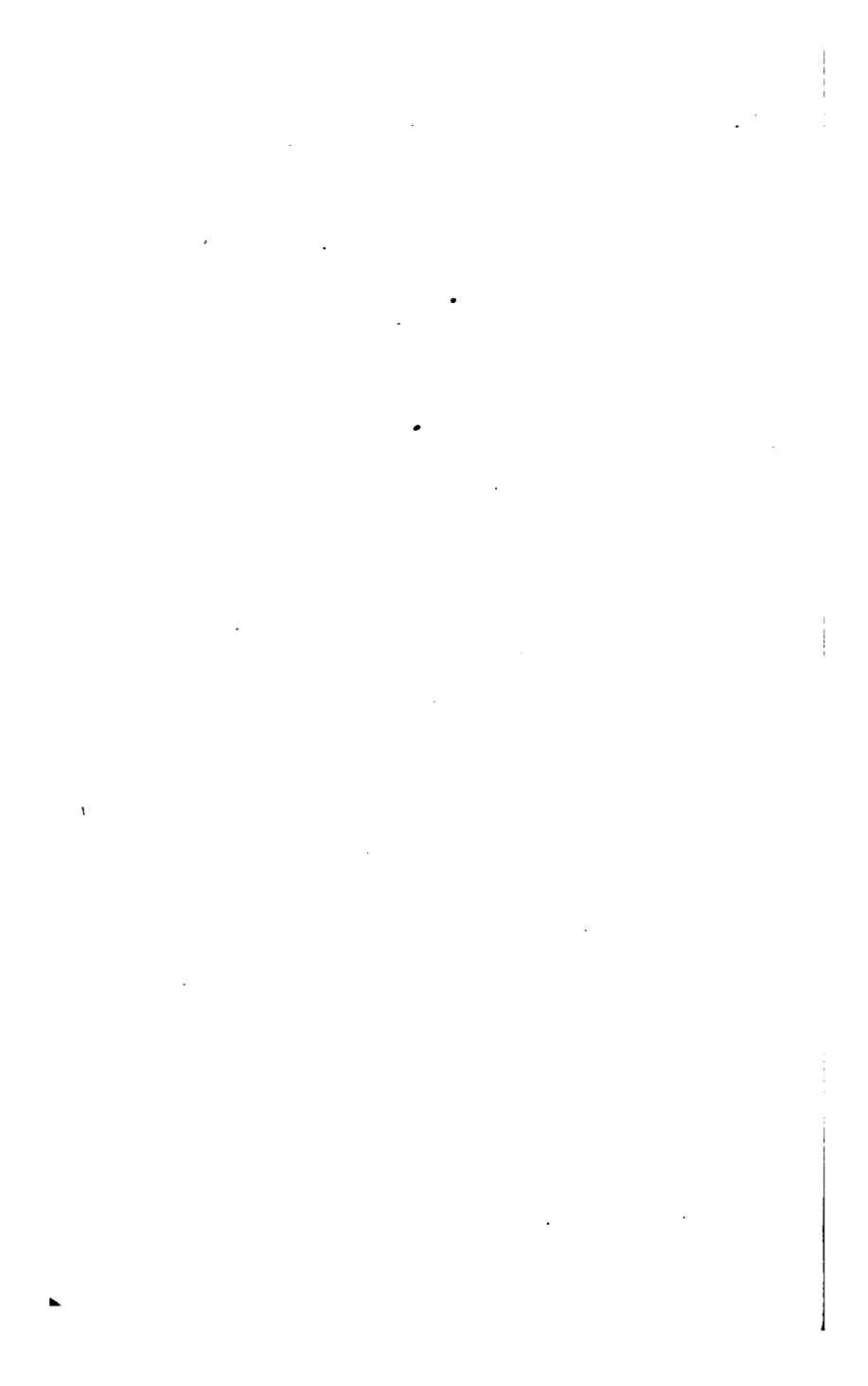
Tak też uczyniliśmy.

Pewnego poranku rozdzieliwszy się z kolegami, ja i przyjaciel G..., błędni tułacze, z tłumoczkami na plecach, zdążyliśmy ku Czarnemu morzu. Myśli moje były zbłąkane, przyszłość tak niepewna!...

Nieprzejrzysta mgła otoczyła nas do koła, gdyby szara kurtyna rozsuwająca się w miarę, jak postępowaliśmy naprzód.

Zostawiony losowi, modliłem się szczerze, chociaż modlitwa moja nie dałaby się słowami wyrazić; G... nucił piosenkę narodową...

Na drodze ku Poti rozmaitego doznawaliśmy przyjęcia, lecz nigdzie nie zagrażało nam niebezpieczeństwo, oprócz jednej osady, złożonej z kilku nędznych chat, gdzie osiedlony Moskal zapytał nas o paszporta. Był to dymisyonowany oficer z prawem noszenia munduru. Postrzegłszy, że drwiemy sobie z niego, chciał nas aresztować. Wydobyte błyszczące kindżały i wyszczerzone zęby po lezgińsku zbawiły nas od nieszczęścia niewoli. Moskal osłupiał, nie wiedząc, czy z ludźmi, czy z tygrysami ma do czynienia. Czmychnął do chałupy i zatrzasnął wrota za sobą.



XIX.

SEKTA SKOPCÓW. PODRÓŻ DO MORZA
CZARNEGO.



XIX.

Oprócz Syberyi i orenburskich stepów Kaukaz jest uprzywilejowanym kątem, gdzie car zwykł posyłać na wygnanie. W ostatnich atoli latach panowania Mikołaja I, mało tam posyłało na pokutę takich, co przestali uwielbiać carat, a natomiast tworzono kolonie z sekciarzy religijnych.

Wiadomo, że cerkiew prawosławna nie dopuszcza kazań, nauk ani katechizmu, podobnie jak rząd nie dopuszcza oświaty. Cerkiew, nie mając powagi, lęka się ewangelii i nie tłómaczy jej.

Otóż jedną z głównych przyczyn odszczepieństwa w Rosyi jest ciemnota pod względem religii. Każdy wyklada tam sobie wedle upodobania teksta pisma ś., wielu wyklada je błędnie: mnożą się tajemne towarzystwa owych wykładaczy, zyskują uczniów i wzrastają w liczne sekty.

Obecnie Rosya mieści w swem łonie siedemdziesiąt pięć sekt różnych, złożonych z odszczepieńców od grecko-rosyjskiej wiary, których ludność w ogóle dochodzi do dziewięciu milionów dusz, i dzięki sprzedajności urzędników coraz bardziej się zwiększa.

Fanatycy im więcej doznają prześladowania, tem większą tchną zawiścią do swych prześladowców. Obecny rząd, zamiast ich karać jak dawniej po ojcowsku: knutem, pręgierzem i piętnowaniem, a zawsze bezskutecznie, osadza ich na pewien czas w więzieniu; po skończonym zaś procesie skazuje na przesiedlenie.

Kaukaz przedstawia pod względem przesiedlenia tę dogodność, że składa się z napływowej mozaiki ludów rozmaitych wyznań, o różnych językach jak u wieży Babel, zwyczajach, obyczajach, charakterach, ubiorach, i nikt tam nie troszczy się o sekciarzy, nie zwraca na nich uwagi, a tem samem odjęta im jest sposobność szkodliwej propagandy, zwłaszcza między muzułmaninami.

Na drodze do miasta portowego Poti, położonego ponad brzegiem rzeki Riony, którą zamierzaliśmy dopłynąć do morza Czarnego, znajduje się kolonia zwana Maran, osiedlona przez Skopców zesłanych na posilenie.

Skopcy należą do najobrzydliwszej kasty w Rosyi.

Opierając się na słowach zapisanych u Matusza ś.: «Gdy oko cię gorszy, wyłup je»... «Gdy ręka cię gorszy, odetnij ją»... itd. przyjęli je literalnie, wprowadzili w czyn i stali się z a b ó j c a m i siebie samych.

Jako dobrowolni rzezańcy, kalecząc się w wieku dojrzałym, ponoszą ogromne cierpienia w przekonaniu, że to czynią z rozkazu bożego. Kobiety nie wyłączają się z tej reguły. Tracą one płodność w skutek pulardowania umyślnie na ten cel robionego.

Przykre czyni wrażenie widok kolonii Maran zamieszkałej przez kilkuset razem mężczyzn, co przestali być mężczyznami.

Te automata poruszające się zwolna, znamionują swą bezsilność przy ładowaniu statków mających być przez nich spławianemi z biegiem rzeki. Chciwość zysku zastępuje u nich pochoch do pracy. Zniewieściali, ruszają się przecież, aby coś zarobić.

Każdy z nich nosi szarą siermięgę aresztańską z numerem na plecach.

Cieńki głos piskliwy, zmarszczki i przedwczesna zgrzybiałość, cera pergaminowa, otyłość obwisła, chorobliwa, skóra, na której nie znać muszkułów, brak zarostu na twarzy, nadto wszystkie błędy kobiece bez przymiotów kobiecych, cechują Skopca.

Są przytem kłótlivi, lecz spory ich o lada co kończą się zwykle na samym tylko wrzasku. Jeżeli się zaś zdarzy, że jeden drugiego uderzy, pokrzywdzony zamiast się ująć za obrazę swego honoru, ucieka z płaczem i denuncjuje przeciwnika.

Nadewszystko są skąpi. Niektórzy z nich, pomimo szczer-

plego zarobku, dorabiają się z czasem kilku tysięcy rubli, które najczęściej nikną, z ich śmiercią zakopane poprzednio w ziemi.

Białogłowy Skopczyńie składają oddzielną kolonię. Nie byłoby celu łączyć razem szczątków dwóch płci rodzaju ludzkiego, które się same rozdzieliły.

Przewoźnicy barki, wiozącej mnie z przyjacielem G... do Poti, byli Skopcy dozorowani przez podoficera od inwalidów. Nieszczęśliwi ci prawie nic do siebie ani do podróżnych nie mówili, odpowiadali z niechęcią na ich pytania, niekiedy nawet wcale nie odpowiadali. Zobojętniali na wszystko, co ich otaczało, ze spuszczonei oczyma uderzali jednostajnie wiosłami o płaszczynę rzeki.

Nic ich nie jednoczyło z tym światem uroczym, — stali jedną nogą na jego powierzchni, a drugą w mogile.

Podróż wodą była nader urozmaiconą.

Dziewicze lasy zpośród wybrzeży zdawały się przesuwać obok nas; ciągle zmieniające się a zawsze świetne widoki okolic zachwycały oko. Dzikie kaczkki w niezmiernych stadach, ustępując z prądu, wyciągały złocisto-zielonawe szyjki aby się przypatrzeć podróżnym. Białe czaple na wysokich nogach, z piórami na głowach, przechadzały się poważnie nad brzegiem — szły z nami póki mogły, lecz wyprzedziliśmy je; — zwinny nurk czatujący na pieńku ściętego drzewa rzucał się co chwila do toni i powracał na miejsce zasadzki ze złapaną rybą, i tę natychmiast połykał.

Barka była napełnioną wędrowcami w różnobarwnych strojach. Im bliżej znajdowaliśmy się morza Czarnego, ubiory coraz jaskrawsze przybierały z ludźmi oczekującymi na przystankach. Kolor szkarłatny królował nad innymi. Zawoje Turków, kudłate, okrągłe czapki Czerkiesów, szpiczaste Gruzynów, przedstawiały kwiecistą pstrociznę.

Lecz najwydatniejszą postacią był pewien książę, prawdziwy typ Gruzyna. W Gruzji niemal wszyscy właściciele ziemscy są książętami, zrujnowanymi książętami.

Na ramieniu księcia siedział sokół z kapturkiem na ślepiach.

Książę grał na balabajce o trzech strunach i nucił piosenkę. Dwaj jego wasale w tunikach haftowanych srebrem siedzieli w kuczki i słuchali go, patrząc na niego. Ujął tę grupę w ramki, a byłby wschodni obrazek! ...

Piosenka odznaczała się tęskną, przeciągłą nutą, wszelakoż można było przysłuchiwać się jej całą godzinę z zajęciem i przyjemnością. Należała ona do rodzaju tych, któremi matki starają się usypiać kwilące dzieci, a które ludzi dojrzałych usposabiają do marzeń.

Po skończonej muzyce książę śnać był głodny, bo wyjął z kieszeni kawał bałyka (wędzonego jesiotra), a jeden z wasalów dobył chleba czarnego. Książę rozerwał bałyk palcami na trzy części — toż samo uczynił wasal z chlebem, i wszyscy trzej podzielili się tem skromnem śniadaniem.

Zgrabność w palcach, któremi wybornie zastępowali użytek noży i widelców, dowodziła, że byli wprawni do podobnej operacji.

Nieporządek i nieczystość należy także do malowniczości Wschodu.

Białe jak alabaster zęby Gruzynów stanowiły sprzeczność z czarnym razowym chlebem pożywanym przez nich.

Barka zatrzymała się u brzegu. Książę wyskoczył z niej z towarzyszami, aby się udać na polowanie. Wprawdzie brzeg był zarosły gęstemi krzakami podobnemi do żywego płotu, ale Gruzyni, dobywszy kindżałów, zrobili sobie przerebę i znikli nam z oczu.

Barka żeglowała dalej.

Niezdługo zawróciła się ona w lewo na zakręcie rzeki i wpłynęła z nami do kanału. Ponad kanałem wiązały się gałęzie drzew rozłożystych i formowały szpaler.

Potem znowu ujrzeliśmy się na rzece, lecz już przy jej szerokiem ujściu — po prawej i po lewej stronie rozciągały się bagna, pokryte wysoką trzcina.

Na tem miejscu Argonauci ukryli swe statki, gdy przybyli do Kolchidy dla zdobycia złotego runa.

Byliśmy w Kolchidzie! ...

Zdaleka ukazywało się kilkanaście szop czy domów drewnianych. Sądziłem, że to znowu jaka biedna kolonia wygnańców.

Przeciwnie, powiedziano nam, że to jest Poti, port i miasto założone przez ukaz Mikołaja I.

Za pół godziny wyrzucono z barki linę. Stojący na lądzie majtek pochwycił ją i przyciągnął barkę do lądu. Wysiedliśmy — a grzęznąc w błotnistym trzęsawisku, zaszargani po kolana, obaczyliśmy się nakoniec w ulicy sławnego miasta założonego przez ukaz Mikołaja I.

Port był bez przystani, a miasto bez mieszczan.

Nie pozostawało, jak zająć do oberży, aby się przedewszystkiem osuszyć przy kominie, a następnie posilić.

Ale gdzie tu szukać oberży? ...

Nie pewni czy w mieście istnieje jaka, zapytaliśmy o to chłopca na ulicy; ten nas zaprowadził przed dom o czterech oknach rozdzielonych w połowie drzwiami malowanymi na czerwono, ukazał je palcem i oddalił się w milczeniu; potem się zawrócił i zażądał, abysmy mu zapłacili pięć kopiejek za usługę.

W dwóch przednich oknach domu widać było wystawę mydła ułożonego w piramidę, tytoniu w liściach, cybuchów z wiśni kaukaskiej, suszonych śliwek, pierników, itd. — zakrawało to coś na korzenny sklepik. W dwóch pozostałych, błyszczały dwa mosiężne samowary — godło oberży.

Weszliśmy więc do niej.

Na wilgotnej, odzianej grubemi warstwami stwardniałego błota podłodze, biegały prosięta, kury, i bawiły się dzieci; u sufitu wisiały poprzyczepiane szynki, pęki świec łożowych, sadła, ryby solone, baranie skóry, tudzież wianki czosuku i cebuli. Kolchida obfitowała w serowe dostatki! ...

Zaduch w izbie był nieznośny.

Na środku, przy wielkim stole usadowiło się na ławach biesiadników grono różnej narodowości. Jedni pili wino krajowe, drudzy nieosłodzony czaj w prekusku, inni połykali dym z fajek i nie wypuszczali go z brzechwów.

Lecz więcej nad wszystko zajęli naszą uwagę dwaj ludzie rozmawiający z sobą w rogu izby, których z razu nie postrzegliśmy. Należeli oni do liczby naszych niegdyś towarzyszy broni. Co za spotkanie! Przebrani po ormiańsku zmierzali także do Odessy.

Aby nie obudzić na się czujności nieprzyjaciół mogących się

znajdować przy wielkim stole, powitaliśmy się na pozór dosyć obojętnie; wyszedłszy zaś na dziedziniec, umówiliśmy się razem odbywać dalszą podróż. Polacy, jak cyganie, zawsze lubią być razem! Koledzy mieli przy sobie zbytnią liczbę fałszywych paszportów, które nam bardzo były na rękę, bez nich bowiem nie przyjęłoby nas na statek.

Społem czas dosyć prędko nam upływał, chociaż w najnudniejszym kącie świata, jakim jest Poti.

Potrzeba było oczekiwać na morski statek przez parę tygodni w nieznośnym klimacie, gdzie tak łatwo nabyć żółtej febry, z powodu bagnistego położenia kraju.

Do tego ciągnęła niepogoda nas niepokoiła. Wielkie statki nie zatrzymywały się podczas śloty przed portem, do którego zbliżyć się nie mogły z powodu płytkości wody; barki zaś, przeznaczone do odstawiania podróży do wielkich statków, nie śmiały wyruszyć z przystani.

Samo przez się rozumie się, że nic ciekawego w nowo założonej miejscinie ani w jego okolicach do zwidzenia nie było; oprócz morza gubiącego się w przestrzeni, jakoteż smętnego jeziora Poti, które powstało, jak twierdzą, w skutek zapadnięcia się miasta greckiego Phasis przez trzęsienie ziemi.

Przypatrzyliśmy się też kobietom Mingrelskim, uchodzącym za najpiękniejsze na kuli ziemskiej. Nie rzadko pojawiają się między nimi blondynki z czarnymi, a brunetki z cudownymi niebieskimi oczyma o długich rzesach.

Zmuszonych słuchać gawęd karczemnych uderzyło nas pomiędzy innymi miejscowe podanie o popie i żołdatkach, datujące się z epoki podbicia części Mingrelji przez Moskwę. Dumas w swem dziele o Kaukazie o niem wspomina.

Rzecz tak się podobno miała:

— Żołdaci wkroczywszy do Mingrelji, rzucili się przede wszystkim, jak drapieżne kruki, na rabunek do obozu baszy. Był między nimi pop, rodzaj kapelana, który uczestnicząc w bitwie, chciał też mieć udział i w zdobyczy.

Traf zrządział, że wpadł on najpierwszy do namiotu skarbnika czy podskarbiego baszy. Stała tam szkatuła i klucz był w zamku.

Pop otworzył szkatułę — pełną złota.

Lecz była za ciężką, aby ją mógł unieść — zresztą widzia-
noby go, a nie pragnął być widzianym; — nuż tedy napychać
złotemi blaszkami kieszenie, kłaść je za pazuchę, w cholewy,
gdzie się tylko dało! ...

Wtem nadbiegli żołdaci.

— Do mnie tu, do mnie, przyjaciele! — wołał do nich —
patrzcie na te marności i bierzcie co wam się podoba! ... bo
moje dobra nie są z tego świata! ...

Ukazując skarb pogardliwie, zbliżał się tymczasem ku
drzwiom.

Ale tak rzadka bezinteresowność rozczuliła do łez żołdatów.

— Otóż to pop! — wykrzyknęli — niech żyje taki święty
batiuszka! ...

Że zaś lud moskiewski ma zwyczaj porywać i piastować
tego, kogo ukocha, chwycili więc batiuszkę, podnieśli do
góry i zaczęli nim potrząsać.

Nagle cud się zjawił — żołdaci zdumieli — pop zamienił się
w deszcz złocisty, kapiący im na głowy; — nuż go więc trząść
jeszcze bardziej! ...

Postrzegłszy atoli, że ów deszcz rześisty pochodzący nie
z popa, lecz z jego kieszeni, ustał nakoniec, rozczarowali się i
zrozumieli, że cud ograniczył się jedynie na oddaniu tego, co
pop zabrał bliźniemu. —

Wychodziliśmy często ponad morze w nadziei ujrzenia ja-
kiego statku tureckiego, coby nas zabrał.

Nic nie ma niebezpieczniejszego nad takowy statek! lecz
pragnęliśmy porzucić Poti co prędzej. Zdarzają się wypadki,
że kapitanowie kupieckich okrętów tureckich, porozumiewszy
się z korsarzami, wydają im za zapłatę podróżnych giaurów,
których korsarze sprzedają dalej za wyższą cenę od tej, jaką za
nich dali; — atoli będąc w liczbie czterech, z obosiecznymi pu-
ginałami za pasem, nie lękaliśmy się muzułmańskiej załogi.

Korsarstwo w tamtych stronach przechodzi tradycyjn-
ie z pokolenia do pokolenia, od najodleglejszych czasów. Wielu
pisarzy (pomiędzy innymi Emil Souvestre) o niem wzmiankuje.
Główne punkta oparcia się flotylli rozbójników morskich w sta-
rożytności były na południowym brzegu Azji. Kartagina kró-

lując nad wodami wraz z Tyrem swoim dziadkiem, Aleksandryą swą siostrą i Rodusem, Cyprem i Sycylią, swojemi rywalkami, wydała najpierwszych korsary, którzy wszakie nie uznawali jej panowania.

W ślad za Kartaginą poszły pod tym względem inne ludy nadmorskie; — w końcu korsarstwo stało się otwartem polem dla wszystkich awanturników. Tysiące nowych Argonautów rzuciło się dla poszukiwania Kolchidy i owego złotego runa, które pływało dla nich wszędzie.

Statek ich admirała nosił cechę bogactwa aż do zbytku. Był cały w rzeźbie i zdobny malowidłami, wyłożony po na zewnątrz blachami z kosztownych kruszców, z których otworów wychodziły rzędy wiosel. Żagle i liny były koloru purpurowego, flagę miał wyszywaną perłami, kotwice srebrną, maszty wysadzane złotem, z poprzczepianem na nich mnóstwem drobnych dzwoneczków wydających miłe dźwięki za każdym powiewem wiaton; a ogromny kobierzec perski nakrywał pomost. Na kobircu rozpościerał się biały jak łabędź namiot z cienkiego płótna egipskiego.

Pokazuje się, że rozbójnicy mieli się dobrze!

Nad oczekiwanie, pewnego dnia, gdy niebo zdjęło wszystkie chmury z siebie, dano nam znać, że parowiec «Konstanty» zarzucił kotwicę o pięć wiorst od brzegu.

Ucieszeni tą wiadomością, wezwaliśmy czempredzej gospodarza do obrachunku. Zdarł nas najbezczelniej za kwaterę.

W barakach zwykle więcej płacić każą niżeli w hotelach.

Bądź co bądź, wsiadłszy do barki, odbiliśmy od brzegu. Zdala ukazywały się srebrzyste szczyty gór, jaśniejące na niebie jakby białe skamieniałe obłoki.

Piękna a nieszczęśliwa kraino kaukazka — żegnaj cię!...

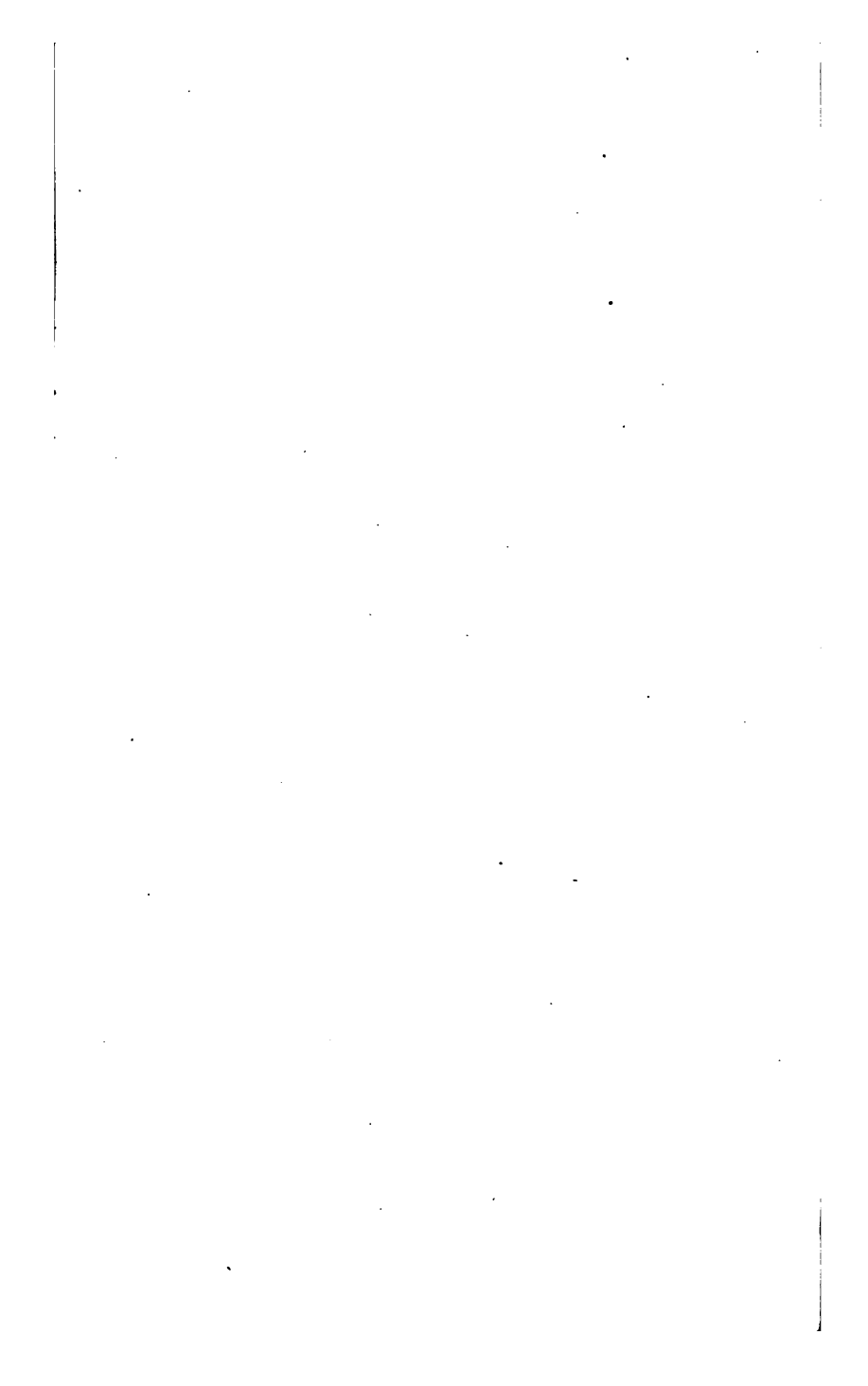
Przed nami sunęła się na wodzie plama czarna, jakby gad żywy, coraz szerszy i lecący ku nam. Był to posepny okręt, jaki pierwszy raz widziałem, bez płócien i masztów — kołami rozbijał modre fale na pianę — a z pośrodku jego buchał słup fryzowanego dymu, ulatujący nazad w nieskończoność, i słychać było na pokładzie niby zgrzyt łańcuchów.

Nazywał się on «Konstanty».

Barka nasza zbliżyła się pokornie do niego — lecz — co za dziwne marzenie! — mijając zatokę, zdało mi się, że przebyłem ogromny cmentarz i że z tyłu za mną wstawali umarli, wołając: wyście ostatnie bohaterzy ziemi!

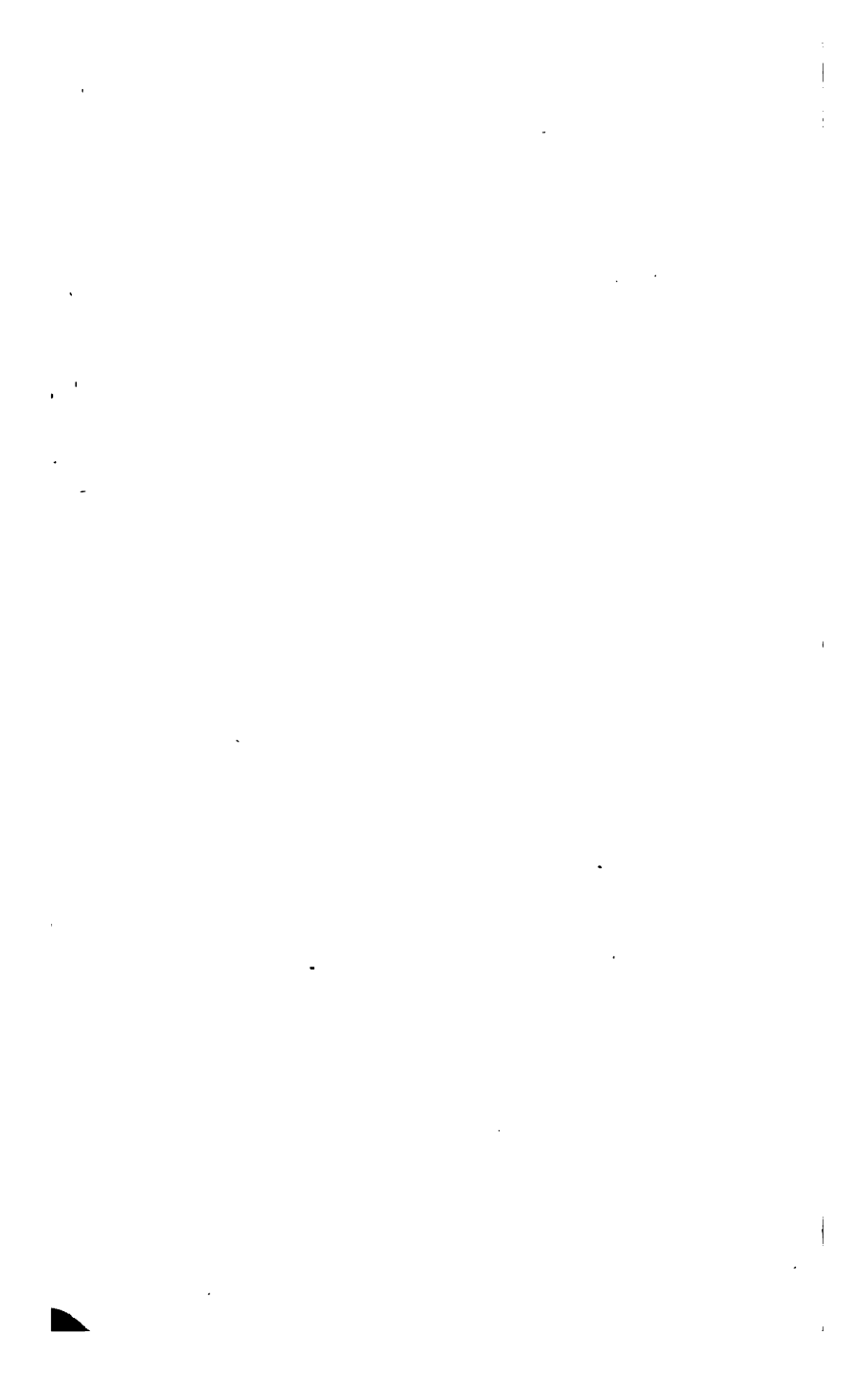
Byłóż to przeczucie? ...

«Konstanty» miał nas unieść do Odessy, gdzie mnie oczekiwały nowe przygody, na zakończenie bolesnego dramatu.



XX.

BURZA MORSKA. PRZYBYCIE DO ODESSY.



XX.

Jeżeli przykro było Sunguli-hanowi rozstać się ze lwicą co go wychowała, to bez wątpienia stokroć przykrzejszem dla mnie było rozstanie się z górami, wśród których pozostawiłem najpiękniejszą część mego żywota. Nikły mi one powoli, a na nie ciągle się oglądałem — tysiące pamiątek cisnęło się do duszy.

Patrzyłem, mówię, na miejsca będące świadkami najtkliwszych lat mej młodości, gdzie rosły kwiaty i cyprysy mych wspomnień, a które nieubłagany wróg zamienił w przybytek umarłych.

Ach! świat ten tak powabny, tyle ma goryczy, tyle trucizny! ... Nie powrócę już zapewne nigdy, aby uronić gorącą łzę na grobowcu drogich pamiątek...

Żegnam cię, jeszcze raz żegnam na zawsze nieszczęsna kraino — mogiło Libii i współbraci moich!...

Myśl moja uleciała znowu ku Polsce. Po latach tylu ileż tam zmian zająć musiało! Czyż mnie tam poznają? czy nie zapytają: czego chcesz człowiecze — gdy przybędę po długiej pielgrzymce?

Nadzieja coraz wyraźniejszą się stawała; ależ, mówiłem sobie, człowiek zamyśla, Pan Bóg zakreśla...

Przyjaciel G... siedząc, jak na koniu, na jednym z dwóch moździerzów pokładu okrętowego, służących do dawania sygnałów, śpiewał gólgłosem pożegnanie Bajronowskie:

«Bywaj mi zdrowy kraju kochany,
«Już w mglistej nikt nie powłóce,

.....

«Lecz nie obaczę mej ziemi.»

Wzdrygnąłem się mimowolnie.

Z tem wszystkim, na morze! pełne zjawisk morze! To nowy dla mnie świat! ... Już nie przez ponure bory, duszące wąwozy, lecz szybkim i lekkim cugiem sułmy się po przeźroczu wód!

Hucznie szumiący potok, spadający z nadbrzeża zatoki, grzmiał niby potężny organ na cmentarzu strat moich. Wiele przedmiotów sterczało jeszcze wyraźnie, w ostrych zarysach, zanim miało zblaknąć i roztopić się w przestworze.

Nademną powiewał na szerokim płutnie czarny skrzydlaty smok o łbie podwójnym. Każdy z tych łbów nakryty był koroną. Koledzy przebrani po ormiańsku przypatrywali się smokowi podkurzając go dymem z cygar.

Usadowiłem się przy krawędzi statku i spoglądałem w dal na zatokę. Jakiś podróżny a grzeczny sąsiad podał mi lunetę. Podziękowałem za nią, nie widząc go, tak dalece byłem roztrągniony i błędnie wyobraźnię we wszechświecie bez granic! Pomimo tego przyłożyłem machinalnie szkło do źrenicy. Sklepienie niebios było ogromne; cały amfiteatr niebieski mógł się odbić na sercu.

Spojrząwszy w zwierciadlane wody zdawało mi się postrzedz kąpiące się najady, co miały twarze Libii i Fatymy. Stan mego umysłu nadał im czarowny koloryt.

Przedemną stała przyroda poważna, jak kościół, przypominająca mi niewidzialne bóstwo.

— Ho, ho! obłoczki coś zanadto dziś kędzierzawe, chociaż tak cicho do koła! ...

Te słowa, wymówione chrapowatym głosem, wyrwały mnie z zadumania. Obejrzałem się — moskiewski oficer o sumiastych wąsach i rubinowych policzkach rozmawiał ze sternikiem w mekentoszu z kapturem... stali obok przy rudlu.

— To znaczy, że będzie burza, odrzekł sternik oficerowi.
— Burza? burza? oh! jakże jej zapragnąłem — tak mi jej

trzeba było... Oby tylko była potężną i wielką jak świat... oby wstrząsnęła całą kulą ziemską!

I od tej chwili niecierpliwie wyglądałem burzy, ale się nie zerwała. Poszedłem spocząć nieco do kajuty.

Przed wieczorem dopiero wiatr zabębnił w okienko mego schronienia, wyszedłem na wierzch. Rodacy już tam byli. Niektórzy z wojażerów schodzili pod pokład, aby się schować przed burzą — ja zaś czułem się uszczęśliwiony.

— Czy tylko przybędzie? zawołałem sam do siebie po persku, patrząc na niebo.

— Tak, tak, przybędzie! odpowiedział mi wdzięczny głos niewieści. Opodal siedziała na ławie dorodna dama w europejskim stroju, która postanowiła, trzymając się poręczy, bując razem ze statkiem dla nabrania wrażeń. Ani myślała pójść do kajuty.

Miałem więc towarzyszkę, a do tego artystkę!... Powiedziała mi, że jest Greczynką, i klasnęła w dłonie, gdy pierwszy bałwan, rozbiwszy się o bok parowca, prysnął nam gorzko-słonawą pianą na głowy.

Niezadługo fale zaczęły podnosić do góry drgający od pary nasz statek.

W dali gromadziły się tymczasem brzemienne chmury, ciemne jak skała, ciskające błyskawice. Oświeciły one inny statek płynący przed nami, który w tym samym momencie znikł nam gdyby mara w przestrzeni. Wodniste wały tańczyły coraz bardziej i chlustały coraz mocniej o burty naszego statku; im zaś więcej go biły, tem głośniej śmiała się czarnobrewa Greczynka. Można było wówczas podziwiać jej perłowe zębki.

Przyjaciel G... przyniósł mi blaszankę araku — wychyliłem ją duszkiem za zdrowie artystki i burzy.

Czarnobrewa skinęła z wdziękiem główką, ale nie pomógł jej mój toast; wkrótce omdlała, zmuszeni zostaliśmy zanieść niebogą do kajuty i złożyć na pościeli — burza ciągle wzrastała.

Z kolegami palnęliśmy powtórnie łykantego, stuknąwszy się ochoczo blaszankami. Napitek miał nas ochronić od nudności powstałej w skutek kołysania się. Każdy kto nas widział, mógł był mniemać, iżesmy najszczęśliwsze młodzieńce na tym padole. Lecz trzeba było mu zajrzeć do serc tułaczy!...

Nagła ciemność przerwała nam wieczerzę; noc okryła aksamitną szatą widnokrąg, i w oka mgnieniu zaświeciła na okół czerwona błyskawica. Żaglowy okręt co znikł nam był z oczu, znowu się pojawił jak widmo tuż obok naszego, i o mało co nie trąciły się wzajem. Zalatywał z niego śpiew psalmów. Wtem nakrył go ogromny bałwan... Uderzył piorun — schyliwszy czoła, przeżegnaliśmy się. Potem nastąpiła chwilowa cisza, i tylko rozpalone żuzle wytrzeszczały ogniste zęby z kotliny parowca «Konstantego.»

Lecz owa cisza okazała się zdradliwą uludą. Na nowo zawyła nawałnica, a błyskawice jedna za drugą oświecały bez ustanku rozległą szrankę wzburzonych żywiołów. Na wybrzeżu półwyspu, gdzie się rozbijały ryczące tonie i gdzie o włos nie doznaliśmy rozbicia, ukazał się orszak kobiet, żon rybackich, z obrazami świętych. Oczekiwały one w trwodze, zapewne na powrót swych mężów, synów i braci. Jedna z nich, siedząc na stosie kamieni, trzymała u piersi małe dziecko, a nieco większe stało przy niej tuląc się do łona matki. Dzwonek tętnił w kaplicy. Łuna błyskawic rozciągnęła krwawą gazę na owe grupy rozpaczliwe.

Ach! ten dzwonek...

Wyznaję, że szczególnie błogiego i pocieszającego doświadczyłem wrażenia na jego dźwięk melancholyczny w uroczystej godzinie, gdzie tak łatwo było zostać pogrążonym w głębinie niezmierzonej.

Lecz na tę smutną odezwę ludzką do miłosierdzia bożego gwałtowny wichur odpowiadał świstem.

Potem wszystko znikło, toczące się kłęby popchnęły nas na otwarte, pełne morze; lunął deszcz rześisty, i słyhać było przeźrąliwą piszczałkę sternika, bieganie służby okrętowej, brzęk i zgrzyt łańcuchów.

Strasznej tej nocy nigdy nie zapomnę.

Trzeszczenie wahającego się «Konstantego», gwizd, skrzyp, pluskanie wałów, tworzyły muzykę, którą z trudnością wyobrazi sobie ten, kto nie widział trąby morskiej.

Żaden pędzel, żadna sztuka, oddać jej nie jest w stanie.

«Konstanty» to wznosił się na wyżyny, to leciał w przepaść kipiącej piany, gdzie odzywały się zmieszane jęki topielców,

wzywających do wspólnej z nimi biesiady. Przechylał się, już, już miał się wyrzucić; ale nie stracił równowagi, dzięki dobru cieżli, i nie wyrzucił nas rekinom i rakom na pastwę.

Bałwan przeleciał nam wprawdzie często przez głowy, zachwiał nami; lecz, że był łaskawy, czy też, że stracił siłę przez wyskok, poprzestał na sprawieniu nam chłodnej kąpieli i nikogo nie porwał ze sobą — a ściekając po pokładzie, wymknął się cichaczem za pomocą otworów w burtach, aby się złączyć z falami.

Odurzonemu nareszcie, zaczęło mi się słabo i nudno robić. G... wziął mnie pod rękę, i obadwa, poślizgując się, uchyliłszy drzwi prowadzące do kajut wewnętrznych, i po schodkach spuściliśmy się na dół.

Kapitan był gburowaty, lecz jego pomocnik dobroduszny i uprzejmy. Powiedział on nam nazajutrz, iż zepchnięci z właściwej drogi bładziliśmy długo, krzyżując po szlakach morskich w stronę Konstantynopola.

Trąba nakoniec ustała, burza przeminęła, podobnie jak wiele chwil minęło w mem życiu, zostawiając zaledwie ślad w pamięci. Widnokrąg się wypogodził, a biały rąbek jego stał się jaśniejszy niż zwykle: Do serca też wstąpiła pogoda.

Znowu byłem na pokładzie, lecz na ten raz modliłem się pod potrójną majestatyczną bramą ze wstążek tęczowych.

Morze podnosi zawsze myśl do Boga. Niedowiarek niby-filozof, co stracił ćwierć życia przy kominku, z gazetą w rękę, i który w nic nie wierzy, — niechno się ujrzy na fatalnej desce pomiędzy niebiosami i bezdenną otchłanią, wobec ogromu otaczającej go przyrody, a poczuje moc Wszchemocnego!

Morze wywiera wpływ na zwierzęta nawet. Gdy pies przepłyne Ocean, przestaje szczekać na zawsze.

Zaprawdę, polubiłem to morze! Podobało mi się ono: w czasie swego uśmiechu, gdy spojrzenie me gubiło się w jego kryształowych, błękitnych przeźroczach; jak również w czasie dąsania się swego, a wtedy nawet miłowałem je więcej, i z kolei uśmiechałem się do niego, podobnie jak się uśmiecha na kapyry kochanki.

Lubiłem patrzeć na piętrzące się fale przy księżycu. Jak widma rycerzy Ossyana w stalowych pancierzach, o rozwianych

srebrzystych włosach, rzucały się one do walki z zajądłością, ścigały się, i nikły zdruzgotane przez szeregi następujących na nie olbrzymów.

Jeden z tych zwycięzców napadł i na statek, zdawało się, że go roztrąci na miazgę. Wezwali pomocy boskiej przerażeni podróżni. Wodnisty olbrzym przecięty przez nawę na dwoje rozbił się, pierzchnął, i jak zły duch powrócił, sycząc, do otchłani, z której powstał...

Za przybyciem do Odessy, G... przebudził mnie wołając: wstawaj Jusufie! «Konstanty» stał nieruchomy w porcie. Słońce zagłądało do nas przez szybę w okienku.

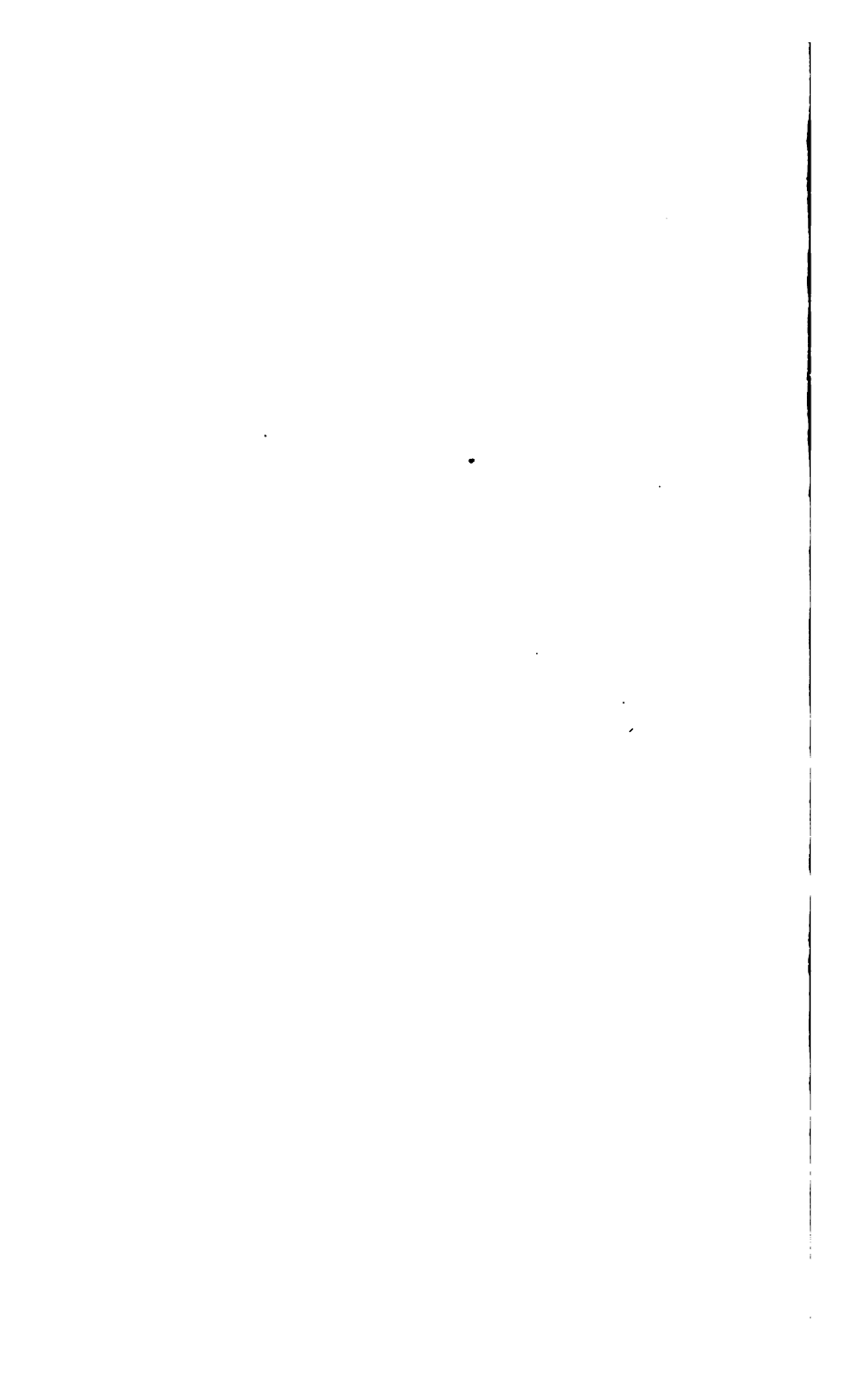
184
23

18
22
13
24

19
F

XXI.

FATYMA. WIĘZIENIE.



XXI.

Nie ma co mówić — znać, że Odessa jest miastem moskiewskiem — formalności tam bez liku, zanim dozwolą dostać się na ląd!

Wysiadłszy nakoniec z łodzi, co nas zabrała z parowca «Konstantego», byliśmy napadnięci na wstępie przez uliczników: każdy wrzeszczał jak najęty, że jest przewodnikiem i chwycił nas za poły. Wybrawszy z nich jednego wesołka, a ogoniwszy się reszcie, kazaliśmy się zaprowadzić do najbliższej gospody: ale w gospodzie taka była ćma rozmaitej maści kacapów, taka woń czaju i dziegciu, iż opuściliśmy ją zaraz za przybyciem, aby się ulokować w hotelu.

Po obu stronach ulic ciągnęły się wysokie domy z kamienia. Tarentasy i karyolki z końmi w hołoblach, z brodatymi izwozczykami w tołubach, migały w różnych kierunkach; ludzie potracali się na trotoarach; katarynki przygrywały przed otwartymi sklepami.

Tak mi się to wszystko dziwnem wydawało, odzwyczajonemu od miast widoku! Cylindrowe kapelusze, długie surduty, na szyi chustki z wielkimi kokardami, były śmieszne w mych oczach w porównaniu z gustownymi ubiorami mieszkańców Wschodu.

Na wyniesieniu z tarcie hałasowała cała rodzina pajaców. Otyła jejmość w trykotach zwoływała widzów, mąż grał na pozytywce, dzieci bębniły, a jeden z małych kucyków kiwał głową,

strzygł uszkami i wybijał takt kopytem, gdy drugi, siedząc na tylnych nogach, czytał książkę.

Roztasowawszy się w hotelu, zrobiliśmy naradę. Koledzy moi, jako skompromitowani w obec rządu moskiewskiego oficerowie, którzy przeszli byli na stronę Szamyla, postanowili opuścić jak najprędzej posiadłości rosyjskie; ja zaś zamierzyłem ostatecznie udać się do Królestwa, obaczyć rodziców, poradzić się ich co mam czynić, a jeśli można będzie, zataić przed policją mój pobyt na Kaukazie i pozostać na rodzinnej ziemi.

Pogrążony w dumaniach, jak każdy człowiek, który czyni ważny krok w życiu o własnych siłach, wyszedłem o zmierzchu samotnie na przechadzkę, zostawiwszy kolegów medytujących nad ogromną kartą Europy.

Idąc bez celu ulicą wysadzoną podwójnym rzędem latarni, ujrzałem się niezdługo nad brzegiem tegoż samego morza, gdzie burza dała mi się we znaki. Teraz zupełny pokój panował w naturze; zwinięte białe żagle okrętów sterczały jak nagie szkielety wśród cieni nocy. Usiadłem na wywróconej starej barce, przypatrując się przy księżycu jednostajnemu przypływowi fal, które, uciekając z powrotem, zabierały z sobą dzwoniące muszle i kamyki.

Niezwykły szelest sukienki kobiecej zwrócił mimowolnie moją uwagę; dziewczyna smagła, zwinna, ukryła się tuż przy mnie po za drzewem w chwili, gdy dwaj żołnierze ścigali ją ze śmiechem. Straciwszy ślad, pobiegli dalej, dziewczyna wyszła z poza drzewa.

Zapomniawszy, w jakim położeniu się znajduję w obec miejscowej zwierzchności, a wiedziony nie tyle ciekawością ile myślą, że może wypadnie zasłonić słabą kobietę od napaści wyuzdanych żołdaków, postąpiłem ku niej; ale za zbliżeniem się stanąłem jak porażony — dwa stłumione ach! wyrwały się razem z piersi naszych.

Owe rysy, tak dobrze mi znajome, jaśniejące niegdyś świeżością, wdziękiem niewinności, obecnie były podobne do kwiatu zwiedłego...

Fatyma stała przede mną, w plugawej odzieży, z piętnem hańby na czole — z oczyma obłąkanemi.

— Przebóg! co się z tobą stało? Fatymo... siostró moja!... tu... sama... o tej porze?!...

— Jusufie! zawołała drżącym głosem, rodzinną mową wzruszona; zakryła sobie twarz rękoma i tylko urywane słowa: uwieziona... gwałt... przemoc... Uru...sy, wydobywały się ciężko z uciśnionego jej łona.

Zrozumiałem wszystko.

— O! nieszczęśliwa... najnieszczęśliwsza z istot...

— Ha, ha, ha! ja szczęśliwa — odrzekła narzeczem koczakiem — i zaczęła uciekać ode mnie.

Szyderczy, konwulsyjny śmiech szalonej rozległ się do koła, fala morska smętnie mu wtórowała.

Już jej nie ma... pobiegła, lecz dokąd? Fatymo! Fatymo!...

— Ha, ha, ha!...

— Zgrozo! to piekło się ze mnie naśmiewa przez jej usta, to chichot szatański!...

Zdało mi się, że zmysły mnie opuściły, że byłem za żywa na własnym pogrzebie, i że widziałem już nie Fatymę, lecz jej marę ściganą przez zawistne fatum nawet i po śmierci.

Nie wiedząc co czynię, puściłem się za nią w pogoń, biegłem ile mi tchu stało z jękiem rozpaczliwej boleści. Zdało mi się kilkakrotnie, że ją chwytam i że zawsze wymknęła mi się z dłoni. Biegłem zadyszany coraz dalej! Wtem mnie ktoś znie-nacka łapie za ramię — «Kto ty takow!» krzyczy do mnie.

Odwracam się i widzę przed sobą żołdata.

Wtedy z oburzenia krew mi uderzyła do głowy, nie umiałem panować nad sobą — wściekłość mną ogarnęła. Porywam napastnika żyłastą dłonią za gardło i duszę go jak wijącą się gadzinę; drugą ręką dobywam puginał, podnoszę go do góry i już go mam zanurzyć po samą rękojesć w przeciwniku, gdy nagle ktoś jakby kleszczami obejmuje mnie z tyłu i kilka na raz ciał wali się na mnie.

Był to patrol — obchód nocny — złożony z żołdatów. Chcę im się wyrwać, kaleczę ich, gryzę i ranię — potem nie wiem co się ze mną stało...

Przyszedłszy do przytomności, czułem dolegliwy ból w plecach od potłuczenia kolbami karabinowemi, ręce miałem sine,

pokrwawione, i leżałem rozciągnięty w podartych sukniach na tapczanie pomiędzy żołnierstwem odwachu, cegłę mając pod głową.

Noc spędziłem gorączkowo.

Co chwila podchodzili do mnie żołdaci z naigrawaniem się i oddalali się z wyrazem: «razbojnik!»

O północy przybył dyżurny oficer nad wartami; pamiętam, jak przystąpił do mego łoża i zawołał: przywat' cyrulika!

Ile tylko razy odezwała się godzina spiżowym jękiem na froncie odwachu, pragnąłem, aby stała się ona przedostatnią godziną mego żywota.

Nazajutrz z rana zjawił się cyrulik, obejrzał mnie i skinął ręką, co miało znaczyć, że stan mego zdrowia nie przedstawiał niebezpieczeństwa.

Kazano mi powstać. Uczyniłem to wprawdzie, lecz zachwiałem się na nogach. Podoficer nie zważając na nic dał rozkaz. Czterech żołnierzy wzięwszy mnie pomiędzy bagnety, dwóch z przodu a dwóch z tyłu, zaprowadziło do bióra policyi z oznajmieniem, że złowili krepkiego razbojnika.

Na tą rekomendację dozorca policyjny bez oględności na stan mój, na zimny pot ciekący mi z czoła, zamknął mnie do wilgotnej piwnicy, oczekując na przybycie komisarza cyrkułu.

Utykając po omacku, przypomniałem sobie, iż miałem kiedyś w kieszeni zapalnik. Znalazłszy je, zaświeciłem jedną, aby się rozpatrzyć w nowym mieszkaniu.

Piwnica była zatęchła. Ale w jednym jej kącie coś błyszczowało, niby świętojańskie robaczki. Lecz coby one robiły pod ziemią? Zaświeciwszy drugą zapalnik poznałem, że owe nikłe światełka były ruchome, i dziwna rzecz! chodziły parami. Z trzecią zapalnik siedłem ku nim, a wtedy kupa szczurów rozleciała się na wszystkie strony.

Widok szkaradny, obrzydliwy, ohydny! — owe piękne robaczki mej wyobraźni co spacerowały parami, były niczem innym jak błyszczącymi ślepiami szczurów.

Co raz to gorzej się czułem, szczególnie moralnie. Zakończyć życie w więzieniu, smutna perspektywa! Cała rzeczywi-

stość mego położenia nasunęła mi się i wszystko stanęło przed oczyma, jak gdyby w godzinie śmierci.

Postać zmarłej po męczeńsku Libii anielskiem wejrzeniem przyciągała mnie ku sobie; — blade, zwiędłe oblicze Fatymy przerażało i ścisnęło serce głuchą boleścią i politowaniem. Tu ojciec szukał mnie po tyloletnim niewidzeniu; tam matka, o tak! matka klęcząca wyciągała dłonie ku mnie z błogosławieństwem na ustach. Koledzy, których pozostawiłem w hotelu, stali na szafocie w śmiertelne odziani koszule — stali w milczeniu z godnością i dumą — na nogach mieli kajdany — kat zakładał im stryczki na szyję.

W tem zabrzęczały wrzęcia u drzwi sklepienia — policjanci przyszedli po mnie. — Prowadźcie mnie oprawcy na ten sam szafot! wołałem.

Postępując z nimi ujrzałem się nareszcie w sali widnej, zastawionej do koła szafami pełnymi papierów. Przy stole, na którym leżał mój puginał wydarty mi przez patrol, siedział komisarz policyi. Zmierzywszy mnie chytrym wzrokiem od stóp do głowy, zapytał o paszport. Wydobyłem go i pokazałem.

Pan komisarz włożywszy okulary przyglądał się pilnie podpisowi i pieczęci przedstawianego sobie dokumentu.

— Ba, ba! nie tylko sztyletnik — rzecze cedząc przez zęby — ale i fałszerz... zaprowadzić do ostrogu... u nas nie ma żelaznej klatki dla takiego ptaszka.

I nie czekając mej odpowiedzi, napisał kartkę, zacytował ją do sznurowej książki — i wyszedł z kancelaryi.

Tymczasem przyzwano konwoj karabinierów, i znowu otoczony bagnetami, zmuszony byłem jak złoczyńca jaki, oberwaniec, wyrutek społeczeństwa, świecić oczyma po ulicach Odessy i czerwienić się dotkliwym rumieńcem niezasłużonego wstydu.

Jeden z przechodniów postrzegłszy mnie pośród moich stróżów, zatrzymał się na trotoarze i rzekł: kto by się spodziewał? taki młody a już zbrodniarz!...

Co się w ówczas działo w mej duszy, wyrazić nie zdołam...

Na zaułku ulicy obok głównego więzienia spotkałem się z nowożeńcami zdążającymi z przyjaciółmi na ślubne gody. Rzucili mi po groszu. Skrzypiała już przede mną na żelaznych

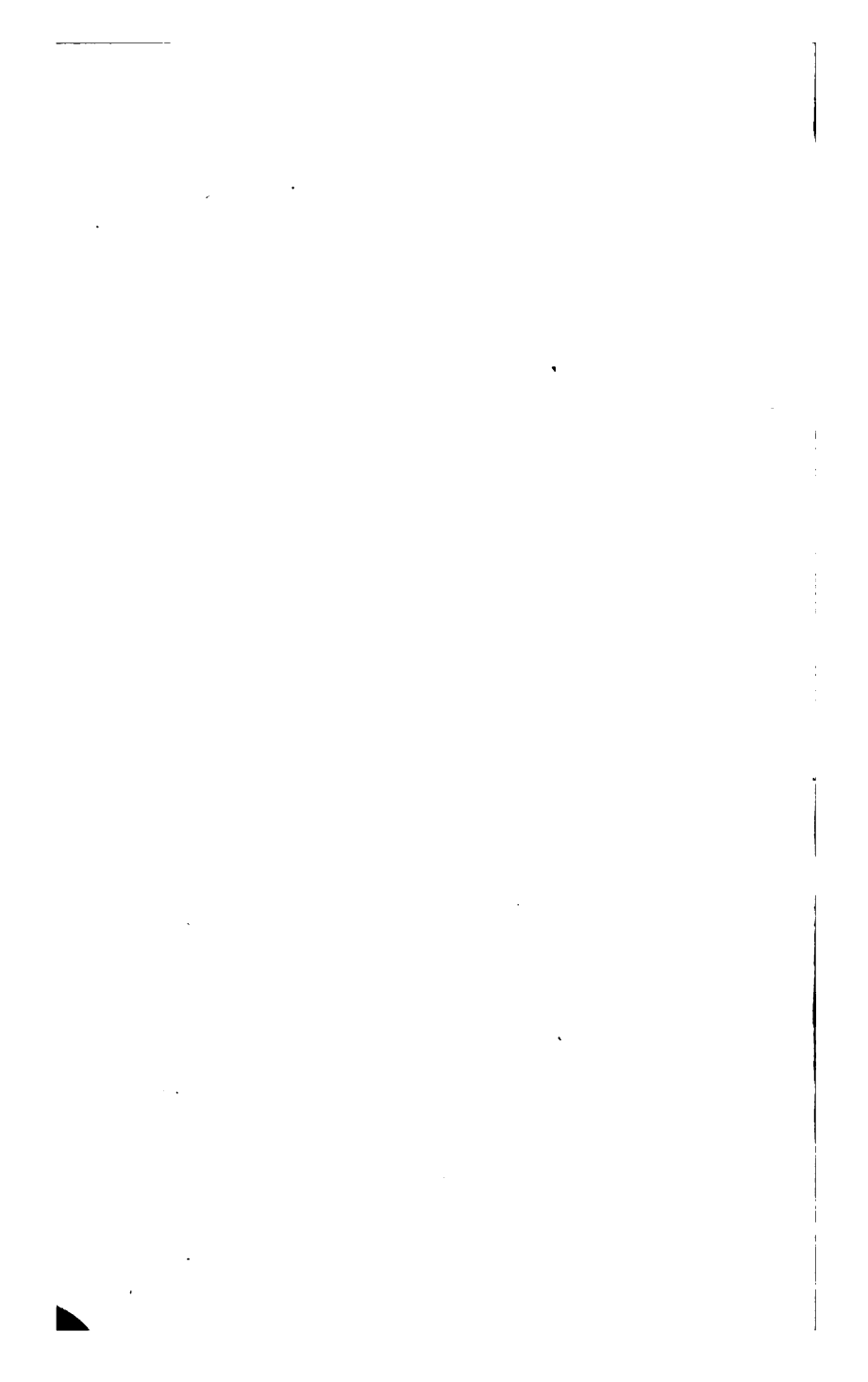
hakach furta szarego ostrogu, owego grobowca zbudowanego dla żyjących, do którego mnie wiedziono, gdy poza mną rozlegała się wesoła piosenka drużbów:

«Po ulicy Mostowej!

«Hi, hi, hi! — ha, ha, ha!...»

XXII.

KILKA SŁÓW O JUSUFIE.



XXII.

Zbytecznym byłby opis długiego więzienia bohatera naszej powieści; raz, że nie ma ono nic wspólnego z Kaukazem, którego wyłączny szkic postanowiłem podać czytelnikowi; powtóre, że nie chciałbym być posądzonym, iż zamierzyłem piekło czernić; a potrzebie, że żyjemy w straszliwej epoce, gdzie niewola stała się niejako powołaniem dla każdego Polaka. Gdzież jest choć jedna Polka, co nie oplakuje męża, brata, ojca lub syna, obcierającego się o węzły kraty więziennej, znoszącego okropny bój: bój ducha z grubą warstwą cielską, co się zowie Moskwą?...

Jusuf Ostoja należał do rodzaju wyjątkowych istot, które mężnie wytrwały cierniową koronę mąk niezasłużonych i nie zbryzgały się niewolniczym błotem — słowem, które wyszły z tych prób nie zepsute, ale namaszczone!...

Straszne są zaprawdę choć ciche dzieje tego młodziana!

Wtrącony do ostrogu, do kazamaty napełnionej wyrzutkami różnego pochodzenia, trawił noce bezsenne pośród ciżby i plugastwa. Nie mając z nikąd żadnej pociechy, nikogo z rodaków lub znajomych obok siebie, doznawał upokorzeń, naigrawań się i znęcań od złoczyńców, do których towarzystwa przez opiekuńczą władzę wcielony został.

Było to towarzystwo o ochydnym obliczach, z ogolonemi na pół głowami i brodami, z łańcuchami na nogach.

Fakt nie do uwierzenia prawie, że Jusuf znosił prześladowanie od współwięźniów jedynie za to, że nie był zdolnym do

okradania swych kamratów, jak to oni między sobą mieli zwyczaj czynić.

Lecz drugi fakt nie mniej ciekawy, że zjednął dla się w końcu poszanowanie za pomocą siły fizycznej, jaką szczodrze od natury był obdarzony. Jeden z bezczelnych wesółków kaźni, uchodzący za siłacza, skradał się raz do kąta, gdzie nieszczęśliwy młodzieniec spoczywał na barłogu, aby mu wyciągnąć z pod głowy świeżo upraną koszulę. Wywiedziony z granic cierpliwości młodzian rzucił się jak lew na łotra, poczęstował go kulakiem, i tak osadził na ceglanej podłodze, że stary zbrodniarz aż jęknął i wytrzeszczył oczy. Patrzący na tę scenę aresztanci zdumieli, poznali m o r e s i odtąd zostawili naszego rodaka w pokoju, nie wyrządzając mu krzywdy.

Co większa, pozyskał on miłość starosty, to jest najstarszego więźnia, reprezentanta ostrogu. Na pół brodaty starosta, niegdys hereszt rozbójników na Woldze, co nie raz oderwał się od szubienicy, nauczył Jusufa, jak się ma tłumaczyć w obec sądu i protegował go.

Tłumaczenie zależało na zaparciu się wszystkiego, o co się jest posądzonym; na wyparciu się nawet swego nazwiska, miejsca urodzenia, a w razie potrzeby rodziców i krewnych, choćby ich stawiano oskarżonemu do naocznej konfrontacji. Wedle prawa rosyjskiego człowiek taki, zwany brodiagą (włóczęgą) nie podpada żadnej karze, a po prostu jest oddany w żołdaty, jeśli młody; w Sybir na posilenie, jeśli stary.

— Czy byłeś kiedy batożony? zapytał Jusufa starosta, będąc w dobrym humorze.

— Nigdy! odpowiedział tenże.

— Ej, powiedz prawdę! Bo zanim cię zwierzchność uzna za niewinnego brodiagę, każe cię naprzód zaprowadzić do łaźni parowej. Tam rozgrzanego nacierać cię będą suknem i skrobać jak marchew. Jeżeli kiedy brałeś pałki, wszystkie pręgi i pasy od bizonów wystąpią ci czerwone na skórze. Gdy okażą się one na plecach, powie audytor, że jesteś dezterterem z wojska; musisz się do tego przyznać lub siedzieć w kozie do nieskończoności. Jeżeli ślady od chłost okażą się poniżej pleców, będzie to znak, że jesteś tylko włóścianinem, zbiegiem od pomieszczyka. Skoro zaś, co najgorsza! okażą się na rękach i no-

gach, przekonają się wtedy, iż tęgi z ciebie chłopak (udały młodziec), bo już nosiłeś kochanku dyby lub kajdanki i należysz całkowicie do naszego bractwa.

Jusuf, po wytrzymaniu operacji przepowiedzianej przez starostę, przyzwany został do protokołu. Uznany za niebitego nigdy, zeznał on w sądzie, jakoby urodził się w lesie z nieznanym mu rodziców i nigdzie nie miał stałego mieszkania; że tyle sobie przypomina z swej młodości, iż będąc małym chłopcem miał wprawdzie jakiegoś opiekuna kotłarczyka, z którym chodził od wsi do wsi w celu pobielania naczyń kuchennych, lecz że następnie stracił go z oczu i od tej pory sam zarabiał na chleb powszedni, prowadząc życie koczujące.

Co do paszportu, oznajmił, że nie będąc piśmiennym sfalszować go nie mógł, lecz że mu go dał w szynku na jarmarku pisarz z jakiejś kancelaryi. Pugiła zaś użył jedynie we własnej obronie, widząc się napadniętym w nocy nad brzegiem morza.

Zeznania podobnie improwizowane są zwykle przyjmowane do protokołów sądowych w Rosyi. Dla aresztowanego, co się przedstawia za brodiagę, niepamiętającego swojej przeszłości (niepomniuszczyj), więzienie kończy się prędko, gdyż nie podlega on śledztwu. Z pomiędzy ludności zamkniętej w ostrogach, czwarta jej część, chcąc zataić dawne grzechy, aby nie być za nie odpowiedzialną, w ten sposób się tłómaczy.

Jusufowi, który umiał się zastósować do roli, jaką na się przybrał, uwierzono, że był brodiagą, dano mu nazwisko «Mikołaj Piatkin» i skazano go na zsyłkę w żołdackie rot orenburskich.

Nieszczęśliwy ziomek nasz wydalony z ostrogu pod rozporządzenie etapowej komendy, przyczepiony został do sztaby żelaznej i wysłany w podróż do miejsca naznaczenia wraz z knutowanymi towarzyszami niedoli, których zastał na etapie jako na punkcie zbiorowym, dokąd sprowadzono rozmaitych więźniów.

Jednakowoż byli to przyszli obrońcy kraju, których w tak barbarzyński sposób traktowano!

Jusuf dowiółszy się z nimi do najbliższego miasteczka, tak miał poobcierane ręce od żelaznej sprzęży, iż dalej iść w niej nie mógł bez narażenia się na gangrenę. Doświadczeni od niego

aresztanci podkładali pod kajdany kawały grubej jak podeszew skóry, aby ochronić swe ciała od uszkodzenia. Jusuf, któremu wydarto w policji w Odessie ostatni zasób pieniężny, nie mając za co kupić skóry na podkładkę, został pokaleczony do tego stopnia, iż najmniejsze szarpnięcie jednego ze współtowarzyszy, z którymi był skuty, sprawiało mu konwulsyjne drgania.

Oddano go do wojskowego szpitala.

Zapoznał się tam po pewnym czasie z żołnierzem od weteranów, przeznaczonym na służbę dla chorych. Młodemu weteranowi ciężką się pokazała owa służba; koniec końcem postanowił uciec i zwierzył się z tym zamiarem naszemu ziomkowi. Ten zwierzył się też wzajemnie weteranowi, że chciałby także ratować się ucieczką, gdyby mu się udało jakim sposobem wymknąć z sali aresztanckiej. Weteran obiecał mu pomódz do tego przy najpierwszej stósownej okoliczności, jaka się zdarzy.

Jusuf żył nadzieją...

Traf zrządził, że zanim się wyleczył i został wydalony ze szpitala na nowe okowy co go czekały, wprowadzono do sali suchotnika, któremu się już niewiele na tym świecie należało. Jusuf tedy z pilnością oczekiwał na chwilę, rychło suchotnik, jego sąsiad, zamknie powieki i przestanie dyszeć.

Nadeszła ona nakoniec i to podczas nocy.

Przyzwano felczera, ten opatrzył ciało zmarłego, zdecydował, że nieboszczyk rzeczywiście nie żyje i kazał zwłoki wynieść do trupiarni.

Nadszedł dla spełnienia rozkazu weteran, mignął na naszego rodaka, ten wsunął się po cichu do grubego siennika służącego do wynoszenia umarłych, weteran go zaszył, a na łożku jego złożył trupa i nakrył go kołdrą; wzięwszy zaś na plecy siennik, przeniósł go około warty stojącej przy drzwiach w korytarzu, bez wzbudzenia podejrzenia.

Tym fortem oswobodził się nasz ziomek od służby sołdackiej.

Lecz gdy kto raz jest strącony z drogi zwyczajnej żywota na drogę nieszczęścia, ściga go ono częstokroć aż do zgonu. Podobnie się działo z bohaterem naszego opowiadania.

Przebywszy on ze swym nowym kolegą weteranem kilkaset wiorst od miejsca powyższej sceny, weszli obydwa do lasu,

w którym właśnie odbywała się oblawa na zbiegów w nim się ukrywających. Nie wiedząc o tem wpadli w zasadzkę. Weterana postrzelono śmiertelnie; Jusufa zaś, przyzwyczajonego do konnej jazdy a nie do biegania piechotą, schwytano i związanego odesłano do najbliższego więzienia.

Rzeczy można, że zawistne losy sprzysięgły się na przesładowanie biednego młodziana a tak pełnego zacności!

Zwierzchność dostrzegłszy bliżny od łańcuchów na jego rękach, traktowała go jak zbrodniarza i zbiega.

Opisywać szczegółowo jego więzienie, byłoby toż samo, co brać na tortury serca czytelników. Lepiej więc zaniechać tego opisu.

Młodzian trzymany przez kilka lat w okropnym kryminale, dowiedziony do ostateczności, wyznał wszystko, skreślił okrutnym sędziom całą swą biografię, począwszy od chwili, kiedy dzieckiem uwieziono go podstępnie na Kaukaz.

Dla przeświadczenia się o prawdziwości jego rodowodu, sąd zapytał drogą urzędową ojca Jusufa, będącego dygnitarzem w Królestwie Polskiem. Ojciec dowiedział się dopiero z ekspedycyi o losie jedynego syna, którego mając za zmarłego, opłakiwał oddawna, ciężkimi dotknięty wyrzutami sumienia. Starzec napisał prośbę o powrócenie mu jedynaka, zrosił ją łzami i posłał sztafetą do Petersburga.

Zgon cara Mikołaja dopomógł do tej prośby. W skutek amnestyi Aleksandra II powrócił przecież nieszczęśny tułacz na łono rodziny; ale nie długo się nią cieszył.

Nie zastał już ukochanej matki i westchnął na jej mogile. Siostry, które opuścił dziećmi, ujrzał zamężnemi; cieszył się więc widokiem familii i przyjaciół, zostając przy nich aż do czasów powstania narodowego wywołanego ostatecznie przez proskrypcyę.

Całe młode pokolenie polskie zaginać miało; taki wyrok zapadł. Już wróg polował bezkarnie po domach Warszawy z powrozem i bagnetem na śpiące ofiary. Te z rozpaczą chwyciły za oręż, i znowu nastąpiło przedłużenie odwiecznej walki, przerywanej chwilami znużenia i wypoczynku, jaką nasz naród prowadzi z Moskwą, już to na polu bitwy, już w stosunkach życia publicznego, w sferze politycznej i socyalnej.

Jusuf, jakkolwiek znękany przeszłością, na odgłos szczęku broni współobywateli swoich porzucił domową zagrodę i, jako wierny syn Ojczyzny, wystąpił jak rycerz w pośród hufca rodaków.

Widziano go zawsze w ubiorze czerkieskim, z ładunkami na piersiach, i zawsze na czele. Koledzy, który uczestniczyli razem z nim w boju, świadczą, iż szedł na ogień nieprzyjacielski z takim mężstwem a zarazem spokojem i pogodą na twarzy, iż zdawało się, że szukał śmierci jakby swej naczeczonej. Kto jednak dobrze się wpatrzył w jego surowe a piękne oblicze, dostrzegł na niem niekiedy wyraz podobny do szybko przelatującego uśmiechu goryczy, poczem zwykle zawisła mu na czole chmurka melancholicznego rozmyślenia, z którego nikomu się nie zwierzał.

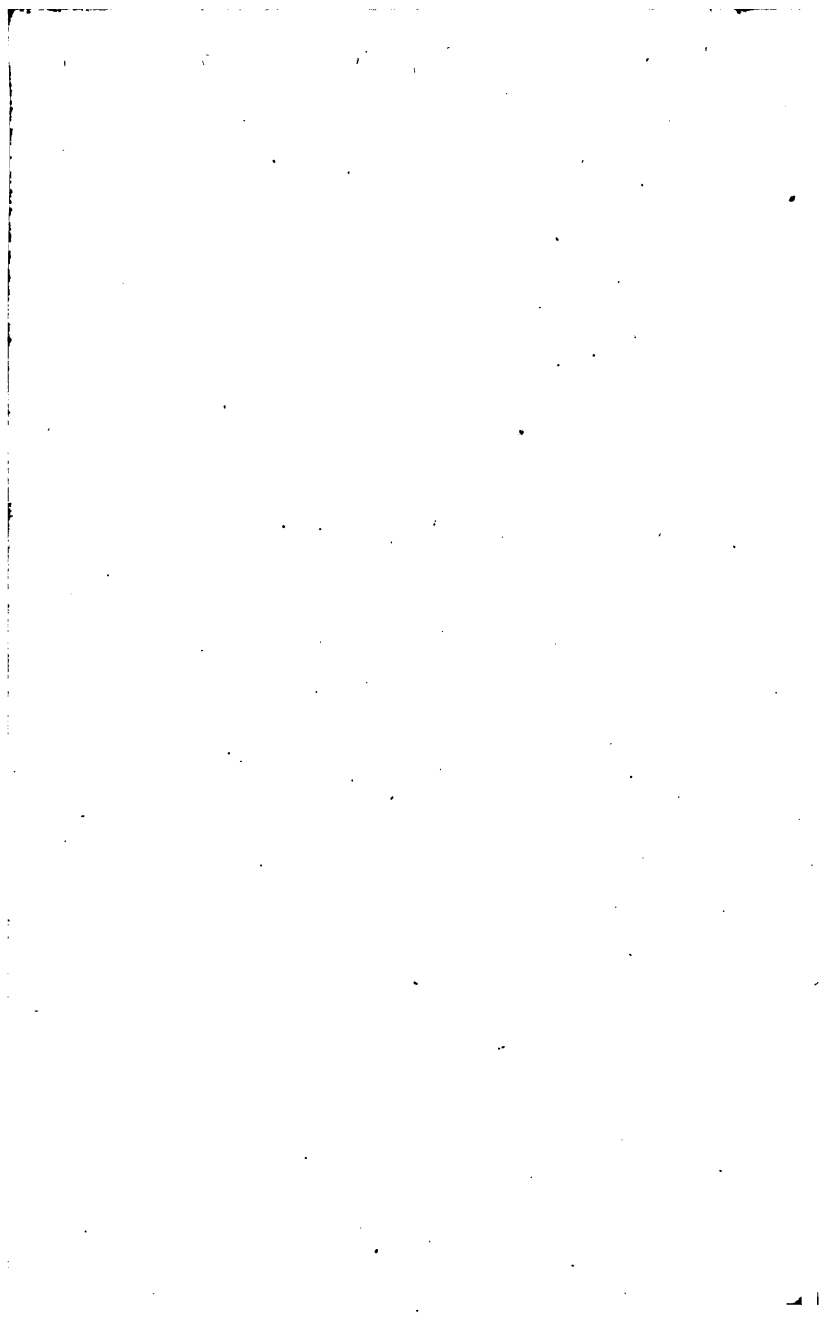
Jusuf, po dokonanych cudach waleczności, ranny, dostał się do niewoli.

Zwycięzcy, założywszy cierpiącemu obróżę na szyję, przywiązali ją do jaszczyka z prochem. Jaszczyk o skrzypiących kołach potoczył się zwolna, Jusuf postępował za nim w milczeniu, garstka jego ziomek, co zdążyła oszańcować się na pobliskim wzgórku, zęgnęła towarzysza broni okrzykiem współczucia i boleści.

Zwrócił się on ku swoim razy kilka, jaszczyk toczył się coraz dalej, coraz dalej, bohater nikł powoli z przed oczu współbraci w tumanie kurzawy, nakoniec przepadł bez wieści.

Bóg sam wie, co się z nim stało!...

Dwa ludy, co przenoszą tułactwo nad niewolę, z których jeden był gniazdem całego społeczeństwa, a drugi tarczą cywilizowanej Europy od napadu dziczy; — dwa ludy wypędzane bezustannie ze swych ognisk, wydające karawany wygnańców pokaleczonych, konających z głodu na obcej ziemi, błagających jednocześnie o przytułek Turków i Francuzów; — oto trofea Rosyi, sławionej przez tych, co choć okryci barwą cudzoziemską, w duszy, w zasadzie, nie przestali być Moskalami!...



Nakład F. A. BROCKHAUSA w Lipsku:
BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

- T. I. **Garczyński.** Poezye.
T. II—V. **Śłowacki.** Poezye. 4 tomy.
T. VI. **Gordon.** Obrazki caryzmu.
T. VII. **Borkowski.** Wyprawa partyzancka 1833 r.
T. VIII—XII. **Mickiewicz.** Pisma. 5 tomów.
T. XIII—XX. **Czajkowski.** Pisma. 8 tomów. Dotąd wyszły:
Tom I. Wernyhora.
Tom II. Kirdżali.
Tom III. Powieści Kozackie i Gawędy.
Tom IV. Owruczanin.
Tom V. Stefan Czarniecki.
Tom VI. Hetman Ukrainy.
Tom VII. Koszowata i Ukraiński.
T. XXI. **Norwid.** Poezye.
T. XXII. **Siemieński.** Poezye.
T. XXIII—XXV. **Krasiński.** Poezye. 3 tomy.
T. XXVI. **Gosławski.** Poezye.
T. XXVII. **Zienkowicz.** Wieczory Lacha z Lachów.
T. XXVIII—XXXI. **Zienkowicz.** Wizerunki polityczne. 4 tomy.
Dotąd wyszły:
Tom I. Alejata. Rzecz o rozumie stanu.
Tom II. Polska w kraju i za granicą od 1831 do 1848 r.
Tom III. Rewolucyoniści i stronictwa wsteczne.
T. XXXII. **Czajkowski.** Pisma. Tom IX. Dziwne życie Polek-
ków i Polek.
T. XXXIII. **Gordon.** Soldat. Wydanie drugie.
T. XXXIV. **Gordon.** Kaukaz.
- 8°. Cena każdego tomu 1 Talar.
(Egzemplarze oprawne w płótno angielskie z tytułem słownym
kosztują na tomie o 10 Ngr. więcej.)
- Lutnia.** Piosennik polski. Wydanie drugie. 1 Tal. opr. 1 Tal. 10 Ngr.
Malczewski. Marya, powieść ukraińska. 10 Ngr. opr. 15 Ngr.
Mickiewicz. Ballady i romanse. 15 Ngr. opr. 25 Ngr.
Farys i Grażyna. 15 Ngr. opr. 25 Ngr.
Konrad Wallenrod. 15 Ngr. opr. 25 Ngr.
Tęcza. Zbiór poezyi. 1 Tal. opr. 1 Tal. 10 Ngr.
Zaleski. Duch od stopa. 15 Ngr. opr. 25 Ngr.
Z Wiosny. 1 Tal. opr. 1 Tal. 10 Ngr.



